

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/398

1980



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

CZ. MIŁOSZ: **OSOBNY ZESZYT: GWIAZDA PIOŁUN**

A.B.C.: **1956 - 1970 - 1980**

KISIEL: **PAN CHCE NAPRAWIĆ BŁĘDY SYSTEMU?!**

N. ZABA: **SZWEDZKIE KULISY NAGRODY NOBLA
DLA MIŁOSZA**

B.M.: **KRYZYS TOTALNY**

(Z OSTATNIEJ CHWILI: str. 147)

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	Osobny zeszyt: Gwiazda Północy	5
Włodzimierz Odojewski:	Pierwsze spotkania	12
A.B.C.:	1956 — 1970 — 1980	17
Zespół Problemowy PPN:	Polska — wrzesień 1980	28

WIERSE

Adam Zagajewski:	Rozmawiałem z Francuzem — Kierkegaard o Heglu — Wróty gawrony — Będzie przyszłość — 6 lipca 1980	35
Adam Tadeusz Bąkowski:	Rezerwy	37
Filip Istner:	Musisz	38

ARCHIWUM POLITYCZNE

Dominik Morawski:	Korespondencja z Rzymu	39
Józef Łobodowski:	Legenda i prawda o Baskach	44

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie	53
—	Oświadczenie rosyjsko-ukraińskie	59
Mykoła Siwickij:	List do Organizacji Narodów Zjednoczonych	61
—	Polsko-ukraińska konferencja naukowa w Monachium	68
Andrzej J. Chylecki:	Kronika niemiecka	71

SPRAWY I TROSKI

Bohdan Podolski:	O naprawie Rzeczypospolitej inaczej ..	75
Zdzisław Bau:	Polski Instytut Naukowy w N. Jorku	79
—	Belgijski Komitet Pomocy Robotnikom	87

KRONIKA KULTURALNA

Norbert Żaba:	Szwedzkie kulisy nagrody Nobla dla Miłosa	88
Maria Danilewicz Zielińska:	Londyński „Pamiętnik Literacki”	92
Edward Puacz:	Książka polska w Ameryce	99

CI, CO ODESZLI

Stanisław L. Andrzejewski:	Wspomnienia o Zbigniewie Jordanie: Zbigniew Jordan	103
Alicja Iwańska:	Zbyszek	105
Tymon Terlecki:	„Dobrze myśleć — dobrze postępować”	126

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	Pan chce naprawić błędy systemu?! ..	113
---------	--------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Czesław Miłosz:	Swojskie pryncypia i artysta	119
Michał Heller:	Władcy Związku Sowieckiego	122
Krzysztof Zawrat:	Krótko o książkach: a) Dwa debiuty poetyckie	125
—	b) Tadeusz Miciński	128
Guido Küng:	Książka ks. Woźnickiego	130
—	Nadchodzące nowości wydawnicze	132

(Dalszy ciąg Spisu Rzeczy na str. 158)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1980

INSTYTUT  LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA) — po raz 26-ty — \$ 20,00	F. 82,00
E. M. (RFN) — DM 50,00	F. 115,00
Inż. T. Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria) — po raz 7-y — Frs 100,00	F. 250,00
Dr T. Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA), po raz 7-y — \$ 100,00	F. 410,00
Bezimiennie z Kano (Nigeria), po raz 4-y — \$ 250,00	F. 1.025,00
Bezimiennie ze Szkocji — dla uczczenia pamięci Zygmunta Hertza	F. 210,00
Bezimiennie z USA, po raz 5-ty	F. 1.554,00
Anonimowo z London, Ont. (Kanada) — na ruch wolnościowy w Polsce	F. 100,00
Klub Polski w Moss i Fredrikstadt (Norwegia) — na opozycję w Kraju — KrN 1.140,00	F. 987,50
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na wydawnictwa krajowe — \$ 100,00 (gotówką)	F. 410,00
Dr J. J. Skuza, Park Ridge, Ill. (USA) — na pomoc dla opozycji w Polsce — \$ 100,00	F. 410,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA POMOC DLA STRAJKUJĄCYCH ROBOTNIKÓW I ICH RODZIN ORAZ NA WOLNE ZWIĄZKI ZAWODOWE

Grupa „Pomost”, New Jersey (USA) zebrane od pp.: R. Winowski — \$ 100,00; Józek oraz Danuta i Hieronim Wyszynscy — po \$ 50,00; H. Ejchorszt, Wisłanie 74 — po \$ 25,00; Koło Młodzieży Polskiej w Elizabeth — \$ 30,00; Stefan i Magda, Kazimierz Nitkowski, B. Leonczyński z Żoną, Darek, Bogdan, Tadeusz, Rypiński, Semieniuch, R. Winowski, Ela Lipińska — po \$ 20,00; Józek, Kolaczek, Orłowski — po \$ 15,00; R. Giełcewicz, Książpolski, R. Smyczek, Bogusia oraz Bezimiennie — po \$ 10,00; Z. Włodarczyk — \$ 9,00; Małżeństwo Wulczański, Michael Bull, Borusiewicz, J. Naglik, J. Róg, A. Antoniszyn, J. Staszak, A. Jakubowski, Dyłski z Żoną, Halina i Stasiek, Anna i Bolesław Szewczyk, Komar, Prasnal i dwie wpłaty bezimienne — po \$ 5,00; KPN — \$ 4,00; Bezimiennie — \$ 2,00; Bezimiennie z Perth Amboy — \$ 200,00; różni ofiarodawcy bezimiennie razem \$ 153,00 — ogółem: \$ 1.018,00	F. 4.173,80
Kongres Polonii Amerykańskiej w Ann Arbor, Mich. (USA) — \$ 1.726,39	F. 7.028,20
Jerzy Mroczkowski, redaktor <i>Czasu</i> , Winnipeg Man. (Kanada) — zebrane wśród polonijnej społeczności Winnipegu na pomoc dla rodzin strajkujących robotników w Polsce do rąk niezależnych, samorządnych związków zawodowych „Solidarność” w Gdańsku — \$ c. 9.000,00	F. 31.500,00
Krzysztof J. Pawłowski, West Hartford, Conn. (USA) — zebrane wśród pracowników Emhardt Company na pomoc dla Komitetów strajkowych — \$ 150,00	F. 615,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

LITERACKA NAGRODA NOBLA 1980 :

CZESŁAW MIŁOSZ

„który z bezkompromisową wnikliwością ujawnia zagrożenie człowieka w świecie pełnym gwałtownych konfliktów”.

W ZWIĄZKU Z PRYZNANIEM
CZESŁAWOWI MIŁOSZOWI
LITERACKIEJ NAGRODY NOBLA 1980
PRZYSTĄPILIŚMY DO WYDANIA JEGO
„DZIEŁ ZBIOROWYCH”.

Już w bieżącym miesiącu ukażą się następujące tomy:

ZNIEWOLONY UMYŚŁ, str. 240 — cena F. 60 (\$US 15).

ZDOBYCIE WŁADZY, str. 160 — cena F. 50 (\$US 13,50).

RODZINNA EUROPA, str. 248 — cena F. 60 (\$US 15).

DOLINA ISSY, str. 196 — cena F. 50 (\$US 13,50).

PRYWATNE OBOWIĄZKI, str. 256 — cena F. 60
(\$US 15).

ZIEMIA ULRO, str. 224 — cena F. 60 (\$US 15).

Ponadto mamy jeszcze na składzie:

OGRÓD NAUK, str. 256 — cena F. 65 (\$US 15,75).

WIDZENIA NA ZATOKĄ SAN FRANCISCO i OGRÓD
NAUK ukażą się następnie w ramach „DZIEŁ ZBIORO-
WYCH”.

Poezje Czesława Miłosza, zebrane w jednym lub w dwóch
tomach ukażą się w późniejszym terminie.

Osobny zeszyt : Gwiazda Piołun

Teraz nie ma już nic do stracenia, mój ostrożny, mój przebiegły,
mój ty hyper-samolubny kocie.

Teraz możemy składać wyznania bez obawy, że zrobią z nich użytek
wrogowie potężni.

Jesteśmy echem, które biegnie z drobnym tupotem przez amfiladę
pokoi.

Zapalają się i gasną sezony ale jak w ogrodzie w którym nie
bywamy.

I ulga, bo nie musimy starać się dorównać im, ludziom, w biegu
i skoku.

Ziemia Waszej Wysokości nie podobała się.

W noc kiedy jest poczęte dziecko zawarty zostaje pakt niezrozu-
miały.

I niewinny dostaje wyrok ale sensu nie zdoła odgadnąć.

Choćby wróżył z popiołu, konstelacji gwiazd i lotu ptaków.

Ohydny pakt, we krwi uwikłanie, anabasis mściwych genów z ba-
giennych tysiącleci,

Od przygłupów, kulawców, pomieszanych dziewczek i chorowitych
królów,

Przy udzie baranim i kaszy i siorbaniu polewki.

Chrzczony z wody i oleju kiedy wschodzi Gwiazda Piołun,

Bawiłem się na łące koło pałatek Czerwonego Krzyża.

Pora mnie wyznaczona, jakby za mało prywatnego losu

W jakimś niedużym staroświeckim mieście („Północ właśnie wybiła na ratuszowym zegarze, kiedy student N.” ... i tak dalej...).

Jak mówić? Jak rozedrzeć skórę słów?

Co napisałem wydaje się teraz nie to.

I co przeżyłem wydaje się teraz nie to.

Kiedy Tomasz przywiózł wiadomość, że domu w którym urodziłem się nie ma,

Ani alei, ani parku schodzącego do rzeki, nic,

Przyśnił mi się sen powrotu. Radosny. Barwny. Latać umiałem.

I drzewa były jeszcze większe niż w dzieciństwie, bo rosły cały czas kiedy już ich nie było.

Utrata rodzinnych okolic i ojczyzny,

Błądzenie całe życie wśród obcych narodów,

To nawet

Jest tylko romantyczne, czyli do zniesienia.

Tak zresztą spełniła się moja modlitwa, ucznia gimnazjum wychowanego na wieszczach: prośba o wielkość, to znaczy wygnanie.

Ziemia Waszej Wysokości nie podobała się

Z innej niż państwo światowe przyczyny.

Jakkolwiek zdumiewam się, że dożyłem szacownego wieku.

I niewątpliwie zaznałem wybawień cudownych, za które wdzięczność ślubowałem Bogu, czyli że tamta groza i mnie nawiedziła.

Słyszysz głosy, ale nie pojmuje tych krzyków, modlitw, bluźnierstw, hymnów, które jego obrały za medium. Chciałby wiedzieć kim był, a nie wie. Chciałby być jeden, a jest wielością w sobie sprzeczną, która go trochę tylko cieszy, a bardziej zawstydza. Pamięta pałatki Czerwonego Krzyża nad jeziorem w miejscowości Wyszki (a nie umiałby ich nazwać namiotami, jeżeli wtedy tak ich nie nazywał). Pamięta wodę wyczerpywaną z łodzi, wielkie szare fale i jak gdyby wynurzającą się z nich cerkiew wioski.

Myśli o tamtym roku 1916 i o swojej pięknej kuzynce Eli w uniformie siostry, o tym jak z poślubionym właśnie urodziwym oficerem przemierza konno setki wiorst przyfrontowej strefy. A jego mamusia okryta szalem siedzi przed kominkiem o zmierzchu z panem Niekraszem, którego zna z lat studenckich w Rydze i jego pagony błyszczą. Przeszkadzał im w rozmowie ale teraz siedzi grzecznie i wpatruje się w sine płomyki, bo powiedziała, że jeżeli będzie długo patrzeć, to zobaczy tam jak jedzie śmieszny człowieczek z fajką.

Co zrobimy z dzieckiem kobiety? zapytują moce
Przelatując nad ziemią. Lufy baterii
Skaczą w odrzucie. I znów. A tam równina,
Błyska aż po horyzont, mrowi się, biegną.
W parku nad jeziorem szpitalne pałatki
Koło szpalerów, klombów i warzywnika.
Teraz w galop. Rozwiewa się welon siostry,
Karogniady koń ostry, ściernie, parowy.
Od bindugi na rzece rudobrodzi wiosłują.
Otwiera się za dymem połamany bór.

Wiedza nasza niewysoka, powiadają moce.
Ból ich poznajemy, ale nie współczując.
Majestat podziwiamy, pod obłokami,
Pokorę Matki, Substancji, Ziemi dziewiczej.
I co nam żywoty, co nam umieranie?

Na czworakach wypętlili z ziemianki. Świta.
Daleko, pod mroźną zorzą, pociąg pancerny.

Idzie, ale nie borem lasem, przymierając z głodu czasem, tylko pokojami w których wre, błyska, mieni się kolor i dźwięk form raz narodzonych. Tutaj gromada kobziarzy zagarniętych w średnio-

wiecznej wiosce wspina się trawiastym zboczem na płaskowyż gdzie będzie przygrywać do ataku, tam Wilia tak wylała, że doszła do stopni katedry i pod ostrym słońcem kwietnia łódki malowane w niebieskie, białe i zielone pasy uwijają się koło katedralnej wieży, tam znów chłopcy zbierając maliny natrafili na zarosły cmentarz z imionami Faust, Hildebrand. Zaiste, co nam żywoty, co nam umieranie.

Panie Dwudziestego Roku, które dawały nam kakao.
Rośnijcie Polsce na chwałę, rycerzyki nasze, orlęta!
Amaranty zapięte pod szyją, nasi ułani wjeżdżają od Ostrej Bramy.
Panie z Koła Polek, panie z P.O.W.

Do muzeum wiozłem ich fraki lamowane srebrem,
Tabakiery mówców z izb poselskich.
Kopyta perszeronów stukwały po asfalcie,
Niosło od pustych ulic zapachem zgnilizny.
Popijaliśmy sobie spirt, my woźnice.

„Matko wspomnienia, kochanie kochania”. Od autobusu wiozł go Władek dokartem, a nikt tam nie zastanowił się, że nazwa znaczy tyle co *dog-cart*. Szosa wyboista i zupełnie pusta, na wietrznej, bezdrzewnej wyżynie, w dole po prawej nieduże jezioro, dalej przesmyk: tu osiadłe w zielonych polach oko wody, tam szeroka migotliwa przestrzeń między pagórkami z głazem narzutowym i jałowcem. Biała plamka perkoza pośrodku łuszczącego się blasku. Skręcili na lewo drogą gruntową tam gdzie widać jeszcze jedno jezioro i w dolince u jego końca przejechali wioskę, a za nią znów pod górę w las sosny i jedliny z poszyciem leszczyn, i lasem prawie do samego domu.

„— Któż zarzuci niedokładność, któż rozpozna miejsca i ludzi? Władza moja jest zupełna, wszystko należy tam teraz do jednego tylko człowieka, który kiedyś, uczeń z Wilna, przywieziony został dokartem. I albo zechcę albo nie, powiedzieć kim był Władek, na przykład, że przed pierwszą wojną studiował inżynierię w Karlsruhe, albo kim była ciocia Florentyna, że jeszcze za jej młodości

las nieruszony, starodrzewia, stał ścianą na trzech kilometrach garbów i spadzisz między tym i tamtym, ogromnym, jeziorem, i że ona to sprowadzała te francuskie romanse w żółtych okładkach: Bourget, Gyp, Daudet. Co wybrać, co pominąć, moja wola, i tylko zastawia mnie niechęć do fantazjowań, jakbym wierzył, że można wiernie odtworzyć co było. I dlaczego Florentyna? Trudno przychodzi nowa wiedza: że wolno do niej teraz mówić 'ty', choć nigdy bym się wtedy nie ośmielił, i że nie jest starą damą ale panią i dzieckiem i wszystkim równocześnie. Co mnie do niej, w gorsecie i tiurniurze, niewyobrażalnej w jej cielesnych potrzebach, wożące córki do Warszawy, Paryża, Wenecji i Biarritz? A przecie myśl właśnie o niej wprowadzała mnie w to udzielne państwo czystej empirii. O tym jak pogodziła się: zamiast żeby ekonom i służba, córki wstają o świcie, długie buty, kozuchy, do stajni, do chlewu, wysyłają dworskich na robotę, nadzorują w zimie młóćby do wieczora. A przez trzy miesiące roku już nie dwór tylko pesjonat dla letników, w kuchni u Katreczki ogień pali się od czwartej rano do nocy i Władek godzinami wali w fortepian, a oni, ci goście którzy płacą, tańczą. Także milczącą zmianę obyczaju trzeba było przyjąć, obojętność na to czy córki mają mężczyzn ze ślubem czy bez ślubu, i że prócz Władka mieszka to Jerzyk, to kto inny. Wszystko było jak było, niewymówione, tak że konieczna zwyczajność obracała jakąkolwiek zasadę i wymaganie w ludzki wymysł obezwładniany bez tak i nie. Nie jeżdżono do kościoła, czasem tylko, dla Florentyny. I ona, z dwiema nie bardzo katolickimi córkami, była moją ukrytą myślą o umowności wiary i przekonań, które nie mogą oprzeć się prawu rzeczy”.

W istocie, dlaczego jemu, snującemu ten monolog, nie miałyby co tam poznać wystarczyć? Myślał wtedy, że znalazł się tam przypadkiem i na tymczasem, że jest to tylko wstęp do czegoś, ale nigdy i później nie było nic prócz wstępu i na tymczasem.

Materiał ten, kosmaty, prawie wołok, w ciągu całego stulecia używany był na szlafroki, więc nie rozróżniesz, koniec to czy początek dwudziestego wieku, jeżeli siedząca przed lustrem jego płat odchyła jaskrawo-żółty nad różo-brązem jej piersi. Ani szcztotka w jej ręku nie zmieniała kształtu i rama okienna może być kiedykolwiek, jak i widok na wiatrem zginane jesiony. I kto jest ona, w tym jedynym ciele przebywająca, i w jedynej chwili?

Przez kogo tutaj naprawdę widziana
kiedy odjęte jest nawet jej imię?
Jej skóra dla nikogo w trzeciej osobie,
jej najgładszej skóry nie ma w trzeciej osobie.
A oto i obłok nadbiega zza drzew
obrzeżony miedzianym blaskiem i to wszystko
nieruchomieje, stęży się, wstępuje w światło.

Zorza północnych okolic, śpiew żeńców za jeziorem.
Daleko ruszają się, drobni, wiążą ostatnie snopy.
Jakie prawo przedstawiać ich sobie jak powracają do wioski,
i zasiadają przy ogniu, i warzą, i kładą chleb,
albo ich ojców, w chatkach przed wynalazkiem komina,
kiedy każdy dach kurzył się, niby od pożaru,
albo całą tę ziemię, nim została wydana wiatrom,
cichą, z okami jezior, w nietkniętym borze?
I jakie prawo zgadywać następne wschody słońca
na więziennym pociągu czy snem wieżowych żurawi?
Siebie mianować bogiem, który zagląda w ich okna,
potrzęsa głową, odchodzi, litując się, bo wie dużo?
Ty, młody panie myśliwy, lepiej łódkę prowadź na głębie
i podbierz zabita kaczkę nim zrobi się ciemno.

W nocnym pociągu, zupełnie pustym, hałasującym przez pola,
przez lasy, młody człowiek, ja dawny, niepojęcie ze mną tożsamy,
podkurcza nogi na twardej ławce, bo zimno w wagonie, i drżąc
słyszy klask przejazdów, echo mostów, takty przeseł, gwizd lokomotywy.
Budzi się, przeciera oczy i widzi nad przelatującymi
kostrubami sosen granatowy obszar w którym jarzy się, nisko,
jedna krwawa gwiazda.

GWIAZDA PIOŁUN

Pod Gwiazdą Piółun gorzkie toczyły się rzeki.
Człowiek na polu zbierał gorzki chleb.
Nie świecił nad nim w górze znak boskiej opieki
I hołdu swoich wiernych domagał się wiek.

Od dinozaura swój ród wywodzili.
Zręczność lemurów z grot skalnych przynieśli.
I nad miastami lot pterodaktyli
Ogłaszał prawo dla myślącej pleśni.

Związali drutem człowiekowi ręce
i wyśmianego kładli w płytkie groby,
Żeby nie wzywał prawdy w testamentcie
I już na zawsze był anonimowy.

Imperium planetarne było blisko.
Władza nad mową została im dana.
I nie ostygło jeszcze popielisko
Kiedy stał znowu Rzym Dioklecjana.

Czesław MIŁOSZ

Pierwsze spotkania

Ułożyć ze słów gratulacyjną wiązanekę, oddać sprawiedliwie co należne twórcy i jego dziełu, podkreślić znaczenie nadanego mu wawrzynu dla literatury naszej w ogóle, dla narodu zaś, w sytuacji w jakiej się znajduje, w szczególności — nie, tego nie potrafię. Liczne zdania uznania, hołdu, radości, jakich tak wiele w różnych wypowiedziach przynoszonych z Kraju przez agencje prasowe, wśród których nawet, w wywiadzie jednego z „żagarystów” (nie mającego osobistych powodów do przyjaźni dla laureata), znalazło się porównanie znaczenia dla Polski tegorocznego literackiego „Nobla” ze znaczeniem wyboru polskiego papieża, ale także z trudem tłumione pomruki niezadowolenia, maskowanego zawodu, zaambarasowania komplikacjami politycznymi wywołanymi przez ten akt — wszystko to nie dodaje odwagi. Spróbuję raczej powiedzieć, kim Miłosz był dla mnie, w nadziei, że może ukazać w ten sposób kim był i dla wielu z mego pokolenia, którego dzieciństwo przypadło na okres wojny.

Kilka faktów, kilka dat, kilka spotkań. W ten sposób da się uniknąć uroczystego tonu, jaki siłą rzeczy wkradać musi się pod pióro w trakcie pisania z okazji tak niecodziennego wydarzenia. Od razu muszę zaznaczyć, że pierwsza młodość mego pokolenia (a przez młodość rozumiem gimnazjum, liceum, studia) przypadła na okres najbardziej ponurego zniewolenia umysłów i serc, a kiedy (bogatszy o dojrzałe doświadczenie lat przedwojennych) pisarz, tak przenikliwie fenomen ten wkrótce opisał, myśmy istotę mechanizmów tego zniewolenia ledwo intuicyjnie dopiero przeczuwali. Większe poddanie się zniewoleniu jednostek i grup mego pokolenia, a mniejszy udział w samym zniewalaniu od o trzy, cztery lata wcześniej urodzonych, tłumaczyłbym naszą większą biernością, wynikłą może z poczucia bezsily i mniej-

szą skłonnością do rewolucyjnego fanatyzmu, który u wielu starszych był skutkiem niedostatecznego wyżycia się w czasie wojny. Zresztą może się mylę. To zagadnienie wymagałoby zapewne osobnego zastanowienia się, nie tu na to miejsce, i każdy, kto tamte lata przeżył świadomie, w końcu pewnie prędzej czy później odczuje potrzebę przeprowadzenia z nimi rozrachunku, zgodnie z własnym sumieniem. Chciałbym tutaj podkreślić specyficzne odcięcie mego pokolenia od wielu książek, od wielu źródeł wiedzy, bez których nie ma prawdziwego poznania świata, od niezafałszowanej informacji o rzeczywistości, od pewnych korzeni kulturowych, a nawet — niedouczenie, niedokszałcenie. Bariery już wtedy zapadły i były nieprzepuszczalne. Piszących, tak jak ja, gromadzących się najpierw w literackich kółkach licealnych, później uniwersyteckich, wkrótce potem już zinstytucjonalizowanych przez Putramenta „Kołach Młodych”, poganiali „pryszczaci”, Lasota i Borowski, którzy byli batem ówczesnej polityki kulturalnej. Chodziły wieści, że z bibliotek wywieziono pełne ciężarówki książek na przemiał i zniknął po nich nawet ślad w katalogach, innych jeszcze, które dalej figurowały w rejestrach, nie można było wypożyczyć, złożyły się bowiem na działy prohibitów. Już wtedy „... inteligent przekonał się, że Partia jest siłą... to najbardziej pozyskuje inteligenta dla naszej Partii” — pisał A. Ślucki, i że: „... resztki samotnictwa zostają tym wyraźniej przezwyciężone, im mocniej ugruntowuje się w poezji Broniewskiego wiara w zwycięstwo rewolucji w oparciu o Związek Radziecki...” — pisał R. Matuszewski. Nagonka szła szeroką ławą.

Exemplarz Miłoszowego „Ocalenia”, który dotarł do mych rąk, nie pochodził ani z księgarni, ani z biblioteki. Dlaczego? Nie wiem. Autor należał wciąż przecież do literackiego *establishment*’u Kraju, choć przebywał za granicą, i chyba jeszcze od czasu do czasu pojawiał się jakiś jego wiersz w *Twórczości*. Exemplarz, z którego poznawałem mało znanego mi przedtem poetę, miał wytarte, pozaginane rogi, stanowił własność jednego z przyjaciół polonistów i należał do druków w „obiegu prywatnym”, rzadkich, spoza nurtu, z czasu przeszłego. Takich dziwnych rzeczy było wiele: Ważykowa antologia wierszy francuskich (szczyt nowoczesności i inności poezji dla nas, z tym że tak samo nowoczesny wydawał nam się wtedy Apollinaire, jak Eluard) też należała do druków już oficjalnie nieistniejących i jej właściciel wypożyczał ją jak antykwaryczny rarytas. Wbijaliśmy w głowy marszowe rymy Broniewskiego, a jeszcze lepiej majakowskie butne „Szanowni towarzysze potomni, dłubiąc łajno przeszłości stwardniałe na kamień, przetrząsając ciemnice wspomnień, być może traficie i na mnie...”. Krakowska „Awangar-

da", „Zwrotnica", „Pion", „Linia", „Pióro", „Żagary", „Nowy wyraz", nawet „Skamander", nawet „Wiadomości literackie", całe to niegdyś tak bujne poetyckie życie, to był czas zaprzeszyły. I dokonany. Zapewne, czasem zaprzeszłym dokonany byli także rosyjscy akmeiści, wcześni futuryści, konstruktywiści, którymi karmiliśmy się po cichu łakomie, bo też należeli do naszego „prywatnego obiegu". To była jednak Rosja. Budziła ciekawość, strach, drwinę, nienawiść, ale fascynowała. Poza tym ci Rosjanie czasu zaprzeszłego byli skamienieliną, na której wyrosło to wszystko, co nas już wtedy ogarnęło i przywaliło. Może chcieliśmy odpowiedzieć sobie na pytanie: jak od ich wierszy doszło do tamtych, zaczynających się od „Szanowni towarzysze potomni..."? Nie wiem, nie pamiętam. Czy jednak chcę przez to powiedzieć, że Miłosz mnie nas frapował i przykuwał? Na pewno nie. Tak dobrze utkwiał mi przecież w pamięci ten wytarty, postrzępiony, zmięty tomik jego poezji. Więc przeczyłby samym swym wyglądem. Myślę, że wychylał się do nas, jak ryba z innego rzędu gatunków z głębin potopu ze swym tragicznym doświadczeniem czasu umierania i przeczuciem ostatecznej katastrofy, która nas tak czy tak nie minie. I ton jego liryki brzmiał czysto, „ludzka rzecz", ale czystość „ludzkiej rzeczy" też należała dla nas do przeszłości. W każdym razie wtedy.

Pierwsze książki z Zachodu zaczęły docierać w 55-tym roku, pamiętam. Być może takie „przemity" krążyły już wcześniej w stolicy. Być może nawet oficjalnie otrzymujący zachodnie książki, puszczali je w jakiś swój „prywatny obieg". Ja mieszkając w Poznaniu i wcześniej na oczy nie widziałem egzemplarza *Kultury* paryskiej, ani żadnej innej wydanej przez „Instytut" pozycji. I Miłosz był dla nas, i młodych, i wielu chyba starszych też, przede wszystkim autorem tomu, w którym rozprawił się z czterema posągowymi postaciami ofiarnego ołtarza socrealizmu. Jeszcze — powieści „Zdobycie władzy". Tyle wiedział się z zagłuszanych audycji zagranicznych radiostacji, jedynych bezpośrednich informatorów i z wiadomości czerpanych z drugiej, trzeciej ręki. Na ogół niewiele, i raczej powierzchownie, od strony politycznej. Umiejętność czytania między wierszami polemicznych artykułów literackiej prasy była trzecią podstawą naszej skąpej wiedzy o tym, co tworzyli autorzy emigracyjni. Wtedy więc, kiedy „Zniewolony umysł" był nam najbardziej potrzebny, kiedy mógł pchnąć naprzód nasz rozwój, pomóc niejednemu w wypłataniu się z własnego zniewolenia, był faktycznie nieobecny. A przecież dla samego autora stanowił on już zamknięty rozdział i właśnie ogłaszał drugą swą powieść „Doliny Issy", otwierającą zupełnie inny etap jego twórczości.

„Zniewolony umysł" pożyczył mi katolicki poeta Wojciech

Bąk, w początku 56-tego roku; miał jakieś swoje „kanały". Egzemplarz nie był „zaczytany", był ze świeżego przemytu. Wkrótce z tego samego źródła otrzymałem „Zdobycie władzy". Obie książki były komentarzem do lat, które przeżyliśmy, komentarzem, który nazywał po imieniu, wyjaśniał, oświeślał jak reflektorem ciemność, z jakiej już wtedy zaczynaliśmy się, każdy na swój sposób, wyłaniać, ale która wciąż była jeszcze zbyt blisko i wymykała się pełnemu zrozumieniu. I tak, jak wyżej podkreśliłem wcześniejsze odcięcie, zabarykadowanie, oszańcowanie od książek, informacji, od nieskażonego propagandą literackiego piękna, od artystycznej prawdy (odcięcie nie dla wszystkich jednakże), tak teraz chciałbym podkreślić znaczenie tych pierwszych książek piór emigracyjnych, które zaczęły do nas docierać, a wśród nich Miłosza. Były znakiem rozpoznawczym na drodze, na którą wielu wchodziło już intuicyjnie i „dobrą wieścią", że kiedy błądziliśmy, szukając po omacku, kiedy ulegaliśmy zniewoleniu albo i sami zniewalaliśmy, gdzieś tam daleko trwała nieprzerwanie mrówcza praca nieskażonej doktryną myśli i za nas budowała niezafałszowany obraz rzeczywistości. Uczucie to było pobudzające, ale i pełne żalu. Żalu, że książki te dotarły tak późno i może nad zmarnowanymi, własnymi kilkoma latami.

Dziwnie, moim wczesnym czytelniczym spotkaniom z Miłoszem (a o takich chciałbym tylko mówić, nie o czasie, kiedy kolejne jego utwory stały się moją normalną lekturą w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i później), a więc tym spotkaniom towarzyszył zawsze żal. Żal za czymś, co przepadło bezpowrotnie — przy czytaniu „Ocalenia". Żal, że za późno — przy „Zniewolonym umyśle" i „Zdobyciu władzy". Żal przy lekturze „Doliny Issy", która dotarła do mych rąk około 60-tego roku dopiero. Nie wiem, może jednak mogłem zdobyć ją wcześniej, może zaniedbałem, czas był pełen gorączkowych zmaganiań, nie wiem, czy mnie to tłumaczy.

Ten ostatni żal muszę krótko wyjaśnić. Zwłaszcza skoro całe zafascynowanie dziejami Tomasza, które pozostało mi do dzisiaj, nie potrafiło go przygłuszyć. W 60-tym roku miałem już za sobą przygotowywanie nowej wersji mej dość długo „zatrzymanej" powieści „Wyspa ocalenia" i czekałem właśnie na jej wreszcie obiecanie wydanie w „Czytelniku". Po przeczytaniu „Doliny Issy" doznałem uczucia ogłuszenia. To był potężny łyk jakiegoś oszałamiającego napoju, narkotyku. „Kresy" Tomasza, ich przyroda, krajobraz ludzki (inne wszystko wprawdzie, niż na moich „kresach", nigdy naprawdę nie widziane), przybliżyło się na odległość spojrzenia, jak gdyby i ja, i mój bohater, tam kiedyś byli i żyli. Pamiętam myśl, że powinienem swą powieść napisać na nowo. Wkrótce wprawdzie zrozumiałem, że są prze-

cież dzieła niedoścignione i nawet jeśli się je zna, zanim samemu na podobny temat zacznie się coś pisać, można tylko powtarzać, nic więcej, a nie o powtórki w literaturze chodzi, tamto wrażenie pozostało.

„Dolina Issy” należy od tego czasu do książek, do których muszę powracać, mając do nich stosunek najbardziej intymny, jaki można mieć jeszcze tylko do kobiety, miejsca urodzenia, domu rodzinnego. Każdy, myślę, ma takich swoich dziesięć, powiedzmy, książek, które by zabrał z sobą, gdyby miał znaleźć się na resztę życia na bezludnej wyspie. Wśród tych moich dziesięciu, na jednym z pierwszych miejsc, jest ta porywająca książka o dojrzewaniu chłopca, o życiu i śmierci, i znowu życiu, o ciekawości życia. Znam każdy zakręt losów Tomasza na pamięć, jego myśli, zawody i nadzieje. Odczytuję te losy co pewien czas na nowo, zawsze z tą samą pasją i świeżością pierwszego miłosnego spełnienia, ale i z lękiem, jaki chyba jest zespolony z każdą miłością.

Włodzimierz ODOJEWSKI

1956 - 1970 - 1980

Zdumiewające jest to poszukiwanie analogii pomiędzy wydarzeniami czerwca i października 56, grudnia 70 oraz gorącego polskiego lata roku 1980. Na pozór podobieństwa są uderzające. Bunt czy protest społeczny przeciwko władzy, a następnie próby reform. Ale w takim sensie wszystkie ruchy masowe są do siebie podobne i mają podobne cele.

Na dobrą sprawę literalnie *nic takich uproszczonych analogii nie uzasadnia*. Te trzy przełomy polityczne w PRL miały bowiem całkiem inne przyczyny, całkiem inny przebieg, całkiem inne skutki, rozgrywały się w całkiem odmiennych warunkach społecznych, w odmiennej atmosferze politycznej, moralnej i psychologicznej, na koniec wreszcie prowadziły do zupełnie odmiennych konsekwencji.

I nie jest wcale słuszny pogląd, tu i ówdzie rozpowszechniany, że wszystkie te trzy bunty masowe wymierzone były w istniejący ustrój, oraz że przyświecały im te same ideały narodowe, które w perspektywie historycznej sumują się jako walka o suwerenność Polski. Być może tak się odczytywać będzie dzieje PRL za pięćdziesiąt albo sto lat. Dzisiaj wszystko jednak wygląda inaczej.

Najbliższy sprawie suwerenności państwowej był rok 1956. Później kwestia zależności państwa polskiego od struktur bloku wschodniego stała się taką oczywistością, że ruchy masowe nie wysuwały tej sprawy, a w każdym razie nie artykułowały jej jednoznacznie. W roku 1980 naczelnym problemem stała się suwerenność społeczeństwa, w ramach ograniczonej suwerenności państwowej.

Lecz to zagadnienie stanowi margines niniejszych rozważań. Właśnie dlatego, że Polacy rozumieją sytuację, w której rozważania na temat pełnej suwerenności państwa są wprawdzie cenne i potrzebne, ale w obecnej chwili dziejowej po prostu nierealne.

Warto chyba — dla osiągnięcia pewnego ładu myślowego — dokonać analizy wydarzeń roku 1956, roku 1970 i roku 1980 pod kątem ich odmienności oraz historycznych konsekwencji dla życia narodowego. Rzecz jasna, konsekwencje ostatnich wydarzeń nie są jeszcze jasne, Polska znajduje się w sytuacji labilnej, a kryzys wcale się nie skończył. Są nawet tacy, którzy powiadają, że kraj jest dopiero u początku kryzysu, co można jednak uznać za przesadę i świadectwo paniki. Już jednak dzisiaj można się pokusić o sformułowanie pewnych ogólnych wniosków, także w odniesieniu do roku 1980.

Zacznijmy od historii. Jak to było naprawdę w czerwcu i październiku 56?

Był to jedenasty rok po wojnie, był to również zaledwie siódmy rok sowieckiego modelu władzy w Polsce. W początkowym bowiem okresie Polski Ludowej funkcjonował — co prawda w atmosferze terroru — system wielopartyjny i polityczny pluralizm, a gospodarka narodowa rozwijała się dość swobodnie, nie ujęta jeszcze w ciasny gorset planowania typu sowieckiego. Tak więc „realny socjalizm” jak się to dziś elegancko nazywa, liczył sobie w Polsce roku 1956 zaledwie siedem lat życia. Ówczesne dojrzałe społeczeństwo, a głównie ówczesna klasa robotnicza, wychowały się politycznie w okresie międzywojennym. Walki klasowe tamtego czasu, w których wiodącą rolę odgrywała PPS, ale także — po części — KPP, należały do tradycji robotników polskich. Zaledwie jedenaście lat minęło od chwili zakończenia straszliwej wojny, która była wciąż żywa w pamięci społeczeństwa. Trwałość ówczesnej Polski wydawała się zagrożona nie tylko z powodu dominacji ZSSR, lecz także z racji świeżych rachunków z Niemcami. Ziemia Odzyskana, ich przyszłość, ich los i autentycznie polski rozwój — budziły żywy niepokój wielu ludzi. Rosja była wtedy w świadomości mas polskich jedynym gwarantem granicy na Odrze i Nysie. Jednocześnie stalinizm doprowadził do strasznej niewoli i upokorzeń.

W marcu 56 roku Chruszczow obalił mit Stalina. Tyran został uznany za zbrodniarza.

W planie psychologicznym dla olbrzymiej większości ówczesnych ludzi sytuacja rysowała się dość prosto. Oto okazało się nagle, że socjalizm, którego wartość nie była kwestionowana, uległ ciężkim błędom i wypaczeniom, spowodowanym przez despotyczne rządy Stalina. Socjalizm sam w sobie jest dobry

i leży w interesie narodowym Polaków, ale to co się działo w ciągu ostatnich kilku lat — po prostu nie było socjalizmem.

Jest rzeczą oczywistą, że taki kierunek myślenia i takie oceny inspirowała duża część kierownictwa PZPR. Jest również rzeczą oczywistą, że ludzie z tego kierownictwa byli różni. Jedni szczerze pragnęli ocalenia „prawdziwego socjalizmu”, innym chodziło o zachowanie stanowisk. Bez względu na intencje jakimi się kierowali — stanęli na czele ruchu masowego w październiku 56. Lecz nie należy traktować tej sprawy w kategoriach policyjnych. Październik nie był ukartowany, październik był dziełem szerokich rzesz narodu, który wówczas przychylił się do takiej interpretacji wydarzeń i do takich działań, jakie proponowała część aparatu władzy.

Stało się tak dlatego, że robotnik polski tamtych czasów wiązał z istniejącym ustrojem duże nadzieje na swoją emancypację. Stało się tak dlatego, że naród jako całość nie chciał naruszyć istniejących układów w obawie przed osłabieniem młodego i zagrożonego organizmu państwa. Stało się tak dlatego, że bardzo wielu ludzi akceptowało ówczesny system, winiąc Stalina za doprowadzenie do zwyrodnień i zbrodni. Dla Polaków ówczesnych system nie był zły jako taki, zła była tylko stalinowska praktyka, która obrażała godność jednostki i niweczyła suwerenność Polski. Sądzone, że jest całkiem możliwe, w ramach istniejącego systemu, odzyskanie tej suwerenności, przy zachowaniu sojuszu i przyjaźni z ZSSR. Ludzie byli wówczas gotowi wybaczyć potężnemu sojusznikowi tragiczne doświadczenia z przeszłości i liczyli, że sprawy polsko-sowieckie ułożą się pomyślnie, zgodnie z prawdziwym internacjonalizmem i zasadami socjalizmu.

Niebywały entuzjazm z jakim witano powrót do władzy Gomułka potwierdza taką opinię. Należy bowiem pamiętać, że do władzy wracał komunista, który zaledwie przed kilku laty dawał się dobrze we znaki społeczeństwu, niechętnemu nowym formom ustrojowym. Był to więc fenomen bez precedensu w historii. Polityk, który personifikował system ucisku i terroru z lat 1944-1948, w październiku 56 wprawiał naród w euforię. Stało się to za sprawą prostego faktu, że mianowicie Gomułka był więźniem stalinizmu, a więc ofiarą wypaczeń i błędów, sam zaś reprezentował system już przez społeczeństwo akceptowany. Oczekiwano, że teraz, *dopiero teraz* rozpocznie się budowa socjalizmu.

Z perspektywy niemal ćwierćwiecza można się odnieść do tych iluzji ze współczuciem, ale nie należy ówczesnym Polakom zarzucać braku dojrzałości i przenikliwości. Nie ulega kwestii, że najbardziej oświecone kręgi społeczeństwa już wtedy zdawały sobie sprawę z politycznych złudzeń mas. Powstaje tylko pytanie — czy uczyniły cokolwiek, aby masy oświecić? Powstaje też

pytanie — czy należało to czynić właśnie wówczas? I jeszcze jedno pytanie — czy masy dałyby wówczas wiarę środowiskom najbardziej oświeconym, a więc intelektualistom i uczonym? Bo prawda, choć gorzka, jest taka właśnie, że owi intelektualiści w dużej mierze byli akolitami stalinowskiej władzy, po trosze z pychy, po trosze z wygody, po trosze z powodu zwątpienia w cywilizację indywidualistyczną, która się tak potwornie skompromitowała swoją słabością wobec hitlerizmu.

Zaś duża część intelektualistów, którzy w poprzednim czasie ucztowali przy stołach władzy — z całą szczerością i zapałem stanęła na czele październikowej odnowy, ulegając powszechnym złudzeniom i umacniając te złudzenia w świadomości mas. Ponieważ jest rzeczą niemądrą i niegodziwą wypominanie tym ludziom ich przeszłości stalinowskiej, tym bardziej niemądre i niegodziwe byłoby obarczanie ich zarzutem politycznej niedojrzałości za październik 56. To zresztą dopiero po latach rozmaici mędrcy i chłodni gracze poczęli głosić, że już dawno przewidzieli dalszy bieg wypadków. Wtedy takich było niewiele! Bądź co bądź XX Zjazd w Moskwie wstrząsnął posadami systemu i można było oczekiwać, że nastąpi wielka przemiana. Co więcej — przemiana nastąpiła. Może nie tak wielka jakiej oczekiwano, ale na pewno znacząca. Bez XX Zjazdu nie byłoby ani dzieł Sołżenicyna, ani jego samego wśród żywych. To można odnieść do setek tysięcy ludzi, żyjących dzisiaj w ramach sowieckiego imperium, od Pacyfiku po Łabę.

W Polsce zaś październik 56 przyniósł zmiany kolosalne. Na dwóch płaszczyznach. W sferze gospodarki rolnej i polityki wyznaniowej Gomułki — jeśli idzie o praktykę. W sferze przewartościowań ideowych — jeśli idzie o życie duchowe Polski.

Czternaście lat dyktatury Władysława Gomułki to było czternaście lat gorzkiego dojrzewania narodu w warunkach „realnego socjalizmu”. Iluzje w sprawie pełnej suwerenności państwowej zostały pogrzebane, przynajmniej w planie bieżącej polityki polskiej. Społeczeństwo doszło natomiast do przekonania, że system, który zainstalował się w kraju po wojnie — nie odpowiada naturze, tradycjom i aspiracjom Polaków. Jednocześnie wyrastały nowe pokolenia, które pewne pryncypia socjalizmu traktowały jako oczywistość niejako organiczną, wynikającą z praw natury. Społeczna własność środków produkcji, powszechne zatrudnienie, opieka socjalna, bezpłatna służba zdrowia, wczasy pracowni-
cze, prawo do taniego mieszkania, mecenat państwa w dziedzinie kultury — to były elementy socjalizmu głęboko zakodowane w świadomości. *Państwo socjalistyczne jawiło się w umysłach jako czynnik trwały i niezmienny, obarczony wielorakimi obowiązkami wobec obywatela.* Natomiast władza tego państwa,

właśnie dlatego, że było ono obecne w każdym zakątku życia — stawała się coraz bardziej uciążliwa.

Doszła do głosu odwieczna antynomia pomiędzy równością i wolnością. Zasady równości, których reżym Gomułki starał się przestrzegać, pogłębiały poczucie zniewolenia. Już wtedy ludzie dostrzegali z całą ostrością immanentne wady systemu, który był pozbawiony samoregulujących mechanizmów, nie tylko na skali wartości między równością i wolnością, ale także w związkach pomiędzy obywatelem a państwem.

Ekonomiczne doktrynerstwo Gomułki, jego kramikarski stosunek do wszystkich problemów społecznych, wielkich i mniejszych, coraz bardziej anachroniczny model ekonomiczny, który niszczył wszelką inicjatywę i sprawiał, że gospodarka narodowa pracowała na jałowym biegu — wszystko to razem doprowadziło do grudniowego wybuchu buntu roku 1970.

Był to bunt ludzi, którzy nie mieli nic do stracenia. Może nie byli głodni w sensie dosłownym, ale niedostatek i ograniczenia okazały się na tyle nieznośne, że ludzie wyszli na ulice. Był to wybuch nienawiści i rozpacz. Niekontrolowany, pozbawiony programu. Najtragiczniejsza karta polskich dziejów powojennych! Straszliwe znużenie okresu gomułkowskiego spowodowało, że naród zadowolili się wówczas po prostu zmianą ekipy. Gierek zawdzięczał to Gomułce, jego głupocie, jego ciasnocie, tej aurze beznadziejności i duchowego krachu jaka panowała w Polsce roku 1970. Mord na robotnikach Wybrzeża był szokiem bez precedensu w całych dziejach narodowych. Nigdy jeszcze Polacy nie zabili tak wielu Polaków. Polacy uzbrojeni — Polaków bezbronnych.

Ten zbrodniczy przelew krwi, ten straszny wstrząs moralny pozwolił Gierkowi sięgnąć po władzę i zdobyć ją bez udzielenia gwarancji instytucjonalnych. Naród przystał na to, bo za wszelką cenę chciał się uwolnić od Gomułki, od koszmaru grudniowych salw na Wybrzeżu.

Gierek nigdy nie był popularny i obdarzony zaufaniem mas, nawet w okresie sukcesów ekonomicznych pierwszych lat swoich rządów. Jego siła polegała tylko na tym, że *nie był Gomułką*. I mimo, że Gierek należy do umysłów tuzinkowych, a los nie skrocił go na męża stanu — o tej prostej prawdzie, że trzeba być innym niż Gomułka, pamiętał do końca. I był inny we wszystkim. Był inny w tym co złe, a także inny w tym co dobre. Osobista skromność Gomułki i pełna pychy próżność Gierka. Prowincjonalizm Gomułki i światowe maniery Gierka. Gomułkowski model antyinflacyjny, stagnacyjny, kramikarski — i gierkowski model galopującej inflacji, inwestycyjnego szaleństwa, wielkopańskiej rozrzutności. Autokratyzm Gomułki i „dialog z naro-

dem" Gierka. Autentyczna ideowość Gomułki i cyniczny technokratyzm Gierka. Gomułkowski szacunek dla polskich impondabilów w stosunkach z ZSSR — i niewiarygodne lokajstwo Gierka wobec Rosji. Gomułkowskie ciułanie do pończochy każdego dolara, i gierkowskie zadłużenie przekraczające 20 miliardów dolarów. Ascetyczne wymagania Gomułki wobec aparatu i rozbastwienie aparatu gierkowskiego, tych balzakowskich arystów, ale bez balzakowskiego wdzięku i polotu. Ostra krytyka wszystkich i wszystkiego ze strony Gomułki — i lizusostwo Gierka wobec wszystkiego i wszystkich. Gomułkowskie poczucie siły i subiektywnej racji — i gierkowskie poczucie słabości i zagubienia, które usiłował rekompensować oszalałą propagandą sukcesu oraz wynoszeniem swej własnej osoby na narodowe ołtarze. Upór Gomułki i niekonsekwencje Gierka. A na koniec wreszcie przeświadczenie Gomułki, że polityka jest walką, w której ludzie mogą stracić godność a nawet życie — oraz przekonanie Gierka, że politykę robi się na tajnych konwentylkach między cwaniakami, którzy nie mają żadnej godności i którym nade wszystko idzie o profity oraz przywileje.

Gomułka był politykiem i mężem stanu, a jako człowiek był mściwy, uparty, ciasny, głupi i pozbawiony polotu. Gierek był technikiem władzy, biurokratą partyjnym o ograniczonych horyzontach, a jako człowiek był słaby, pełen wahań, próżny, leniwy, wygodny. W Gomułce było coś z inkwizytora starej bolszewickiej szkoły — i dlatego posunął się do zbrodni. Gierek był próżnym sybarytą, zwolennikiem zasady *leben und leben lassen* — dlatego mógł istnieć KOR, mogły się rozwijać niezależne wydawnictwa, i nawet po Ursusie i Radomiu w roku 1976, kiedy — popychany zapewne przez swych doradców w kierunku represyjnym — podjął pewne kroki, rychło z nich zrezygnował, ufny że *dolce far niente* jest polityką najlepszą.

Ale przecież nie cechy tych dwóch ludzi zdecydowały o losach Polski, lecz przeobrażenia społeczne, nade wszystko zaś rozwój świadomości politycznej mas.

Dekada rządów Gierka zrujnowała w społeczeństwie dawne wyobrażenia o zasadach socjalizmu. A nawet więcej. Rządy Gierka przeczyły temu wszystkiemu, co młodsze pokolenia polskie traktowały jako organiczny czynnik życia zbiorowego, jako naturalne środowisko człowieka. Rządy Gierka przeczyły zasadom równości, a to co nosiło miano władzy ludowej okazywało się po prostu władzą dworskich fagasów. Społeczna własność środków produkcji stała się fikcją ponieważ rady robotnicze już nie istniały od dawna, a KSR-y były przedłużeniem administracji gospodarczej. Powszechne zatrudnienie realizowało się w sposób formalistyczny, bez żadnego związku z aspiracjami i kwalifikacjami

obywateli. Opieka socjalna i bezpłatna służba zdrowia przestały funkcjonować. Wczasy pracownicze uległy zupełnej likwidacji. Prawo do taniego mieszkania okazało się szyderstwem ze zdrowego rozsądku, ponieważ okres oczekiwania na mieszkanie wydłużył się do bez mała dwunastu lat, a wysokość czynszów wzrosła ogromnie. Mecenat państwa w dziedzinie kultury legł w gruzach z powodu drakońskich oszczędności finansowych, szaleństw cenzury i ograniczeń całej bazy materialnej.

Nie zostało więc nic z tych wyobrażeń, które system gomułkowski zaszczerpił w świadomości masowej dzięki swej kulejącej wprawdzie i wciąż ograniczanej praktyce czternastu lat. Natomiast na tym wizerunku socjalizmu pojawiły się zupełnie nowe elementy, poprzednio niezbrane. Rozrost klik, szalejąca korupcja, nuworyszowskie obyczaje aparatu władzy, marnotrawstwo, złodziejstwo, chamstwo, deptanie godności obywatela w każdym urzędzie. Nade wszystko zaś hierarchiczne rozwarstwienie społeczeństwa na wąską grupę właścicieli Polski Ludowej, którzy wszystko posiadali i wszystko mogli, na nieco szerszą grupę dobrze sytuowanych karierowiczów, związanych z aparatem władzy — oraz na masy społeczeństwa borykające się z coraz większymi troskami materialnymi. System przywilejów, niesłuchanie rozbudowany, przekształcił kraj w olbrzymi dwór feudalny, z tym jednak poważnym mankamentem, że w gierkowskim feudalizmie pan nie miał żadnych obowiązków względem swojego wasala, wasal natomiast obarczony był wszelkimi obowiązkami wobec pana.

Polska Gierka to kraj bezprawia, w którym humor albo wielkopański kaprys wynosiły ludzi w mgnieniu oka na wyżyny dostatku i przywilejów, lub strącały na sam koniec długiej kolejki po mięso czy kiełbasę. Dowolność decyzji nie tylko w kwestiach personalnych, ale w zasadniczych sprawach ekonomicznych przekroczyła wszelką miarę. Kraj staczał się po równi pochyłej kryzysu, a cały aparat państwa powoli zamierał.

Ubezwłasnowolnienie jednostek i całego społeczeństwa, już bardzo dotkliwe w czasach Gomułki — u schyłku rządów Gierka osiągnęło swoje apogeum. Obywatel był niewolnikiem państwa, a ściślej — niewolnikiem wąskich klik w aparacie władzy. Ludzie o umysłowości i moralności Łukaszewicza, Szczepańskiego, Wrzaszczyka, Grudnia, postaci wręcz niewiarygodne, psychologiczny melanż chuligaństwa, ciemnoty, pazerności i bezwzględności — odgrywali decydującą rolę w życiu kraju. W istocie rzeczy, w ostatnich latach panowania Gierka na wszystkich szczeblach władzy działały brudne gangi, na poły kryminalne, które co prawda istnieją wszędzie, w każdym społeczeństwie, ale przecież na jego marginesie i bez aspiracji do odgrywania roli kierowniczej.

Krach ekonomiczny, który po części był następstwem obiektywnych praw recesji światowej, lecz głównie rezultatem nieuctwa, samodurstwa i gigantomanii ekipy Gierka — uniemożliwił dalsze realizowanie modelu władzy lat siedemdziesiątych. Bo model ten miał — wbrew pozorom — szanse sukcesu, także na dalszą metę. Znowu nie ma tu żadnych analogii z okresem władzy Gomułki. Stagnacja i dreptanie w miejscu, międlenie sieczki słów i ascetyzm, Polska siermiężna, biedniejsza z dnia na dzień, zabita deskami od świata, zanudzana tasiemcowymi referatami na temat skupu żywca i wydajności z hektara — taka Polska istnieć długo nie mogła, szczególnie po wydarzeniach roku 1968, kiedy to do władzy doszli arywiści powojennego, partyjnego chowu, wyposzczeni na mniej znaczących posadkach, spragnieni osobistego sukcesu cywilizacyjnego, bezwzględni i całkiem wyzwoleni z ideowych urojeń starego szefa. Model gomułkowski pękał w szwach już w połowie lat sześćdziesiątych, po marcu 68 roku pruć się na oczach całego społeczeństwa, by rozsypać się w strzępy pod grudniowymi salwami na Wybrzeżu.

Natomiast model gierkowski, polegający na korumpowaniu społeczeństwa, na usypianiu jego publicznych zainteresowań i wrażliwości politycznej przy pomocy technicznych maskotek, gad-getów, wzrostu stopy życiowej, tego całego sztafazu „dynamicznego rozwoju” oraz „drugiej Polski” — ten model, gdyby wytrzymał inflacyjne przeciążenia, miał, niestety, szansę trwania. Niestety, bo spustoszenie moralne, degrengolada jednostek i grup, a nawet całych środowisk zawodowych, zniszczenie wszelkiej więzi międzyludzkiej, atomizacja — czyniły olbrzymie postępy. Społeczeństwo, spragnione materialnego dostatku, chore w czasach Gomułki z powodu tego całego technicznego zacofania i prymitywnych warunków egzystencji, trawione było pożądaniem konfekcji, motoryzacji, udogodnień codzienności, rozbudowanych i sprawnych usług itp. itd. I ludzie w pierwszych latach władzy Gierka dali nura w odmęty cywilizacji technicznej. Instynkt społeczny zanikał, imponderabilia polskie schodziły na dalszy plan. Było to niesłychanie groźne dla duchowej substancji, dla polskości po prostu. Ta gierkowska praktyka szła w parze z ograniczaniem dóbr kultury, ze spływaniem jej wartości w ramach środków przekazu masowego. Miał rację Maciej Szczepański gdy się chełpił, że jego telewizja zaspokaja 80 % potrzeb duchowych narodu. Proceder usypiania wrażliwości, wypaczania umysłów, zatrutowania ich najtańszym, niemal brukowym produktem, przy równoczesnym realizowaniu — w pierwszym pięcioleciu — aspiracji materialnych i cywilizacyjnych mas, przynosił nader niepokojące rezultaty.

Cezurą był rok 1976. Gdyby wówczas Gierek ocknął się,

gdyby wyhamował swoją gigantomanie inwestycyjną i więcej troski poświęcił kwestiom rynkowym — model jego władzy miałby szanse przetrwania o wiele dłużej, z olbrzymią szkodą dla Polski i Polaków. Szczęściem próżność szefa partii i ciasnota umysłowa jego doradców zagłuszyły ich instynkt samozachowawczy.

Po czerwcu 76 ekipa Gierka była już skazana — i wiedziała o tym cała Polska, z wyjątkiem *establishment'u*. Bez czerwca 76 niepodobna zrozumieć sierpnia 80. Wtedy właśnie, na tych „ścieżkach zdrowia” Radomia i Ursusa, w rytmie milicyjnych pałek, spadających na karki robotników, pośród wrzawy pokazowych masówek partyjnych organizowanych przez Grudnia i Łukaszewicza — narodziły się nowe nadzieje. Społeczeństwo zrozumiało, że jest w rękach gangów, a system władzy w Polsce musi być instytucjonalnie przebudowany. Po raz pierwszy w historii inteligencja polska z całą mocą i determinacją wystąpiła w obronie robotników. Zaczął się formować jednolity front społeczny przeciwko zdeprawowanej władzy partyjnych bonzów. Zasługi KOR-u są ogromne i mają wymiar historyczny. Później doszłusowały do pracy nad wielkim dziełem odnowy moralnej inne grupy, m.in. DiP, który wiele uczynił w sensie inspiracji intelektualnej.

Idea wolnych związków zawodowych torowała sobie drogę coraz szerzej, coraz wyraźniej w szeregach klasy robotniczej. Tęsknota do samorządności ogarnęła całe społeczeństwo.

Polityczny temperament Gierka i wspólne dla całej jego ekipy poczucie słabości, charakterystyczne dla ludzi, którzy prze-czuwają instynktownie, że ich własna małość i nicość są tajemnicą poliszynela, a także horrendalne zadłużenie na Zachodzie — wszystko to paraliżowało kontrakcję władzy w obliczu narastającej opozycji.

Decyzja o podwyżkach mięsa wywołała na początku lipca płomień strajków w całym kraju. Ale jeszcze w połowie lipca, jeszcze w początkach sierpnia — była dla Gierka nikła szansa ocalenia. Przysłowie jednak powiada — kogo Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera!

Establishment uwikłał się we własną sieć. Propaganda sukcesu spowodowała niedrożność wszelkich kanałów porozumienia w samym aparacie władzy. Dworskie nawyki sparaliżowały aparat.

I tak spełnił się upadek „przywódcy narodu”. Lecz tym razem nikogo nie zadowolili zmiany personalne na szczytach władzy partyjnej i państwowej. Nie było strzałów — jak w grudniu 70, nie było też atmosfery znudzenia i stagnacji lat gomułkowskich. Ostatnie lata władzy Gierka charakteryzowały się wiel-

kim fermentem umysłowym we wszystkich niemal kręgach społeczeństwa oraz coraz wyraźniejszym paraliżem gospodarki i administracji. Jeśli ktoś był zużyty latem 80 roku to władza, a nie społeczeństwo! W grudniu 70 roku stoczniovcy i portowcy byli osamotnieni, a cały naród oniemiał ze zgrozy gdy padły salwy na ulicach Wybrzeża. Latem roku 80 ci sami stoczniovcy i portowcy przystępując do wielkiej batalii o zmiany strukturalne w państwie byli świadomi, że strajki ogarnęły już cały kraj. Łączność wśród klasy robotniczej była doskonała, jasność celów wyraźna, solidarność scementowana latami poprzednich, smutnych doświadczeń. Nie było żadnych złudzeń, była chłodna rozważa ludzi, którzy znali swoją ogromną siłę i świadomi byli swej racji politycznej, moralnej, ludzkiej, obywatelskiej, narodowej.

Jak płomień wzdłuż lontu biegły strajki od Lubelszczyzny, przez Warszawę, Wielkopolskę i Dolny Śląsk — na Wybrzeże. A kiedy tam zapalił się już trwały ogień, kopalnie i huty Zagłębia i Górnego Śląska podały ręce ludziom z Gdańska i Szczecina. *Nigdy chyba w historii Polska nie była tak bardzo zespólona, nigdy nie była taką jedną, wspólną Polską wszystkich Polaków.*

Ta solidarność i wytrwałość brała się z rozpaczliwego przeświadczenia, że władza znów oszuka i wydrwi społeczeństwo. Ta zimna krew, spokój, opanowanie, rozważa brały się z rozpaczliwego przeświadczenia, że Polska nie leży na księżycu i wystarczy jeden niewłaściwy krok, aby zaprzepaścić nie tylko reformy, lecz cały naród.

Jest oczywiste, że kryzys trwa nadal i niczego nie można wykluczyć. Lecz to czego dokonali ludzie w Polsce w ciągu lata i wczesnej jesieni roku 1980 nie da się porównać ani z październikiem 56, ani tym bardziej z grudniem 70.

Wpisana została w struktury państwowe komunizmu nowa jakość — niezależne, samorządne związki zawodowe świata pracy. Państwo komunistyczne zgodziło się — *nolens volens* — na uznanie rzeczywistości historycznej, a mianowicie na uznanie faktu, że ono jest pracodawcą, a zatem interesy robotników i wszystkich pracujących *nie są zbieżne z jego interesami*. To państwo komunistyczne zgodziło się na niezależne związki zawodowe, które mają reprezentować interesy mas pracujących. Partia, która była stroną w sporze z masami robotniczymi, musiała odstąpić od swej poprzedniej roli wyrażiciela interesów i ambicji klasy robotniczej. Aby zachować kierowniczą rolę w państwie będzie musiała ograniczać się w przyszłości do arbitrażu pomiędzy światem pracy a państwem, które jest jedynym pracodawcą.

Ten układ zmienia rzeczywistość ekonomiczną, społeczną, polityczną i moralną. Ten układ, który w Polsce nazwano nową umową społeczną, stwarza zupełnie nowy, *nieznany nigdzie w*

świecie model ustrojowy. Bez wątpienia jest w tym także część zasługi tych ludzi z kierownictwa PZPR, którzy podjęli wyzwanie historii najnowszej i związane z tym ryzyko wielkiego eksperymentu. Ich zadanie jest delikatne i trudne. Nie można się dziwić, że realizacja umowy społecznej idzie z oporami, niekiedy wręcz jak po grudzie. Przeciżenia są ogromne, zarówno społeczne jak gospodarcze, oraz — *last but not least* — psychologiczne. Wszystko, poza wolą ludzką, sprzysięgło się przeciw tej umowie. I fatalna sytuacja gospodarcza, i demoralizacja aparatu władzy, i nieufność mas, i geopolityka, i brak doświadczenia, i niecierpliwość społeczeństwa.

A jednak już zmieniło się wiele. Odczuwa się to na każdym kroku. Ludzie w Polsce są bardziej życzliwi, prasa i radio oraz telewizja informują szerzej, rzetelniej i wszechstronniej o sytuacji, krytyka istniejącego stanu rzeczy wyrażana jest jawnie, władza zachowuje się bardzo powściągliwie, skromnie, a nawet z pokorą. Samorządne organizmy odżyły, jak grzyby po deszczu mnożą się nowe.

A co najważniejsze i zapewne najbardziej trwałe — *naród polski wyprostował plecy.* Ten naród odzyskał godność i poczucie tożsamości. Jeśli nawet wszystko runie i w planie instytucjonalnym nic nie zostanie ze zdobyczy lata roku 80, co zresztą wydaje się mało prawdopodobne, to przecież przetrwa kolosalna wartość narodowa i ludzka.

Te wydarzenia przeszły już do legendy. I dostarczać będą duchowego pokarmu pokoleniom, które przyjdą po nas. W tym sensie Polska jutra nigdy już nie będzie podobna do Polski sprzed wydarzeń sierpniowych.

A.B.C.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 320 — SERIA „DOKUMENTY”

JAK Z TEGO WYJŚĆ?

Druga część „Raportu o stanie Rzeczypospolitej i drogach do jej naprawy” opracowanego przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”.

Str. 80.

Cena F. 25,00

Polska - wrzesień 1980

„... jest to również odpowiedzialność najliczniejszej grupy społecznej, pracowników przemysłowych, którzy posiadają w swoich rękach największą siłę. Siłę, jak pokazały doświadczenia ostatniego trzydziestolecia, niepokonaną”.

(Zakończenie Programu PPN)

„My wszyscy, przeciwnicy systemu, bezpartyjni i partyjni, powinniśmy mieć większe poczucie własnej siły. Powinniśmy pamiętać, że stanowimy większość rozstrzygającą. Pamiętać, że ludzie w pełni systemowi oddani są w mniejszości nawet wśród funkcjonariuszy i przywódców. Bardzo wielu wolałoby żyć i pracować w innym ustroju”.

(Z tekstu „Przeciwnicy systemu”,
Zespół Problemowy PPN, wrzesień 1977)

Podczas tego lata przeszła przez Polskę potężna fala społecznego protestu przeciwko metodom rządzenia naszym krajem. Osiągnęła ona kulminację w drugiej połowie sierpnia i doprowadziła do generalnego zwycięstwa strajkujących. Protest był spontaniczny, nie zaplanowany z góry, nie organizowany centralnie. Aby owe wydarzenia mogły przynieść oczekiwane przez miliony ich uczestników rezultaty trzeba uświadamiać sobie ich istotę i zastanawiać się nad sposobami wykorzystania otwartych przez nie możliwości zmian w życiu naszego narodu.

Wyraźny zwrot polityczny nastąpił po raz pierwszy w wyniku zdarzeń, na których przebieg nie miały zasadniczego wpływu rozgrywki wewnątrzpartyjne. Po raz pierwszy nie było aktów przemocy — ani też wyraźnych elementów manipulowania i pro-

wokacji ze strony władz. Po raz pierwszy jedyną siłą napędową była warstwa robotnicza. Po raz pierwszy wyłoniły się nowe struktury społeczno-polityczne. Chociaż więc nasuwają się nam skojarzenia z wypadkami lat 1956, 1970 i 1976 — tym razem przebieg wydarzeń był zupełnie inny — i inne, szersze i bardziej trwałe, mogą być ich wyniki.

Zasadniczym wynikiem społecznego buntu jest zgoda na przełamanie partyjnego monopolu władzy ekonomicznej. Utworzenie niezależnych związków zawodowych i przyznanie prawa do strajku oznacza, że nastąpiła częściowa zmiana systemu rządzenia. Jeżeli związki zawodowe utrzymają swoją samodzielność, będziemy mieli dwa osobne ośrodki podejmowania decyzji w sprawach gospodarczo-społecznych: jeden kierowany przez partię, drugi przez samorządnych pracowników.

Jeżeli socjalizm rozumieć nie jako system monolitycznej dyktatury partyjnej, ale jako system, w którym masy pracujące mają wpływ na decyzje gospodarcze i społeczne — to powstały system jest bardziej socjalistyczny, niż poprzednio istniejący.

Przez kilka tygodni kontrolowane przez partię środki przekazu zadawały pytanie: kto stoi za strajkującymi? Okazało się, że stała za nimi znaczna większość społeczeństwa. Poparcie było niemal powszechne, choć może nie zawsze płynące z tych samych pobudek. Udzieliła strajkom poparcia m.in. większość szeregowych członków partii — świadoma, że protest skierowany jest nie przeciwko poszczególnym ludziom czy grupom, ale przeciwko krzywdzącemu i upokarzającemu systemowi. Dopominając się o zrównanie świadczeń społecznych, przysługujących robotnikom, z tymi, które przyznano już wojsku i milicji, strajkujący nie chcieli odwetu. Usuwali barierę, którą władze oddzieliły jedne grupy zawodowe od drugich, chcąc sobie kupić lojalność wojskowych i milicjantów. Strajkujący zyskiwali też powszechną sympatię przez swoją trzeźwość, zorganizowanie i spokój.

Poparcia nie udzielili ci, którym groziła utrata stanowiska i przywilejów. I ci, którzy do ostatniej chwili ślepo słuchali rozkazów ówczesnych władz najwyższych. I ci również, którzy dali się zastraszyć groźbami sowieckiej interwencji. I ci także, liczni zwłaszcza w warstwie urzędniczej, którzy ulegli propagandzie mówiącej o stratach, przynoszonych przez strajki — stratach znacznie mniejszych od tych, które przynosiła obłędna polityka gospodarcza.

A kto stał za władzami? One same od początku sygnalizowały, że ich jedynym oparciem jest ZSRR. Dawały też do zrozumienia, że uważają za ustrój socjalistyczny po prostu taki, który spełnia sowieckie wymagania. W szczytowym momencie akcji

strajkowej okazało się, że władza sama przez się nie jest zdolna do przeciwstawienia się *jakimkolwiek* żądaniom społeczeństwa. Ograniczać te żądania mógł tylko wzgląd na ZSRR.

Zawarta między komitetami strajkowymi a władzami „umowa społeczna” powinna więc być przez społeczeństwo rozumiana jako układ powierniczy. Ponieważ ZSRR wymaga, aby partia sprawowała władzę, choćby uszczuploną — naród zgadza się na to jako tymczasowy kompromis. Pozostawi partii władzę, ale pod określonymi warunkami, których spełnianie będzie kontrolował.

Ten powierniczy układ stosunków między narodem a sprawującą władzę partią jedni uznają za trwałą i docelową — inni, stanowiący z pewnością większość, za stan ściśle związany z obecnymi warunkami w Polsce a przede wszystkim z sytuacją międzynarodową.

Wydarzenia sierpniowe i zawarta „umowa społeczna” mogą zapoczątkować proces przekształceń ustrojowych, wynikających z dopominania się społeczeństwa o odebrane mu prawa. Obecnie zadaniem naczelnym jest zapewnienie trwałości zawartych porozumień, ich pełnego wypełnienia przez władze, a także rozszerzenia osiągniętych uprawnień samorządowych na inne środowiska społeczne i zawodowe: przede wszystkim na pomijanych dotychczas rolników, na młodzież, uniwersytety, stowarzyszenia twórcze.

Takie rozszerzanie uprawnień jest możliwe dlatego, że większość społeczeństwa stanowią przeciwnicy istniejącego dotychczas systemu. Wykazaną w lecie tego roku solidarność społeczną należy usilnie zachowywać, starając się, aby objęte nią były i te grupy społeczne i zawodowe które, chociaż bezpośrednio związane z reżymem, w chwili konfrontacji nie stanęły czynnie w jego obronie: szeregowi członkowie partii, wojsko, milicja. Ci ludzie także wolą żyć w innej, sprawiedliwszej Polsce.

Podstawowe znaczenie dla przeprowadzanych zmian mają nowe, niezależne związki zawodowe. Będą one musiały spełniać trzy funkcje: 1) narzędzia starań o poprawę sytuacji życiowej mas pracujących; 2) organizacji, umożliwiającej władzom porozumiewanie się z pracownikami i wspólną pracę nad przeprowadzeniem niezbędnych reform gospodarczych; 3) gwaranta trwałości uzyskanych ustępstw, kontrolera rzetelności władz. Spełnianie tych funkcji okaże się możliwe, jeżeli władze będą dążyć do współdecydowania i dialogu, a nie do nowych form manipulowania ruchem zawodowym, i jeżeli samorząd związkowy potrafi odbudować rzetelność i odpowiedzialność w pracy, której wydajność w ostatnich latach tak katastrofalnie spadała.

Istnienie samorządnych związków, ograniczających zakres dowolnych decyzji władz partyjno-rządowych, daje zarazem kierownictwu partii możliwość pewnego oporu wobec nacisków sowieckich. Łatwiej bowiem wymusić ZSRR ustępstwa na rządzie, który sam rozstrzyga o wszystkim, co się w kraju dzieje, niż na rządzie, który musi liczyć się z głosem niezależnej opinii pracowniczej.

Dotychczasowe zapowiedzi zmian w zarządzaniu gospodarką, zwiększenia uprawnień organów przedstawicielskich, rozszerzenia samorządności oraz swobód w dziedzinie informacji i życia kulturalnego są bardzo ogólnikowe. Niepokojąca jest zwłaszcza zapowiedź zasadniczego kontynuowania dotychczasowej polityki rolnej, opartej na przeciwstawianiu własności indywidualnej, tj. gospodarstw rodzinnych, tak zwanym „socjalistycznym formom własności ziemi”, tj. całkowicie nieopłacalnym PGR-om i spółdzielniom produkcyjnym. Niepokoi również trwająca wszechmoc cenzury, która nie dopuszcza np. żadnych prawie wiadomości o działaniu nowopowstających związków zawodowych i tłumi wypowiedzi na temat wypełnienia przyjętych przez władze postulatów robotniczych.

Zapewnień o dążności do uzdrowienia stosunków między rządzącymi a rządzonymi nie można traktować poważnie, kiedy nie naruszona została tak zwana „nomenklatura”, czyli zasada obsadzania wszystkich stanowisk wyższego i średniego szczebla w administracji państwowej i terenowej, przemyśle, handlu, usługach, szkolnictwie, nauce itd. — wyłącznie ludźmi wybieranymi i zatwierdzanymi przez instancje partyjne. Ludzie ci są następnie chronieni przez partię przed normalną odpowiedzialnością prawną. We wszystkich wypadkach, nawet najbardziej jaskrawych i głośnych, ich sprawy rozpatrywane są najpierw przez komisje partyjne — a dopiero potem przez sądy powszechne, o ile w ogóle do sądu trafiają, co zdarza się raczej wyjątkowo.

Dlatego też walka z korupcją, znajdująca tak powszechny oddźwięk społeczny, jest przez organa partyjne starannie kontrolowana. Dochodzeniom w sprawie popełnionych nadużyć będzie się oczywiście bardzo silnie przeciwstawiał aparat partyjno-państwowy, zwłaszcza średniego szczebla — najsilniej korupcją przeżarty. Można przewidzieć, że będą podjęte próby, aby publiczne zwalczanie korupcji ograniczyć do paru pokazowych i spreparowanych procesów, które będą miały przestłonić i masowość korupcji i szerokie powiązania przestępców z tzw. górą partyjną. Korupcja przybrała w ostatnich latach takie rozmiary, że wpływała ujemnie na cały rozwój gospodarki krajowej. Walkę z nadużyciami gospodarczymi przedstawicieli władzy powinny solidar-

nie prowadzić wszystkie grupy i warstwy społeczne. Szczególnie ważną rolę mają tu możliwość odegrać członkowie partii.

Nowa sytuacja stawia ruchy wolnościowe w Polsce przed nowymi obowiązkami. Stawka jest wyższa, niż przed paroma miesiącami, bo więcej mamy do stracenia. Muszą powstawać nowe formy działania, dostosowane do zmienionych okoliczności. Możliwość tworzenia wielkich i niezależnych od partii stowarzyszeń zawodowych stwarza pole do kształcenia się w samorządności i demokracji — ale również okazję do nieodpowiedzialnej demagogii.

Nowe, niezależne związki zawodowe, organizacje studenckie i wszystkie inne grupy formalne, które kierować się będą podobnymi zasadami samorządności, mają działać w ramach konstytucyjnych i nie pełnić roli ugrupowań politycznych. Nakłada to na wszystkich z nimi współpracujących obowiązek niekierowania ich działalności na tory bezpośrednio polityczne. Stwarza to szczególną sytuację dla osób i ugrupowań, które zadeklarowały się swego czasu jako działające na rzecz niepodległości i demokracji parlamentarnej. Poparcie nowych związków zawodowych przez takie ugrupowania lub osoby powinno być utrzymane w ramach własnych celów związków zawodowych. Takie osoby i ugrupowania muszą zdać sobie sprawę, że reklamowanie własnego udziału w pracach nowych związków zawodowych może przynieść szkodę i związkom i im samym. Szkodliwe mogą się też okazać wszelkie powiązania organizacyjne z jawnie działającymi i zarejestrowanymi związkami.

Tak zwana „opozycja demokratyczna” położyła ogromne zasługi, przygotowując społeczeństwo do zaszłych przemian przez paruletnią akcję informacyjną i uświadamiającą, przez kolportaż wydawnictw pozacenzuralnych, a przede wszystkim przez ofiarną i nieustępliwą obronę praw człowieka i obywatela. Obecnie margines swobód uległ znacznemu rozszerzeniu, ale zadania pozostały w zasadzie takie same: informować, uświadamiać i bronić. Za naczelny obowiązek ruchów wolnościowych w Polsce uważamy dalsze wychowywanie narodu — dla przyszłości.

Z punktu widzenia międzynarodowego polskie wydarzenia sierpniowe są najważniejszymi wydarzeniami w bloku moskiewskim od sierpnia 1968 roku. Mają ogromne znaczenie dla przy-

szłości całej Europy. Znaczenie to potęgują okoliczności zewnętrzne: trwająca zbrojna interwencja sowiecka w Afganistanie, która nareszcie uświadomiła wielu krajom charakter polityki ZSRR; zbliżające się wybory w USA i RFN; przygotowania do konferencji madryckiej; uwaga, jaką poświęca Europie środkowo-wschodniej działający od 15 miesięcy parlament europejski.

Groźbę interwencji sowieckiej władze PRL wyolbrzymiały w celach samoobronnych. W niektórych wystąpieniach oficjalnych rzeczników straszenie sowieckim gniewem nabierało posmaku prowokacji, wywoływało bowiem w społeczeństwie odruch wrogości wobec despotycznego sąsiada. Interwencja była w rzeczywistości bardzo mało prawdopodobna. Oznaczałaby ona pełny powrót do zimnej wojny, co przyniosłoby ZSRR olbrzymie straty polityczne i nieobliczalny w skutkach bojkot gospodarczy. Oznaczałaby ona również wprowadzenie w Polsce rządów okupacyjnych. Skądinąd interwencji obawiano się również na Zachodzie, który bynajmniej nie życzy sobie zaostreżenia konfrontacji z Moskwą i nie chce być przez naród polski stawiany w sytuacji przymusowej.

Dziś sytuacja jest inna i trudniejsza: ryzyko wzrosło. Nie miejmy złudzeń: cele kierownictwa partyjnego nie są tymi samymi celami, które stawiają sobie ludzie, dążący do umocnienia i utrwalenia uzyskanych swobód obywatelskich. Dlatego zawarta ugoda jest dla obu stron, dla władzy i dla społeczeństwa, wzajemnie wymuszonym kompromisem. Jednakże dochowanie tego kompromisu z konieczności, dotrzymanie nowopowstałych układów leży w interesie wszystkich Polaków łącznie z aparatem partyjnym — ponieważ długotrwały chaos gospodarczy i paraliż władzy administracyjnej mogą interwencję sowiecką uprawdopodobnić a nawet praktycznie ułatwić.

Wobec daleko posuniętego rozkładu w partii wewnętrzne walki o władzę będą prawdopodobnie trwały jeszcze długo. Próby usprawniania administracji państwowej i oczyszczenia aparatu partyjno-państwowego z ludzi najbardziej nieudolnych i skorumpowanych będą napotykały na ostry opór zagrożonych utratą przywilejów. Będą oni z pewnością zabiegali o poparcie z zewnątrz, co ułatwi i wzmocni naciski ze strony Moskwy. Społeczeństwo znajduje się pod presją podwójnego szantażu politycznego, wewnętrznego i zewnętrznego. Musimy zachować świadomość złożoności sytuacji i zawartych w niej niebezpieczeństw. Potrzebny będzie umiar i rozsądek w formułowaniu i ustalaniu kolejności roszczeń tak politycznych jak i gospodarczych. Katastrofalny stan gospodarki polskiej musi spowodować czasowe obniżenie poziomu życia społeczeństwa jako całości. W tym położeniu należy zabiegać

przede wszystkim o sprawiedliwe rozłożenie ciężarów i uchronienie przed niedostatkiem grup najniżej uposażonych.

Załamanie się zawartej „umowy społecznej” zwiększyłoby groźbę interwencji sowieckiej. I władze i cały naród stają teraz przed coraz trudniejszymi zadaniami. Społeczeństwo rozporządza dziś siłami rozstrzygającymi. Na jego swobodnie działających przedstawicielach ciąży więc ogromna odpowiedzialność za zachowanie równocześnie stanowczości i umiaru.

PPN nr 47

ZESPÓŁ PROBLEMOWY PPN

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Str. 244.

Cena F. 20,00.



TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Wiersze

Adam ZAGAJEWSKI

ROZMAWIAŁEM Z FRANCUZEM

*Niepodległy kraj, to nie znaczy wiele.
Niedzielne, czyste popołudnie, z okien
dobywa się muzyka rozmów, Chopin.
W piątek o świcie słychać twarde
uderzenia młotka, przekleństwa i drwiny
robotników. Niepodległy kraj, to nie
znaczy wiele. Nie więcej niż źródło
w kamienistej górskiej kotlinie.*

KIERKEGAARD O HEGLU

*Kierkegaard mówił o Heglu: przypomina kogoś,
kto wznosi ogromny zamek, sam jednak mieszka
W prostej szopie, stojącej w pobliżu budowy.
Tak samo inteligencja mieszka w skromnej
Kwaterze czaszki a te wspaniałe państwa,
Które nam obiecywano, zaciągnięte są
Pajęczynami, na razie musimy się zadowolić
Ciasną celą aresztu, piosenką więźnia,
Dobrym humorem celnika, pięścią policjanta.
Mieszkamy w tęsknocie. W snach otwierają się
Rygle i zamki. Kto nie znalazł schronienia w
Wielkim, szuka małego. Najmniejszym ziarnem
Maku na świecie jest Bóg. Rozsadza
Go wielkość.*

WRONY, GAWRONY

Wrony, gawrony zbierają się
 Wieczorem na ściernisku.
 Ciemne towarzystwo przesuwa się
 Wolno w stronę lasu. Od zachodu
 Płyną fioletowe chmury.
 Wrony, gawrony czyszczą,
 Gładzą swoje indiańskie pióra.

BĘDZIE PRZYSZŁOŚĆ

Będzie deszcz, będzie święto, będą
 ognie, będą pękaty łupiny kasztanów,
 będą krzyki, ktoś schroni się w gąszczu,
 ktoś przewróci się na pestce czereśni,
 w powietrzu zapach benzyny i bżów,
 będą śmiechy, płacz, modlitwa, ciche,
 nieśmiałe kłamstwo, będzie przyszłość,
 tylko wy zostanieie tutaj, w ciemnej
 od dymu cygar kolejowej poczekalni
 drugiej klasy, pod portretem austriackiego cesarza.

6 LIPCA 1980

Wielkie mocarstwo, kierując się troską
 o własne bezpieczeństwo, zajmuje
 sąsiedni kraj. Milion uchodźców, wśród
 nich kobiety, dzieci i starcy, koczują
 w pobliżu granicy swojej ojczyzny.
 Mężczyźni, uzbrojeni w dziewiętnastowieczne
 strzelby, idą w góry by walczyć
 z szukającym bezpieczeństwa najeźdźcą.
 Prezydent innego wielkiego mocarstwa
 uśmiecha się ze smutkiem. Europejczycy
 przez trzy tygodnie gorączkowo
 omawiają rozwój wypadków. Lewicowa
 młodzież niemiecka protestuje przeciwko
 zbrojeniom i planuje na wypadek wojny
 utworzenie matych, ruchliwych oddziałów

samoobrony, uzbrojonych w dziewiętnastowieczne
 strzelby. Amerykański dyrygent zachęca,
 by w ostatnich dniach przed końcem świata
 słuchać muzyki Beethovena. Emerytowany
 urzędnik bankowy przedstawia w telewizji
 taśmy magnetofonowe z nagrałymi głosami
 zmarłych. Zmarli nie mają wiele do
 powiedzenia, wymieniają swoje imiona,
 płaczą lub pozdrawiają nas krótkimi
 jak westchnienie, ptasimi okrzykami.
 Ty i ja siedzimy przed otwartym oknem,
 patrzymy na ciemnozielone liście klonu,
 jest niedziela, pada deszcz, śmiejemy się
 z wszechwiedzy dziennikarzy i próżności
 polityków. Jesteśmy bezradni
 i pogodni, wydaje nam się, że rozumiemy
 więcej niż inni.

Adam ZAGAJEWSKI

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

REZERWATY

Jest jeszcze kilka takich miejsc, w których
 dobrze się czuję, czuję się sobą,
 kilka rezerwatów, gdzie nikomu
 moje znaki szczególne nie wchodzą
 w paradę. Jestem tu dobrze znaną
 tajemnicą, tu czuję się jakbym
 był pod ochroną. Tutaj spotykam
 do mnie podobnych. Jesteśmy wyspą
 w bezludnym mieście, bezludnym kraju,
 wyspą w bezludnym morzu goryczy.
 Staramy się za wszelką cenę nie
 dopuszczać do siebie tej myśli, że
 nasze rezerwaty są jedynie
 wyrąbanym lasem, a my łowną
 zwierzyną bez czasu ochronnego,
 której pozwala się żyć właściwie
 z nieznanym nam zupełnie powodów.

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

Filip ISTNER

MUSISZ

You must die, my dear.
Why do you care?

Robert Lowell

Z namysłem
błądząc po klawiaturze
szukam liter
Może ocalą przed zapomnieniem
ten zmierzch ten wieczór —
Ty również musisz umrzeć, mój drogi,
na cóż się zdadzą twe starania
ta dbałość o słowo
by żyło własnym życiem
i było gdy ciebie nie będzie
W taki dzień bez sensu
— jak wszystkie pozostałe —
zakończy się coś,
co miało początek
ileś tam lat temu
i szybowato ku kresowi
wymyślnie wymijając przeszkody
aby ujść
i tym nieuchronniej
dotrzeć do kresu.

Filip ISTNER

Archiwum polityczne**Korespondencja z Rzymu**

Jan Paweł II i Europa

„Dialektyka granic”* Europy, która przywraca zachwianą równowagę pomiędzy przemożnie dotąd panującą optyką zachodnią i wschodnią i dowartościowuje wkład chrześcijańskiego rodowodu, widoczna jest w różnych wystąpieniach Jana Pawła II, zwłaszcza w tegorocznych obchodach 1500-letniej rocznicy urodzin św. Benedykta, patrona Europy. Osłą tych wystąpień jest wezwanie papieskie do *aggiornamento* tradycji benedyktyńskiej (*ora et labora*), przewyciężenia logiki podziału Europy i poszukiwania alternatywy dla tego podziału poprzez nawiązanie do wspólnej spuścizny chrześcijańskiej. Papież oświadczył, że te obchody nie mają ograniczyć się do jeszcze jednego „wspólnego upamiętniania”, chodzi bowiem o wciąż aktualną przestrożę. Papież odwiedził Nursję w Umbrii, miejsce urodzenia św. Benedykta, opactwo na Montecassino, gdzie zebrali się opaci benedyktynscy z całego świata i „świętą grotę” w Subiaco, miejsce trzyletnich medytacji św. Benedykta, gdzie 20 września proklamowano orędzie konferencji episkopatów Europy zachodniej i wschodniej o „odpowiedzialności chrześcijan za Europę dnia dzisiejszego i jutra”. Te jubileuszowe obchody miały na samym wstępie również charakter dość subtelnej operacji dyplomatycznej. Na uroczystość 23 marca br. w opactwie na Montecassino zaproszeni zostali nie tylko przedstawiciele krajów europejskich, akredytowani przy Stolicy Apostolskiej, ale również przy Kwaterale (łącznie z ambasadorami USA i Kanady, jako sygnatariusze układu w Helsinkach). Wzięli w niej udział tow. Oberenko, ambasador ZSSR, ambasadorzy PRL i Węgier oraz *chargé d'affaires*.

* Patrz esej kard. Wojtyły w mediolańskim periodyku *Vita e Pensiero* pt. „Una frontiera per l'Europa: dove?”.

fares Czechosłowacji. Przyjazd tych panów był niespodzianką dla dziennikarzy i opinii światowej. „To co usłyszał ambasador sowiecki warte było mszy świętej, w której uczestniczył” — komentował wtedy H. J. Stehle, autor znanej książki o watykańskiej *Ostpolitik*. Pośłanie Jana Pawła II, skierowane do opata klasztoru, podnosi „dzieło cywilizacyjne” zakonu benedyktynów od „Hiszpanii poprzez Polskę i Węgry do Konstantynopola i Syrii”. Podczas tej uroczystości wygłosili kazanie kard. Casaroli, Sekretarz Stanu, który poruszył nie tylko religijne aspekty dziedzictwa św. Benedykta, lecz podkreślił również jego aktualność jako przestrogi, że pokój zakłada „warunki nie dające się anulować”, tj. uznanie i poszanowanie w praktyce praw narodów i jednostek. „Pokój jest śmiertelnie zagrożony kiedy słabi są uciskani lub wyzyskiwani przez silniejszych. Przed Europą — stwierdził — stoi obowiązek stania się zwornikiem równowagi i pokoju w epoce nowych poważnych niebezpieczeństw, które mogą zgasić nadzieje obudzone po drugiej wojnie światowej”. Po mszy św. dyplomaci wysłuchali prelekcji Ojca B. Sorge S.J., redaktora naczelnego pisma *Civiltà Cattolica*. Padre Sorge przypomniał dyplomatom krajów komunistycznych, że „zmiana struktur politycznych i społeczno-ekonomicznych nie wystarcza by zapewnić zaspokojenie istotnych potrzeb człowieka, jego wolności i udziału w podejmowanych decyzjach. Nie wystarcza prawa ludzkie i obywatelskie formalnie uznawać, trzeba je w praktyce przestrzegać”. Pod adresem dyptomatów zachodnich powiedział natomiast, że należy „podać rewizji rozpowszechnioną koncepcję prawa własności prywatnej, pojmowanej jako synonim rozpasania i nieograniczonej akumulacji dóbr przeznaczanych arbitralnie na użytek osobistej jednostki, grup lub krajów”. W konkluzji, powołując się na apel Jana Pawła II, wezwał do „odrżucenia logiki podziału i destrukcji, antytezy ducha benedyktyńskiego, sprzecznego z Europą przeciwnych bloków ideologicznych, kurtyn, murów (Berlin), wyścigu zbrojeń, zamkniętych granic”. Europa — według niego — zjednoczona w poszanowaniu pluralizmu, nie może obejmować jedynie 9-ciu (tak jak dzisiaj) czy 12-tu krajów Wspólnego Rynku (po przystąpieniu Grecji, Hiszpanii i Portugalii), lecz „wszystkie narody Zachodu i Wschodu, od Atlantyku do Uralu”.

Centralnym punktem jubileuszowych obchodów była uroczystość w Subiaco, gdzie 160 kardynałów i biskupów, uczestników światowego Synodu biskupów i członków Rady Konferencji Episkopatów Europejskich (Polskę reprezentują abp Stroba, metropolita poznański i z urzędu bp Dąbrowski, sekretarz Episkopatu), przeszło w milczącej procesji dwa kilometry dla uczczenia *la Chiesa del Silenzio* (Kościoła Milczenia). Papież wezwał ich do kontynuacji dzieła św. Benedykta w wytyczaniu dróg ewangelizacji dla Europy i nazwał ogłoszoną deklarację biskupów Europy „pierwszą inicjatywą o takim wymiarze... cennym owocem kolegialnej odpowiedzialności biskupów kontynentu europejskiego”. W Europie, powiedział, „pozostały podziały także ko-

ścielne... Kościoły w Europie, pochodzące z Reformacji, prawosławne i Kościół katolicki, są w sposób specjalny związane z Europą i ponoszą szczególną odpowiedzialność w procesie rozwijającej się jedności i prawdziwego ekumenizmu”. A nawiązując do św. Benedykta, patrona duchowego Europy, zwrócił uwagę na problem bogactwa i ubóstwa jako na „dramat historyczny występujący jako kwestia ludzka i społeczna. Europa wpisała ten problem w swoje dzieje i zaniósła go daleko poza swe granice kontynentalne. Poprzez ten problem zasiała niepokój w całym świecie. Jednak od połowy naszego wieku ten problem w pewnym sensie powrócił do Europy i nie przestaje być źródłem napięć i zagrożeń”.

Pielgrzymkę biskupów do Subiaco określił jako „wielki krzyk i nowe błaganie za pokój Europy i na całym świecie”, wzywając do modlitwy o „oddalenie się groźby ucisku jednych przez drugich”. Rewolucja benedyktyńska bowiem stawia pracę „w samym centrum godności człowieka”. Myśląc zapewne również o „polskim sierpniu” na Wybrzeżu, Jan Paweł II powiedział: „Godność pracy nie może polegać wyłącznie na kryteriach materialnych, ekonomicznych, ale musi dojrzywać w sercu człowieka, w głębi jego modlitwy ponieważ właśnie modlitwa, a nie wyłącznie kryteria produkcji i konsumpcji, określa kim jest człowiek pracy. Mówi nam, że nie może być niewolnikiem, ale że jest człowiekiem wolnym”. I w tym fragmencie przemówienia uczynił wyraźną aluzję do postawy polskich robotników: „Czyż nie oglądaliśmy ostatnio ludzi, którzy w obliczu Europy i całego świata, łączyli głoszenie godności swej pracy z modlitwą?”. Pośłanie benedyktyńskie, wciąż aktualne, oznacza według papieża „starania o przezwyciężenie różnych współczesnych form niewolnictwa i ucisku”, oznacza „apel o wyzwolenie z niewolnictwa konsumpcji i sposobu myślenia i działania wyłącznie w kategoriach ekonomicznych”. Papież jest w pełni świadomy obecnych zagrożeń człowieka i narodów, równocześnie zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa biernego wycieknięcia na nową Apokalipsę, poddawania się nastrojom katastrofizmu. „Czy jesteśmy w stanie zahamować to wszystko? Czy jesteśmy w stanie oddalić od uciskanych brzemień przemocy? Czy jesteśmy zdolni przekonać świat że nadużywanie wolności jest inną formą przemocy?”. Odpowiedź brzmi: Św. Benedykt zostawił nam dany jako patron Europy naszych czasów, naszego wieku, jako świadectwo, że jesteśmy zdolni to wszystko uczynić”.

Europejska wizja Papieża i Polska A.D. 1980

Autorem jednej z najbardziej wnikliwych analiz „europeizmu” Jana Pawła II jest niewątpliwie Virgilio Levi, włoski publicysta, kapłan od dawna związany z Watykanem, obecnie zastępca redaktora naczelnego *L'Osservatore Romano*. Ks. Levi jest wielkim przyjacielem naszego kraju. Bliski od dawna sprawom

Kościół w Polsce, jak mało kto w Watykanie rozumie istotę i znaczenie roli historycznej, narodowej i kulturalnej, nie tylko religijnej, jaką ten Kościół odgrywa dziś w życiu kraju. Promieniuje ponadto nie tylko na kraje sąsiednie ale — jego zdaniem — na całą Europę i świat współczesny, zwłaszcza od chwili kiedy „wybór na Stolicę Piotrową kardynała z Europy Wschodniej stał się może największą i przełomową nowością w dziejach naszego stulecia”. Rozmowę z nim — przeznaczoną do druku — ułatwia znajomość przypieczętowana artykułem wstępnym pt. *Fermezza e tolleranza* („Stanowczość i tolerancja”), jaki w lutym br. napisał w *L'Osservatore Romano*, biorąc asumpt z mej książki o Polsce do nakreślenia wyjątkowo trafnego profilu duchowego i kulturalnego Jana Pawła II. Bardzo ruchliwy, ks. Levi bierze udział w różnych sympozjach międzynarodowych (m.in. w czysto prywatnym, nieoficjalnym konwersatorium europejskim, związanym z konferencją madrycką). Interesuje go przede wszystkim wymiana myśli, „krążenie nowych idei” — jak precyzuje. Słyszał o *Kulturze* jako o „tygłach twórczych idei”, co również ułatwia mi rozmowę i zgodę na jej opublikowanie.

Ks. Levi uważa, że wizja jedności europejskiej papieża zrywa z obecną rzeczywistością przeciwnych bloków, a utożsamia się z wielkim projektem graniczącym z utopią, w której fermenty społeczne zdążają w kierunku odnowionego humanizmu, opartego na pierwiastkach chrześcijańskich. „Europa jest wciąż pępkiem świata — mówi — nie ze względów szowinistycznych, lecz na skutek swego szczególnego powołania jako mózgu i serca historii ludzkości. Obecność Polaka w Rzymie nie pozwala jednak więcej Zachodowi na patrzenie na Wschód w dotychczasowych kategoriach myślenia. „Poza granicą zamkniętego obszaru, zwaną przez tyle lat żelazną kurtyną, mamy bowiem do czynienia z prawdziwym fermentem duchowym, zdolnym do 'wyproduktowania' Papieża Rzymskiego, który przynosi z sobą cały ładunek dziejów swej ojczyzny, kulturę swego narodu, dynamizm i żywotność swego społeczeństwa i innych społeczeństw żyjących w podobnych warunkach politycznych i społecznych”. *Powołanie Polski w Europie jest* — jego zdaniem — *specjalne i wyjątkowe*. Polska bowiem przypada dziś funkcja rewindykowania wobec wszystkich — ale i dla wszystkich — nowego typu stosunków pomiędzy Narodem i Państwem. Priorytet należy do narodu, podczas kiedy państwo wygląda, w wizji europejskiej Jana Pawła II, jako nadbudowa służebna, w zasadzie prowizoryczna i zmienna jeśli chodzi o jej formy konkretne”. Jak należy rozumieć tę służebność Europy wobec reszty świata? „Przed wszystkim prawdziwa Europa nie jest równoznaczna z doraźnymi sojuszami lub ideologiami (marksizm, konsumizm, liberalizm), ale identyfikuje się ze swym najgłębszym dziedzictwem, tzn. chrześcijaństwem. W wizji papieża społeczeństwa europejskie, utożsamiając się ze wspólną tradycją chrześcijańską, powinny przełamać na drodze pokojowej narzucone im granice sztywnych podziałów politycznych. Z tego pozytywnego napięcia, po przeła-

manii istniejących barier, wyłoni się Europa, w której przewagę nad polityką uzyskają wytwory ducha i kultury. Wyłoni się trzecia droga pomiędzy dwoma przeciwnymi blokami ideologicznymi i politycznymi, droga jedności i współpracy, przywróconej równowagi między duchem i materią, etyką i techniką, kulturą humanistyczną i nauką, poszanowania swoistości każdej części w różnorodności, w tolerancji i zarazem w stałym potwierdzaniu konieczności odrzucania tego co obraża godność ludzką i uniemożliwia swobodny, uprawniony rozwój człowieka. Tylko wtedy Europa jako model dla innych społeczeństw może oddać im usługi w zakresie swej kultury i równowagi swych walorów”.

Co dziś jest już widoczne w tej utopii papieskiej? Czy wielki projekt papieża może przynieść szybkie i konkretne rezultaty?

„Równowaga stworzona w Jałcie jest już dziś moralnie skończona i politycznie zachwiana przez uderzenia coraz bardziej trudne do powstrzymania. Utopia papieża jest naszą utopią, w tym sensie, że nie da się spetryfikować dziejów poprzez konfrontację bloków, które zzerają się wzajemnie. Papież rzucił na szalę tego przedsięwzięcia, tj. odnowy moralnej Europy, cały ciężar autorytetu do jakiego jest zdolny Kościół katolicki. Może to przynieść jedynie pozytywne rezultaty również w zakresie ładu politycznego i społecznego i to zanim nie okaże się za późno”.

Wracam jeszcze do spraw najbardziej obchodzących czytelników *Kultury*: do doświadczeń polskich i innych krajów bloku sowieckiego, do nauki jaką świat zachodni powinien z nich wyciągnąć. W jaki sposób *Ostpolitik* watykańska w ujęciu Jana Pawła II może przyspieszyć przejście od pokonanej logiki jałtańskiej do procesu reasocjacji Europy zachodniej i wschodniej? „Poprzez mobilizację umysłów. Papież, rzecz jasna, nie chce rewolucji, jest jednak głęboko przeświadczony, że prawdziwe rewolucje stanowią konsekwencję wielkich idei. Te idee powinny krążyć, popularyzować się, to znaczy rozpowszechniać się w masach. *Nacisk ze strony mas staje się wówczas nie do odparcia, jak to ostatnio mogliśmy widzieć w Polsce*, chociaż w węższym zakresie w porównaniu z problematyką o jakiej rozmawiamy. *Wydarzenia w Polsce stanowią pewien wzorzec*: kiedy istnieje świadomość własnej tożsamości i własnego kontekstu narodowego, społecznego i kulturalnego, pojmowanego w sensie najgłębszym jako wspólne dziedzictwo łączące solidarnie jednych z drugimi, kiedy równocześnie następuje uświadomienie sobie własnej odpowiedzialności, jaka nakłada z jednej strony wloty myśli i rozmach akcji, z drugiej zaś konieczność pewnych limitów — to wtedy urzeczywistniają się wielkie przewroty dziejowe. W optyce papieża naród i kultura stanowią kategorie silniejsze od państwa. Optyka ta — moim zdaniem — oparta jest zarówno na względach zasadniczych jak i praktycznych, które biorą pod uwagę to co pamięć historyczna już zapomniała, jak również elementarny fakt, że żadna władza nie może długo utrzymać się jeśli jej brak

autentycznego poparcia społecznego (po włosku: *consenso*, słowo nie mające odpowiednika w języku polskim). Stąd jest jasne, że chodzi o procesy pokojowe, nie nagłe, lecz długofalowe. W związku z tym uważam za rzecz doniosłą zaangażowanie Stolicy Apostolskiej w proces reasocjacji Europy — jak Pan to określa — poprzez podpisanie Aktu Końcowego konferencji w Helsinkach, co łączy, oprócz USA i Kanady, wszystkie kraje europejskie. Delegacja Stolicy Apostolskiej weźmie udział w konferencji w Madrycie (uwaga moja: była obecna na wstępnych obradach proceduralnych, które zaczęły się we wrześniu), gdzie nastąpi druga z kolei weryfikacja (po Belgradzie w 1977 roku) stopnia realizacji przyjętych postanowień”.

Ks. Levi tak przejął się wizją europejską Jana Pawła II (choć sam nie jest aktywny w jej dyplomatycznej transmisji), że wystąpił z inicjatywą zwołania wielkiego międzynarodowego sympozjum na temat wspólnych, chrześcijańskich źródeł Europy i jej nowej wizji. Sympozjum to — zgodnie z jego projektem — odbędzie się w przyszłym roku pod auspicjami Papieskiego Uniwersytetu Laterańskiego i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Dominik MORAWSKI

Pisane 12 października 1980.

Post-scriptum: W mojej korespondencji w nr. 9/396, do przypisu na str. 55 o deklaracji Watykanu dotyczącej Jerozolimy zakradła się nieścisłość. Deklaracja ta domaga się dla Jerozolimy specjalnego statusu, który „zapewni prawa społeczności religijnych na bazie odpowiedniego systemu prawnego, gwarantowanego przez zwierzchni organ międzynarodowy” (nie zaś statusu — jak napisałem — uznającego Jerozolimę za *corpus separatum* administrowane przez ONZ). Oprócz tego na str. 56: ambasador Wagner jest przedstawicielem prezydenta USA przy Watykanie, a nie jak napisałem „nieoficjalnym przedstawicielem USA”.

D. M.

Legenda i prawda o Baskach

I

Skąd się wzięli, jakiego są pochodzenia? Mamy do czynienia wyłącznie z supozycjami, z których żadnej nie można uznać nawet za hipotezę. Łączenie ich z Gruzinami czy Albańczykami nie wytrzymało poważnej krytyki. Wiadomo tylko, że wyszli

z pnia indoeuropejskiego i są najstarszymi mieszkańcami półwyspu Pirenejskiego. Byli tu już w paleolicie, a więc znacznie wcześniej od Iberów i Celtów, nie mówiąc o późniejszych przybyszach: Grekach, Kartagińczykach, Rzymianach, Germanach i Maurach. Także Żydach. Od samego początku siedzieli okrakiem na Pirenejach, sięgając na północy poza Garonnę, na południu poniżej Ebra. Ale to bardzo dalekie dzieje; dziś zajmowany obszar jest wielokrotnie mniejszy, choć apetyty skrajnych nacjonalistów baskijskich są wręcz niewspółmierne z rzeczywistością. Pomówię o tym nieco dalej.

Już Pliniusz, pisząc o tym kraju, wymienia *Vasconum saltus* — „Las Baskijski”, bo też w tamtych odległych czasach ogromną puszczę przerywały jedynie rzeki i wpadające do nich strumienie. Praszczurowie Basków nie znali więc rolnictwa, żyli wyłącznie z myślistwa i rybołówstwa. Stopniowo poznawali rolnictwo, sadownictwo i hodowlę. Już w czwartym wieku przed N. Chr. mieszkańcy dolin poznali pług i inne narzędzia rolnicze. Wojownicze szczepy nie poddały się w całości rzymskiemu podbojowi, ale przyjmowały od prowincji, które weszły do imperium, wpływy cywilizacyjne i kulturalne. Załogi rzymskie, trzymające się tu i ówdzie w ufortyfikowanych miejscowościach, były narażone na stałe niebezpieczeństwo, ale nauczono się od nich sadzić oliwki i winną łążę.

Ze wszystkich szczepów tylko jedni Waskonowie potrafili utworzyć osobne państwo, które w ciągu średniowiecza urosło do znacznej potęgi i przez dłuższy czas grało poważną rolę polityczną. Mam na myśli królestwo Nawarry ze stolicą w Pampilonie. Ale mniej lub bardziej wyraźny charakter baskijski Nawarra mogła mieć tylko na samym początku, gdy wspomniani Waskonowie stanowili większość ludności. Ze wszystkich stron szły imigracje: aragońska, kastylijska, wreszcie francuska (głównie z Burgundii). Liczne dialekty baskijskie zanikały, aż zostały się wyłącznie w wioskach pirenejskich, w północno-zachodnim zakątku dzisiejszej Nawarry.

Ileż tych Basków jest w chwili obecnej? Dokładna statystyka nie istnieje, można mówić o tym tylko w przybliżeniu. Według najbardziej optymistycznych danych może ich być po obu stronach Pirenejów (w Hiszpanii i we Francji) niewiele ponad dwa miliony, z czego najwyżej jedna trzecia zna i używa powszednio mowy baskijskiej. Jaki procent z przekonania dąży do niepodległości państwowej i szczerze życzy sobie zerwania z Hiszpanią, obliczyć niepodobna. Swego czasu mówiło się o przeprowadzeniu powszechnego plebiscytu, ale jak tego dokonać w kraju objętym terrorem bez uprzedniego spacyfikowania?

II

Nacjonalizm baskijski, w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, objawił się bardzo późno, bo przy końcu ubiegłego wieku. Jego

twórcą stał się Sabino Arana y Goiri, wywodzący się z rodu mocno zaangażowanego w ruch karlistowski, który nie miał charakteru separatystycznego, lecz przede wszystkim religijny. Rządy centralne w Madrycie za panowania Izabeli Drugiej zostały w kraju Basków uznane za rozpustne, więc godne potępienia z religijnego punktu widzenia, za liberalne, więc sprzeczne z nauką Kościoła. Kler katolicki zdecydowanie popierał karlistów, i gdy nieco później zjawi się propaganda socjalistyczna, znajdzie ona chętnych słuchaczy głównie w robotniczych dzielnicach dużych miast, gdzie zaczęły powstawać ośrodki ciężkiego przemysłu. Warstwy włościańskiej nie dotknie.

Sabino Arana (1865-1903) wystąpił z pierwszym programem niepodległościowym o charakterze, jakiego trudno by było szukać gdziekolwiek w ówczesnej Europie. Głosił, że przyszłe niepodległe Euzkadi ma być państwem teokratycznym: „polityka będzie podporządkowana religii, a państwo Kościołowi”. Dzisiejsi separatyści chcą ustroju „socjalistycznego” (czytaj: komunistycznego na wzór sowiecki) i mimo to uważają tegoż Aranę za swego patrona. Jeszcze jeden paradoks, a roi się od nich za Pirenejami.

Sama nazwa *Euzkadi*, dziś powszechnie przyjęta przez zwolenników niepodległości, nie ma za sobą żadnej poważnej tradycji. Ten nieznany uprzednio neologizm powstał z lekkiej ręki wspomnianego Sabino Arany przed jakimiś dziewięćdziesięcioma laty. *Euskar* oznacza mowa baskijska, *Euskaldia* — Bask, który jej używa na co dzień, *Euskalderia* — kraj ojczysty. Z mieszaniny tych trzech słów powstało *Euzkadi*, przedtem, jako się rzekło, nieznane.

Po przyznaniu krajowi Basków (trzy prowincje: Viscaya, Guipizcua, Alava) daleko idącej autonomii utworzył się tam rząd regionalny, składający się z członków PNV (Baskijska Partia Narodowa). Otóż podczas inauguracji parlamentu (także regionalnego) doszło do zabawnego przedstawienia; jedni przemawiali po baskijski, inni po hiszpańsku, bo *Euskar* nie znają. A niektórym musiano przemówienia baskijskie tłumaczyć na hiszpański, bo nie wiedzieli, o co chodzi. Nie ma to jak świadomość i jedność narodowa!

Wkład Basków do historii, kultury i literatury hiszpańskiej był zawsze niezmiernie doniosły. Okazuje się obecnie, zgodnie z propagandą separatystyczną, że wszyscy oni byli zdrajcami sprawy narodowej. Szukam i nie znajduję analogii z żadnym innym krajem, z żadnym kręgiem kulturowo-narodowym. Ktoś mi w rozmowie na ten temat zwrócił uwagę na naród ukraiński. Czy Hohol-Janowskyj albo Korolenko, którzy byli Ukraińcami, a pisali po rosyjsku, nie stali się zdrajcami swojej ojczyzny, podobnie jak w stosunku do kraju Basków Miguel de Unamuno, Pio Baroja i wielu innych? Nie, widzę w tym tylko pozorną analogię i chętnie podejmuję dyskusję z wyłuszczoną opinią.

Baskowie od chwili, gdy stali się częścią królestwa Kastylii,

korzystając zresztą z licznych przywilejów, nigdy aż do XIX wieku nie powstawali zbrojnie i nie zdradzali żadnych aspiracji niepodległościowych. Jakże to zestawiać z przeszłością narodu ukraińskiego, z krwawą epoką w XVII i XVIII wieku, z Chmielnicką i Hetmańszczyzną, ze Zbarażem, Zborowem, Beresteczkiem z jednej strony, z Konotopem i Połtawą — z drugiej? Zupełny nonsens!

Skoro chodzi o literaturę, Hohol zrobił się Gogolem, to prawda, ale jednocześnie zjawił się Taras Szewczenko i, poczynając od niego, dalszy rozwój ukraińskiego piśmiennictwa narodowego był nieprzerwany, bogacił się i nabierał coraz większej siły i wartości. A co piszący w *Euskar* mieli i mają do przeciwstawienia takim wielkościom jak Unamuno i Baroja? Ten pierwszy — pisałem już o tym parę razy i znowu powtórzę — nie wypierał się swej baskijskiej natury, przeciwnie, pysznił się nią i zapewniał: — Jestem Baskiem z krwi i kości, i właśnie dlatego uważam siebie za esencję hiszpańskości. Nieco inaczej, a jeszcze mocniej: — Im lepiej zdaję sobie sprawę, że jestem Baskiem, tym bardziej utrwalam się w przekonaniu, iż jestem pełnokrwistym Hiszpanem! Twardy orzech do zgryzienia dla separatystów, oświadczaających, że w ogóle nie są Hiszpanami i z Hiszpanią nie chcą mieć nic wspólnego. W konsekwencji skreślili Unamunę z listy baskijskiej i zubożyli historię własnej kultury o genialnego pisarza. Cóż, można i tak, skoro się nie potrafi inaczej!

Skrajne nacjonalizmy są wszędzie i zawsze mało przytomne; wydaje się, że nacjonalizm baskijski pobił wszystkie rekordy. Jego program terytorialny ogarnia ziemię, co do których istnieje jedynie przypuszczenie, że niegdyś (przed przeszło tysiącem lat) były zamieszkałe przez plemiona baskońskie. Na mapie rewindykacyjnej znajdują się więc, po stronie hiszpańskiej: Nawarra, Rioja, połowa Aragonii z Saragossą, spory szmat Starej Kastylii; po stronie francuskiej: cała historyczna Akwitania, daleko poza Garonnę. Że na wymienionych ziemiach Basków wcale nie ma, albo tu i ówdzie stanowią nieznaczną mniejszość, nic a nic świeżo upieczonym szowinistom nie przeszkadza. Dzisiejsze statystyki etnograficzne nie mają żadnego znaczenia, powinny decydować tradycje, mniej lub bardziej legendarne.

Jeżeli chodzi o Nawarrę, którą nacjonałści baskijscy uważają za integralną część przyszłego, niepodległego *Euzkadi*, niedawne wspomnienia są raczej dla takich pretensji dość nieprzyjemne. Gdy w latach 1936-37 na północnym froncie ważyły się losy wojny domowej, ochotnicze oddziały nawarskie odegrały kluczową rolę w przełamaniu oporu *gudaris*¹ baskijskich. Nie od rzeczy będzie przypomnieć tamte wydarzenia.

Zanim doszło do powstania przeciw Drugiej Republice, generał Mola, który już należał do spisku wojskowych, zapytał swoich zaufanych w Nawarze, czy może liczyć na dwa tysiące ochotników z organizacji karlistowskich. 19 lipca, a więc następnego

1. *Gudari* — po baskijski wojownik albo żołnierz.

dnia po wybuchu powstania, ochotnicy zgromadzili się na Placu Zamkowym w Pamplonie. Spoglądając na nich z balkonu, generał Mola rzekł do pułkownika Utrillo: „Świetnie się prezentują! Ale jest ich chyba więcej niż chciałem...”. „Panie generale, jest ich około czterech tysięcy. Jutro będzie drugie tyle”. W ciągu najbliższych kilku tygodni ilość ochotników nawarskich doszła do trzydziestu tysięcy.

Utworzone oddziały użyte zostały przez generała Molę, a po jego śmierci w wypadku lotniczym przez generała Davilę w pierwszej ofensywie przeciw autonomicznej Republice Baskijskiej już przy końcu sierpnia. W ciągu trzech tygodni zdobyły Irun i San Sebastian, tradycyjnie letnią stolicę Hiszpanii; w ten sposób kraj Basków został odcięty od granicy z Francją, co w przyszłości miało bardzo duże znaczenie. A w lecie następnego roku padło Bilbao i reszta baskijskiego terytorium. O zwycięstwie zdecydowało głównie pięć brygad nawarskich, które bez większego trudu łamały opór *gudaris*. Z tego wypływały wnioski, że Nawarczycy zdradzili swoich baskijskich braci. Otóż nie! Rzecz w tym, że się do żadnego braterstwa nie poczuwali.

Najmłodsi z tych, co w czerwcu i lipcu 1937 roku przeszli przez *cinturon de hierro* (dosłownie „żelazny pas” — linia fortyfikacji, broniących Bilbao), mają dziś po sześćdziesiątce, nieco starsi dobiegają do siedemdziesiątki. Dobrze, a ich synowie opuścili swoich ojców i poczuli się nagle Baskami? Jest to nonsens tak oczywisty, że w ogóle nie nadaje się do dyskusji. Niepodległościowcy baskijscy mieliby prawo do rewindykowania jedynie kilkunastu wsi w Pirenejach, gdzie istotnie mówi się w *euskera*. I nic ponadto.

III

Gra w tym wszystkim określoną rolę aspekt gospodarczy. Przy dużym zagęszczeniu ludności Vascongadas nie są samowystarczalne pod względem rolniczym. Sfałszowane racje historyczne, mające uzasadnić wcielenie Nawarry do przyszłego *Euzkadi* to tylko efektowna pokrywka; prawda wygląda o wiele bardziej prozaicznie. Przyłączenie tego słabo zaludnionego kraju umożliwiłoby skierowanie nadmiaru ludności baskijskiej ku wschodowi, zaś udoskonalenie metod uprawy roli i hodowli byłaby spowodowała by osiągnięcie tak bardzo pożądanej samowystarczalności. Jest to rachunek bez gospodarza, skoro powyższy plan dałoby się zrealizować wyłącznie przy użyciu przemocy. Pikantry szczegół: imperialiści baskijscy nie ukrywają, że byłoby konieczne przeprowadzenie baskizacji mieszkańców Nawarry; trzeba będzie zacząć od wprowadzenia do szkół przymusowej nauki *euskera*. To dla dzieci i młodzieży. A co ze starszymi i całym starymi? Zaczekać aż poumierają?

Oficjalnie nazwano tę zaplanowaną akcję re-baskizacją.

Że niby chodzi o lud, który swego czasu zhiszpanizował się, a obecnie ma powrócić na łono macierzy, by sprawiedliwości historycznej stało się zadość. Urojenie? Jasne, ale za tym urojeniem stoi uzbrojona po zęby organizacja terrorystyczna, korzystająca z intensywnej pomocy pewnego supermocarstwa. Rzecz prosta ani terroryści, ani szefowie owego mocarstwa nie przyznają się do żadnych związków ani kontaktów.

Na początku czerwca br. grupa nieznanych, bo zamaskowanych młodzików wybiła szyby w siedzibie konsulatu holenderskiego w Bilbao. Czymże p. konsul zawinił, że mu się na głowę posypały odłamki szkła? Oto parę dni wcześniej rząd holenderski zarządził ekstradycję czterech baskijskich terrorystów (członków ETA-y), którzy zjawili się w Amsterdamie z podrobionymi paszportami. Wsadzono ich do samolotu, przywieziono do Madrytu i oddano w ręce policji hiszpańskiej, oczekującej na lotnisku na miłych gości. Skąd się wzięli w Holandii i co porabiali uprzednio? Jak wyszło na jaw, spędzili wczesną wiosnę w Południowym Jemenie, gdzie poświęcali wolny czas bukolicznym zabawom, mianowicie ćwiczyli strzelanie z broni krótkiej i maszynowej, oraz pod okiem ekspertów zaprawili się w dość skomplikowanej sztuce operowania materiałami wybuchowymi. Inaczej mówiąc, kończyli wyższe kursy terrorystyczne. Odkąd to tamtejsi, to znaczy jemeńscy Arabowie stali się mistrzami w tej dziedzinie? Pamiętając, czyje wpływy utrwaliły się w tym azjatyckim kraiku, nietrudno stwierdzić, z kim ETA utrzymuje najściślejsze kontakty.

Władze holenderskie nie chciały z tymi terrorystami mieć do czynienia i odesłały ich do Madrytu na tej podstawie, że chodziło o obywateli hiszpańskich. Na czym, oczywista, zarobił jakiś baskijski szklarz w Bilbao. „O, życie, życie!” — jak w znanej bajce Jana Lemańskiego wołał szlachetny wilk po zamordowaniu przyjaciółki-gęsi.

Wracając do spraw gospodarczych... Zamierzony podbój Nawarry (bo trudno to nazwać inaczej), by rozwinąć na zdobytych terenach rolnictwo i hodowlę, wydaje się marzeniem ściętej głowy. A co z przemysłem? W razie osiągnięcia niepodległości państwowej powstałaby granica celna z Hiszpanią, a tym samym poważna zwyżka cen eksportowych. Ciężki przemysł baskijski ma swój naturalny rynek zbytu na całym obszarze Hiszpanii i jego utrata doprowadziłaby do katastrofy. Już teraz sytuacja gospodarcza w tym kraju pogarsza się niemal z godziny na godzinę. A naturalnie o innych rynkach zbytu w obecnej sytuacji nie ma co mówić.

Dochodzi sprawa energii elektrycznej. Centrale dostarczające prąd wielkim zakładom przemysłowym w kraju Basków znajdują się poza jego granicami, stąd pretensje, by zająć owe pograniczne tereny, na których nie ma ludności baskijskiej, a jeżeli była przed wiekami, to tylko przelotnie. Wielka faktoria energetyczna, Iber-Duero, panuje nad przemysłem baskijskim. Ale terroryści nie są ekonomistami i nic ich te sprawy nie obchodzi.

IV

„Hiszpania — zagadka historyczna”. Oto tytuł kapitalnego dzieła wybitnego hiszpańskiego historyka Claudio Sancheza Albornosa. Zostało ono wydane w roku 1956 w Buenos Aires. Sanchez Albornoz był ostatnim prezydentem Drugiej Republiki na emigracji politycznej. Lewicowy liberał, zdecydowany przeciwnik dyktatury generała Franco, nie był jednak zacietrzewionym fanatykiem i potrafił zdobywać się na obiektywną ocenę dziejów, zarówno współczesnych jak dawniejszych. W swoich licznych pracach niejednokrotnie zajmował się zagadnieniem baskijskim. Poniżej urywek z II tomu wymienionego dzieła.

„Baskowie przyczynili się duchowo i realnie do narodzin Kastylii; stanowią w X stuleciu istotną część hrabstwa kastylijskiego. Dokumenty historyczne świadczą o wielkim znaczeniu współudziału Basków w kolonizowaniu ziem, nowo nabytych przez Kastylię... Od wieku XII po XIX ani razu nie zgłosili żadnych pretensji secesjonistycznych, odwrotnie, nieraz ponosił ich entuzjazm pro-hiszpański. Od Elcano, Francisco de Vitoria (ten urodził się w Burgos, ale był dalekiego pochodzenia Baskijskiego), świętego Ignacego i Legazpi aż po takich jak Unamuno, Zuloaga i Baroja, iluż Basków uważało się przede wszystkim i ponad wszystko za Hiszpanów. I właśnie w takim charakterze brali udział w wielkich europejskich przygodach kulturalnych...! Byli zawsze wierni swemu tradycyjnemu stylowi życia, w takim samym stopniu, jak to się działo w Galicji, Asturii, Kastylii czy Andaluzji. Jedyną różnicę między Baskami i pozostałymi Hiszpanami stanowi utrzymująca się na coraz bardziej zredukowanym terytorium stara mowa *euskera*, której oby Bóg pozwolił trwać na wieki wieków! Język hiszpański należy do spadku mieszkańców Euzkadi tak samo jak do spadku synów Kastylii. Liczni Baskowie używali tego języka wraz z pierwotnymi Kastylijczykami, na długo zaczęto go używać na ziemiach, położonych na południe od rzeki Duero. Znamienne, że najstarsze prawa baskijskie, *fueros* (statuty) pisane były po hiszpańsku. Ale choćby tak nie było, nigdy użycie *euskera* nie mogło oddzielić Basków od Hiszpanów. Bo to nie jest jeszcze jeden język na półwyspie. To język, którym mówiono w najdawniejszej Hiszpanii neolitycznej, a więc nie może on być podstawą do narodowościowego zróżnicowania Hiszpanii...”.

Zważmy, że jest to opinia republikanina, uczzonego, ustosunkowanego jak najbardziej przychylnie do Basków.

V

Baskowie tracili swoje wywodzące się ze średniowiecza przywileje stopniowo. Najpierw zostały one uszczuplone w wieku XIX, co monarchia konstytucyjna uważała za słuszną karę za udział w ruchu karlistowskim. Druga Republika przyznała im prawo do daleko posuniętej autonomii terytorialnej. Ale stosunki z Madrytem były stale naprężone, a po wybuchu wojny domowej psuły się z tygodnia na tydzień. Gdy w lipcu i sierpniu 1937 roku baskijskie reduty obronne padały jedna po drugiej

pod uderzeniami brygad nawarskich, a prezydent Republiki Autonomicznej Aguirre wzywał rozpaczliwie o pomoc, w Madrycie wzruszano ramionami: — Baskowie zawsze tacy samodzielni — niech się bronią sami! Najostrzej krytykowała politykę Aguirre'a „amazonka rewolucji komunistycznej”, oślawiona Dolores Ibarruri (popularnie „La Pasionaria”), choć sama Baskijka z pochodzenia.

Bilbao padło, wkrótce potem armia północna zdobyła Santander i zdusiła rozpaczliwy opór górników asturyjskich: samodzielny front na wybrzeżu kantabryjskim został zlikwidowany. Już wtedy losy kampanii były przesądzone, chociaż władze republikańskie łudziły się nadal i walki miały trwać jeszcze prawie dwa lata. Tylko jeden Azafia zdał sobie od razu sprawę z sytuacji, ale inni politycy, a zwłaszcza „papa” Negrin, nie chcieli go słuchać. W wyniku klęski Baskowie utracili wszystko, co zdobyli za Republiki, po *fueros* pozostało jedynie sentymentalne wspomnienie. Represje personalne były jednak stosunkowo łagodne, a to głównie dlatego, że w Vascongadas nie mordowano masowo księży i zakonników, jak to się działo wszędzie indziej.

Trudno ustalić, kiedy powstała ETA, skrajna organizacja terrorystyczna, która postawiła sobie za cel utworzenie niepodległego Euzkadi, państwa o ustroju typu sowieckiego. Zaczęła ona swoją działalność jeszcze za życia generała Franco, ale większego rozmachu nabrała dopiero po roku 1975, gdy rząd Adolfa Suareza zastosował amnestię na wielką skalę, i praktycznie biorąc kierownicy i aktywiści terrorystyczni znaleźli się na wolności. Państwo rozporządza oczywiście dostatecznymi środkami, by akcję terrorystyczną zdławić, ale do tego potrzebne są drastyczne środki, na które Madryt nie może, czy też nie chce się zdecydować.

Baskowie uzyskali już bardzo szeroką autonomię, jednak skrajnym elementom to nie wystarcza. Stara prawda: apetyt rośnie w miarę jedzenia. Pretensje terytorialne są wręcz absurdalne. Zobaczmy, jak się zachowa Paryż, jeżeli ETA spróbuje działać także między Hendaye, Biarritz i Pau. Jak dotychczas, Republika francuska reagowała na wszelkie separatyzmy zawsze bez rękawiczek.

Czy rząd autonomiczny, który w chwili gdy piszę te słowa jeszcze się definitywnie nie uformował, potrafi opanować sytuację? Postulat wycofania z kraju Basków policji państwowej i garnizonów wojskowych jest o tyle niebezpieczny, że w razie jego przeprowadzenia elementy umiarkowane nie miałyby nic do powiedzenia i pełnia władzy przeszłaby w ręce skrajnych organizacji (czytaj — ETA-y!). A wtedy terytorialne oderwanie od Hiszpanii stałoby się sprawą przesądzoną.

Stan obecny wygląda wręcz paradoksalnie. Obok wspomnianej PNV, oficjalnie reprezentującej władze autonomiczne, istnieje i energicznie działa „Herri Batasuna”, stronnictwo otwarcie pochwalać akcje terrorystyczne. Posłowie baskijscy do central-

nego parlamentu demonstracyjnie nie biorą udziału w jego obradach, ale przystępującej im pensji miesięcznej nie odrzucają i w razie potrzeby chętnie powołują się na swój poselski immunitet. Niektórzy z nich oświadczają, że nie biorą udziału w obradach parlamentarnych, bo nie uważają się za Hiszpanów. Na pytanie, dlaczego wobec tego stawali do wyborów, nie ma logicznej odpowiedzi.

Jakież wyjście? Obecna sytuacja nie może trwać w nieskończoność. ETA wypowiedziała państwu hiszpańskiemu wojnę. Każda wojna kończy się albo zwycięstwem, albo kapitulacją. Wprawdzie zdarzały się w przeszłości wojny nierozstrzygnięte, ale rzadko. W wypadku baskijskim nie zanoszą się na żaden rozsądny kompromis. Praktycznie widzę tylko dwie możliwości. Pierwsza z nich: zająć kraj *manu militari*, wprowadzić odpowiednie poprawki do autonomicznego statusu i zarządzić stan wyjątkowy, który musiałby trwać aż do całkowitego zlikwidowania akcji terrorystycznej. Druga: zrezygnować z jednoci kraju Basków z państwem hiszpańskim, co stałoby się jednoznaczne z przemianą rzekomo niezależnego Euzkadi w wojskowy przyczółek Związku Sowieckiego. Jak widzimy, perspektywy przedstawiają się niezbyt pogodne.

Józef ŁOBODOWSKI

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować **ZESZYTY HISTORYCZNE**.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata w r. 1981 wynosi F. 180 (\$ US 45; \$ Can. 50) a dla prenumeratorów **KULTURY** F. 160 (\$ US 40; \$ Can. 45), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W początku października rubryka „Sytuacja w Polsce” zniknęła z sowieckich gazet. Miało to oznaczać, że sytuacja w PRL „normalizuje” się. To że rubryka zniknęła nie znaczy jednak, że zapomniano o „buntownikach”. „Towarzysz Pietrow” nie spuszcza Polski z oka.

W poprzednim przeglądzie wspominałem o dwóch artykułach podpisanych „A. Pietrow” i wyrażających oficjalny pogląd na wydarzenia w Polsce. 20 września „A. Pietrow” ogłosił kolejny artykuł pt. „Niedopuszczalne mieszanie się w wewnętrzne sprawy”. Ten życzliwy tytuł nie odnosi się do napaści wojsk sowieckich na Afganistan lecz do „kręgów wrogich socjalistycznej Polsce”, których aktywność — zdaniem A. Pietrowa — „wzrasta”. Lista „wrogów socjalistycznej Polski” jest imponująca: są wśród nich „dywersyjne ośrodki, tj. rozgłoszenie *Swoboda, Wolna Europa, Niemiecka fala, Głos Ameryki* i inne”, CSU F. Straussa, rewanżyści niemieccy, amerykańskie związki zawodowe i NATO, prezydent USA Carter i jego minister pracy, „pewne kręgi europejskiej socjaldemokracji”... A. Pietrow dwukrotnie wymienia główny cel, przyświecający im wszystkim: jest nim „zmiana powojennej rzeczywistości w Europie” i „przeróbka powojennej mapy Europy”. A. Pietrow chce wystąpienie robotników polskich przedstawić jako zagrożenie dla pokoju w Europie. W następnym artykule, opublikowanym w tygodniu po pierwszym, jeszcze bardziej nalega na zagrożenie. Artykuł, zatytułowany „Mieszanie się w wewnętrzne sprawy Polski trwa”, rozszerza listę „wrogów socjalizmu”, którzy, jak wiadomo, „nie rzucają pieniędzy na wiatr” i „szczodrze finansują wroga państwu polskiemu i PZPR działalność”. Spis wrogów państwa polskiego — którego synonimem jest PZPR — uzupełniają „działacze chińscy”, którzy „udzielają nawet rad, jak działać, ażeby osiągnąć osłabienie socjalizmu w Polsce i zepsuć jej stosunki z pozostałymi członkami wspólnoty socjalistycznej”.

Prawda przypomina o długi wdzięczności: naród polski, oświadczając centralny organ KPZS, „dobrze pamięta, w jaki sposób kraj odzyskał wolność, i kto naprawdę pomógł Polakom zabezpieczyć byt narodu polskiego...”. Tym zaś, którzy zapomnieli o wdzięczności *Prawda* przypomina, że „gwarancją prawdziwej suwerenności i niezależności Polski jest braterska jedność z innymi krajami socjalizmu oraz rozwój wszechstronnej i wzajemnie użytecznej współpracy”.

Kiedy latem 1968 roku wyjaśniano obywatelom sowieckim „położenie w Czechosłowacji”, najbardziej przekonującym argumentem na rzecz rozprawy z czechosłowackimi buntownikami był wyrzut: my ich wyswobodziliśmy, a oni, niewdzięcznicy...

Czwarty artykuł A. Pietrowa uznano za tak ważny, że następnego dnia *Prawda* zamieściła pod tytułem „Ostrzegamy kręgi imperialistyczne” odgłosy prasy światowej na wspomniany artykuł. Oto przykład, w jaki sposób *Prawda* cytuje prasę światową: „Zdaniem francuskiej gazety *Le Monde* artykuł w *Prawdzie* stanowi ostrzeżenie przed mieszaniami się sił imperialistycznych w sprawy Polski”. Słowa z *Monde'u* przytoczone są w cudzysłowie, tak jakby to był dosłowny cytat. Tymczasem *Le Monde* pisał: „Istotne jest, dlaczego ZSSR uznał za właściwe niemal oficjalnie powtórzyć ostrzeżenia, które, choć formalnie skierowane do imperialistycznych i antysocjalistycznych kręgów, adresowane są także do nowych władz polskiej partii komunistycznej”.

Organ inteligencji sowieckiej *Literaturnaja Gazeta* odezwał się na wydarzenia w Polsce późno (24.9. br.), ale optymistycznie: niewielka notatka zatytułowana jest „Beznadziejne próby wrogów socjalizmu”. *Literaturnaja Gazeta* triumfuje: „Masy robotnicze nie poparły opozycyjnych grup”. Na dowód radosnej wieści, że społeczeństwo polskie odcięło się od „antysocjalistycznych grup”, które „zdają sobie sprawę ze swego beznadziejnego położenia” gazeta przytacza „wydawane w Paryżu emigracyjne pismo *Kultura*”. Z niemałej ilości opublikowanych w *Kulturze* artykułów o sytuacji w Polsce autor notatki z *Literaturnoj Gazety* wybrał wypowiedź „jednego z członków opozycji antysocjalistycznej, M. Poleskiego”.

Autorom publikującym w *Kulturze* można pozazdrościć: każde słowo wydrukowane w „paryskim emigracyjnym piśmie” idzie pod lupę. Nikt tak nie czyta *Kultury* jak „towarzysze z organów”. *Literaturnaja Gazeta* uznawała za wskazane wspomnieć o artykule Macieja Poleskiego pt. „Wolność w obozie”, opublikowanym w kwietniu 1979 roku. Radość z tego, że odkrywamy nowego czytelnika artykułów *Kultury* nie zmienia faktu, że w razie potrzeby autorom *Kultury* przypisuje się rzeczy, których nigdy nie pisali. W danym przypadku M. Poleskiemu przypisuje się (nie podając ani tytułu artykułu, ani daty jego publikacji) następujące twierdzenie: „W chwili obecnej o organizacyjnej strukturze ruchu (tj. ruchu opozycyjnego — A.K.) decyduje ten podstawowy fakt, że działacze opozycji popiera minimalny odsetek polskiego społeczeństwa”.

Tym niemniej *Literaturnaja Gazeta* uprzedza, że „nikłe społeczne poparcie dla tych sił nie uprawnia jednak do niedoceny ich”. Mniejsza o to, że Poleski niczego takiego nie napisał, tak jak *Le Monde* nie napisał tego, co mu przypisali. Ostrzeżenia w *Prawdzie* i notatka w *Literaturnoj Gazecie* odzwierciedlają obowiązującą w Moskwie opinię o wydarzeniach w Polsce, a w każdym razie tę, którą propagandiści sowieccy chcą wpoić czytelnikom. „Moskwa” czyli Biuro Polityczne KPZS jest w trwodze, że partia może utracić władzę w Polsce. Czytelników sowieckich przekonują, że siły antysocjalistyczne — od „opozycyjnych grup” po Straussa, od *Kultury* po amerykańskie związki zawodowe — starają się podkopać podstawy socjalizmu w Polsce. Sowieckich czytelników należy jednak zarazem uspokoić: „W społeczeństwie polskim nie ma żadnych sił klasowych, żadnych znaczących kręgów społecznych, w których interesie leżałaby zmiana podstaw państwa polskiego” (*Literaturnaja Gazeta*). Te uspokajające słowa brzmią jednak jak pogroźka — biada jeśli ktoś targnie się na „podstawy państwa”.

Najważniejszy jest nadal problem związków zawodowych. 25.9. br. *Prawda* opublikowała artykuł pt. „W.I. Lenin o związkach zawodowych”. Wszystkowiedzący i wszystko przewidujący Wódz, jak się okazuje, wiedział, że 24 września Lech Wałęsa zarejestruje w warszawskim Sądzie związek „Solidarność”. „Towarzysz Lenin poddał ostrej krytyce także tych, którzy walczyli o tak zwane ‘wolne’ związki zawodowe, uchylające się od udziału w rozwiązywaniu zadań ogólnogospodarczych, ‘wolne’ od koniecznych celów walki klasy robotniczej o socjalizm i komunizm, ‘niezależne’ od ogólnych interesów całego ludu pracującego” — pisze *Prawda*. Taki pogląd na związki zawodowe — wskazywał towarzysz Lenin — „był i jest albo grubymi nićmi szytą burżuazyjną prowokacją, albo — skrajną bezmyślnością, niewolniczym powtarzaniem dawno minionych haseł. Stosując do obecnej epoki hasła starego syndykalizmu odcięlibyśmy się od socjalistycznych zadań klasy robotniczej”.

W pierwszej połowie października Polska właściwie znika ze szpalt prasy sowieckiej. Wspomina o niej jednak organ sowieckich związków zawodowych *Trud* w sprawozdaniu z obrad Rady Światowej Federacji Związków Zawodowych. Gazeta informuje o wystąpieniu Romualda Jankowskiego, ograniczając się tylko do przytoczenia zdania o „antysocjalistycznych siłach” w Polsce.

O Polsce jednak nie zapomniano. Coraz głośniejsze i ostrzejsze mówią o niej przywódcy „bratnich” krajów. 6 października Honecker powtarza w Berlinie Wschodnim niemal dosłownie to, co w 1968 roku głosił jego poprzednik Ulbricht: „Nie możemy obojętnie przyglądać się losowi narodu polskiego... Sprzeciwimy się wszelkim próbom mieszania się zagranicznych sił reakcji”. Z Pragi wtóruje mu Husak, który niemal dosłownie powtarza to, co 12 lat temu mówił o Czechosłowacji Gomułka: „Imperialistyczne siły prowadzą niebezpieczną politykę mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski. My twardo stoimy po stronie

komunistów i bratniego narodu polskiego, i przekonani jesteście, że Polacy rozporządzają wystarczającą siłą ażeby dać odpór wrogom socjalizmu wewnątrz i na zewnątrz kraju”.

9 października *International Herald Tribune* opublikowała wywiad moskiewskiego korespondenta *New York Times'a* z Georgijem Arbatowem. Arbatow, dyrektor Instytutu Spraw Amerykańskich i Kanadyjskich przy Akademii Nauk ZSSR, uchodzi za największego specjalistę od zagadnień amerykańskich i jest jednym z doradców Breżniewa i Gromyki. Jest więc zrozumiałe, że Amerykanie bardzo lubią przeprowadzać z nim wywiady i natychmiast je publikują. Jest też więcej niż zrozumiałe, że Arbatow mówi wtedy kiedy trzeba i to co trzeba. Wśród pytań jakie mu postawiono było i pytanie o Polskę. Amerykański korespondent sformułował je jak następuje: „Stosunek ZSSR do wydarzeń w Polsce budzi głęboką troskę. Pan oskarża Zachód o mieszanie się w polskie sprawy, a w związku z tym my boimy się, co wy możecie zrobić”. Arbatow odpowiada słowami A. Pietrowa: „Istnieją próby mieszania się ze strony prawicowych kręgów w Niemczech Zachodnich i prawicowych przywódców zachodnich związków zawodowych. Ostrzegamy ich i Polacy ich ostrzegają”. Jednak Arbatow optymistycznie patrzy w przyszłość: „Ogólnie rzecz biorąc fundamenty państwa są (w Polsce) mocne, solidne, jestem więc optymistyczny co do przyszłości”. Optymizm specjalisty od spraw amerykańskich opiera się przede wszystkim na jego dobrej znajomości Stanów Zjednoczonych. Na pytanie „a jeśli prezydentem zostanie Reagan?”. Arbatow odpowiada: „Wolałbym, żeby wybrano towarzysza Gusa Halla, ale zauważyłem już, że Wasi działacze polityczni, jak tylko dochodzą do władzy, składają się ku centryzmowi, z jakiej by nie przyszli strony”.

Arbatow i kierownictwo moskiewskie są przekonani, że polityka USA nie zmieni się po wyborach i pozostanie polityką „odprężenia”. „My nie prosimy o *détente* jak o łaskę — oświadcza Arbatow. — Obie strony są zainteresowane w odprężeniu”. Wadą zaś *détente* jest, żeby Stany Zjednoczone nie mieszały się w sowieckie sprawy, w sowiecką strefę. Wracając do sprawy Polski Arbatow otwarcie wyznaje: „Musicie zrozumieć, dlaczego jesteśmy tacy na to wrażliwi. Zachód mieszał się do naszych spraw od pierwszych dni rewolucji. Nawet teraz obchodzicie, za zgodą Kongresu i prezydenta, Dni Narodów Ujarmionych. Oświadczenie, że waszym zdaniem wszystkie nasze republiki faktycznie nie należą do Związku Sowieckiego, nawet Ural, północny Kaukaz i Syberia”. Uderzające jest, że oświadczenie to ma być odpowiedzią na pytanie o Polskę. „Jesteśmy tacy uwrażliwieni — kontynuuje Arbatow — bo od pierwszych dni rewolucji Zachód zaczął się mieszać do naszych spraw”. Jak skądinąd wiadomo, Polska była już wówczas suwerennym państwem i wymienianie jej jednym tchem z „Uralem, północnym Kaukazem i Syberią” byłoby dziwne, gdyby nie istniał 1968 rok.

Zaliczając Polskę do „naszych spraw”, G. Arbatow opiera się

na teorii, którą 26 września 1968 roku wyłożył w *Prawdzie* S. Kowalew w artykule pt. „Suwerenność a internacjonalistyczne obowiązki krajów socjalistycznych”. Na ogłoszoną w tym właśnie artykule „doktrynę Breżniewa” powołują się także jesienią 1980 roku Honecker, Husak i Arbatow. S. Kowalew pisał: „... Każda partia komunistyczna odpowiedzialna jest nie tylko przed swoim narodem, ale i przed wszystkimi krajami socjalistycznymi, przed całym ruchem komunistycznym... Socjalistyczne państwo, ogniwo systemu innych państw tworzących wspólnotę socjalistyczną, nie może być niezależne od wspólnych interesów tej wspólnoty”. W konkretnym przypadku Czechosłowacji *Prawda* stwierdzała: „Komuniści bratnich krajów naprawdę nie mogli dopuścić do tego, żeby w imię abstrakcyjnie pojętej suwerenności państwa socjalistyczne beczynn timer patrzyły, jak kraj podlega antysocjalistycznym przeobrażeniom”.

Dwanaście lat później *Prawda* publikuje (2. 9. br.) artykuł D. Ustinowa, „członka Biura Politycznego KC KPZS, ministra obrony ZSSR, marszałka Związku Sowieckiego”, który swą wypowiedź kończy następującymi słowami: „Sowieckie Siły Zbrojne, we wspólnej strukturze bojowej z armiami bratnich krajów socjalistycznych wiernie stoją na straży zdobyczy rewolucyjnych i pokoju na świecie. Agresor, który spróbuje naruszyć nasze święte granice napotka natychmiastowy, miazdzący odpór”.

Ostrzeżenie jest kategoryczne i jednoznaczne. Niejasne jest tylko, gdzie przebiegają „nasze święte granice”.

Wśród komentarzy prasy światowej do wydarzeń w Polsce uwagę zwraca artykuł A. Awtorchanowa pt. „Historyczna lekcja polskiego sierpnia” (*Russkaja Mysl* z 9. 10. 1980). Autor licznych książek analizujących system sowiecki, w tym „Technologii władzy”, której lektura i dziś prowadzi w Związku Sowieckim na ławę oskarżonych, rozpatruje we wspomnianym artykule znaczenie „polskiego modelu” jako podstawy „przyszłej pokojowej rewolucji w ZSSR”. „Wydarzenia w Polsce — pisze badacz partii komunistycznej w ZSSR — zaskoczyły Kreml, który okres wymuszonego oczekiwania wykorzystuje, aby, doczekawszy się stosownej chwili, uznać 'incydent' za niebyły. Za wcześniej jeszcze na to, aby powiedzieć, kiedy i jaką metodą to zrobi, zwłaszcza że arsenał możliwych broni jest bogaty, a okrucieństwem i perfidią Kreml nie ustępuje nawet swemu zmarłemu nauczycielowi (Awtorchanow ma na myśli Stalina — A.K.). W danym przypadku ważne jest co innego: przywódcy sowieccy doskonale rozumieją, że zalegalizowawszy choćby tylko milcząco polski przykład, spowodują łańcuchową reakcję przyszłych strajków robotniczych nie tylko w krajach satelickich ale i na samym terytorium sowieckim”.

Nie umniejszając znaczenia i unikalnego charakteru „polskiego modelu” Awtorchanow przypuszcza, że „jego główne idee pochodzą ze Związku Sowieckiego: i *samizdat*, i ruch dysydentycki, i strajki, i nawet próby stworzenia wolnych związków zawodowych”. Przypuszcza jednak, że „Polacy zrobili to, czego nie do-

myślili się w ZSSR: polska opozycja intelektualna od samego początku skierowała swe kroki ku robotnikom, oddając się w służbę polskiej klasy robotniczej jako jej obrońca, jako jej tuba informacyjna i jako jej przewodnik”.

W jedności między inteligencją i klasą robotniczą Awtorchanow upatruje istotę „polskiego modelu”. Zastanawiając się nad warunkami w ZSSR, Awtorchanow stwierdza, że „w warunkach sowieckich dysydent łaknie wolności, o robotnik — chleba. Jeśli by się udało połączyć walkę o wolność z walką o chleb, ruszyłoby to z posad całą sowiecką klasę robotniczą”. Brak związku między inteligencją a klasą robotniczą objaśnia Awtorchanow „milczeniem inteligencji”. „Milczenie inteligencji jest straszne i niepojęte — pisze. — Ciemny i zastraszone niewolnik z zakneblowanymi ustami to smutne zjawisko, ale niewolnik inteligentny, świadomie i dobrowolnie płaszcący się przed współczesnym rządcą partyjnym — to widok odrażający”. Awtorchanow mówi o sowieckiej Akademii Nauk, „intelektualnym mózgu kraju”, która to Akademia po zesłaniu Sacharowa „potępia nie *kapo* partyjnych ale swojego członka”, mówi o „najwyższych oficerach sowieckiego korpusu oficerskiego”, którzy płaszcą się przed KGB i nie stanęli w obronie generała Piotra Grigorienki. Awtorchanow ma nadzieję, że „inteligencja, która zrodziła Sacharowa, Sołżenicyna i Grigorienkę zrodzi też tych inteligentnych przywódców, którzy pomogą robotnikowi sowieckiemu przenieść „polski model” na sowiecką ziemię.

Niewykluczone, że właśnie w obawie przed tym sowieckie organy wzmogły represje w kraju. We wrześniu i październiku odbyły się procesy członków Komitetu Obrony Praw Wierzących, członków redakcji *Poiskow*; osądzono Litwinów Anatanasa Terleckasa i Juliusa Sasnaukasa, członków Roboczej Komisji do Badań nad użyciem psychiatrii dla celów politycznych.

Areszty, rewizje, procesy o których słyhać na Zachodzie to tylko widoczna część lodowca represji. O rozmiarach „lodowca” można sądzić na podstawie wydanego niedawno na Zachodzie „Przewodnika po ZSSR”. Nie wiem czy jakkolwiek inny kraj na świecie mógłby sporządzić taki „przewodnik”. Podano w nim dokładne adresy ponad 2.000 obozów koncentracyjnych, więzień i więzień psychiatrycznych. Przewodnik zawiera mapę ZSSR i 120 map poszczególnych *obłasti* i miast, na których naniesiono adresy jednostek więziennych. Każda mapa opatrzona jest szczegółową legendą, numerami tramwajów, trolejbusów i autobusów mogących zawieźć dociekliwego turystę zachodniego tam, gdzie sowieckich obywateli wożą bezpłatnie. Wśród obozów jest około 150 obozów kobiecych dla matek z dziećmi przy piersi. Wymienione są także adresy 41 łagrów w których więźniowie wydobywają uran dla przemysłu wojennego, oczyszczają wyrzutnie atomowych łodzi podwodnych, produkują głowice atomowe. Śmiertelne napromieniowanie podczas tych prac, które wykonywane są bez specjalnej odzieży ochronnej, jest nieuniknione. „Przewodnik” zaznacza, że do tych obozów śmierci wysyła się

nie tylko ludzi skazanych na długoletnie kary ale też więźniów z wyrokami 5-10 lat.

Nasilenie represji w ZSSR jest jednym z ważnych elementów „umocnienia tyłów”. Właśnie tak zawsze postępował Stalin: przed podjęciem jakiegokolwiek manewru w polityce zagranicznej — umacniał tyły.

Adam KRUCZEK

Oświadczenie rosyjsko-ukraińskie

Od chwili zwycięstwa bolszewików na Ukrainie aż do naszych dni między ukraińską i rosyjską emigracją trwało uczucie wzajemnej wrogości. Nie utrzymywano niemal żadnych stosunków: ani kulturalnych, ani politycznych, ani nawet prywatnych. Przyczyna tego stanu była polityczna: rosyjscy emigranci nie chcieli przyznać narodowi ukraińskiemu prawa do oderwania się od Rosji i stworzenia własnego państwa.

Atmosfera zaczęła się zmieniać na lepsze w latach siedemdziesiątych, pod wpływem przybyłych na Zachód rosyjskich uczestników ruchu obrony praw człowieka. Przywieźli oni ze sobą ducha tolerancji narodowej i szczerego demokratyzmu. Z ich to inicjatywy opublikowano we współpracy z polskimi, czeskimi i węgierskimi działaczami ważne „Oświadczenie w kwestii ukraińskiej” (maj 1977 r.), gdzie po raz pierwszy w ostatnim półwieczu reprezentacyjna grupa Rosjan przyznała Ukrainie prawo do własnej państwowości. Deklaracja kończyła się następującymi słowami:

„...wzywamy rosyjskich uczestników ruchu obrony praw w ZSSR i rosyjską emigrację polityczną do umocnienia i pogłębienia współpracy z bojownikami o niezależność Ukrainy”.

Nasze obecne oświadczenie zmierza do tego, aby tamten apel nie pozostał martwą literą. Ukraiński i rosyjski ruch wyzwoleniczy zwyciężyć może tylko we współpracy. Współpraca ta staje się (na emigracji) tym bardziej uzasadniona, że strona ukraińska przejawiała w tej dziedzinie dobrą wolę.

Jesienią 1977 roku Ukraiński Ruch Demokratyczny (którego ośrodek mieści się w Nowym Jorku) i niezależni ukraińscy demokraci opublikowali, w odpowiedzi na „Oświadczenie w kwestii ukraińskiej”, „Deklarację solidarności”, w której m.in. piszą:

„Naród ukraiński gotów jest — nie oglądając się na tragiczne wydarzenia z przeszłości — dołożyć wszelkich starań, aby oprzeć stosunki z sąsiadującymi z nim narodami na wzajemnym

zaufaniu, pokoju i przyjaźni. Spodziewamy się, że 'Oświadczenie w kwestii ukraińskiej' stanie się bodźcem dla stworzenia sprzyjającego temu klimatu i pomoże siłom demokratycznym narodów Związku Sowieckiego i krajów satelickich, nie wykluczając emigracji, zjednoczyć się w walce o narodowe, społeczne i polityczne wyzwolenie" (pełny ukraiński tekst opublikował *Kontynent* nr 13).

Wierni duchowi obu wspomnianych deklaracji i przekonani, że jednolity front demokratycznych sił narodów Związku Sowieckiego należy zacząć od współpracy rosyjsko-ukraińskiej, ogłasza my następujące podstawowe zasady:

Ideą praw człowieka i dążenie do wolności zajmują naczelną rolę w oczach i świadomości współczesnego człowieka. Dzięki ich głosicielom ideały te stają się dla rozmaitych narodów, żyjących w rozmaitych ustrojach politycznych, platformą zorganizowanych ruchów i przedmiotem polityki międzynarodowej. Cieszymy się, że postulaty wolności zostały uznane w politycznej, społecznej i międzynarodowej sferze życia człowieka, i jako uczestnicy rosyjskiego i ukraińskiego ruchu formułujemy przyjęte przez obie strony zasady naszej współpracy:

1. Narodowi rosyjskiemu i ukraińskiemu przyznajemy pełne i bezwarunkowe prawo do niezawisłości państwowej.

2. Poświadczamy istnienie zagrażającej narodowi ukraińskiemu rasyfikacji Ukrainy; dołożymy wszelkich wysiłków, aby z nią walczyć.

3. Strona rosyjska uznaje za swój obowiązek współdziałać przy pogłębianiu procesu walki o niezawisłość i demokratyzację Ukrainy.

4. Strona ukraińska będzie współdziałać w walce o ustanowienie pełnych swobód obywatelskich i demokratyzację Rosji.

5. Obie strony stoją na stanowisku pełni praw obywatelskich a także zgodnej z Kartą Praw Człowieka ONZ autonomii społecznej, kulturalnej i religijnej mniejszości narodowych zamieszkujących terytorium Ukrainy i Rosji.

Te ustalone przez nas zasady stanowią dostateczną podstawę dla wspólnej pracy politycznej i zawodowo zainteresowanych przedstawicieli ruchów politycznych obu emigracji w polityce wewnętrznej i międzynarodowej, przy uwzględnieniu pierwszeństwa potrzeb ruchów obrony praw w ich ojczyznach.

Oświadczając powyższe i raz jeszcze podkreślając, że jedną z naszych idei jest demokracja, humanizm i dobrosąsiedzkich stosunków między niezawisłą Ukrainą i niezawisłą Rosją, przystępujemy do stworzenia grup roboczych dla koordynacji działań w różnych krajach wolnego świata i oczekujemy poparcia ze strony aktywnych przedstawicieli obu naszych narodów wewnątrz i poza granicami Związku Sowieckiego.

Podpisali uczestnicy spotkania w Waszyngtonie 30 września 1979 roku: *Stepan Procyk*, członek Sekretariatu Ukraińskiego Ruchu Demokratycznego, przewodniczący waszyngtońskiego oddziału URD, kontroler systemów finansowych armii amerykań-

skiej, były redaktor naczelny pism *Surma* i *Za Patriarchat*; *Mychał Wołosz*, przewodniczący Ukraińskiej Partii Rewolucyjno-Demokratycznej, wiceprzewodniczący Sekretariatu URD, profesor historii rosyjskiej na uniwersytecie Stanu Connecticut; *Roman Iljucyk*, przewodniczący Sekretariatu URD, współpracownik nowojorskiej Biblioteki Publicznej, były redaktor gazety *Czas*; *Marta Bogaczewska-Chomiak*, członek Sekretariatu URD, profesor historii Rosji na college'u w Manhattanville (Nowy Jork); *Rostysław Chomiak*, niezależny działacz demokratyczny, dziennikarz *United States Information*; *Roman Baranowski*, członek Sekretariatu URD, przewodniczący Związku Ukraińców w Ameryce, emerytowany weterynarz; *Dmytro Korbutiak*, działacz ruchu demokratycznego, emerytowany dziennikarz, były współpracownik *Głosu Ameryki* i były redaktor naczelny tygodnika *Narodna Wola*; *Władimir Bukowski*, członek komitetu redakcyjnego *Kontynentu*, student uniwersytetu w Cambridge; *Natalia Gorbaniewska*, sekretarz redakcji *Kontynentu*, poetka i tłumaczka; *Władimir Maksimow*, redaktor naczelny *Kontynentu*, pisarz.

Rosyjscy uczestnicy waszyngtońskiego spotkania podkreślają, że podpisali deklarację w zgodzie ze swymi najgłębszymi przekonaniami i dążeniami i w nadziei, że wśród ich rodaków znajdują się ludzie myślący tak samo, którzy podejmą nowe praktyczne działania w dziedzinie ukraińsko-rosyjskiej współpracy (każdy w kraju, w którym żyje). Tekst deklaracji w pełni zaakceptował ukraiński członek komitetu redakcyjnego *Kontynentu*, *Petro Hryhorenko*. Liczymy na to, że przy jego pomocy w Ameryce i poparciu *Leonida Pljuszczaka* w Europie rozszerzymy polityczny krąg ukraińskich działaczy i organizacji, gotowych do współpracy i koordynacji działań ruchu obrony praw człowieka.

List do Organizacji Narodów Zjednoczonych

Mykoła Siwicki
Warszawa 03-352
ul. Rembielińska 15 m. 45

Warszawa, 2 lutego 1980.

Do
Organizacji Narodów Zjednoczonych
Komisja Obrony Praw Człowieka
Genewa.

W 1947 roku rząd Polskiej Republiki Ludowej wysiedlił z południowo-wschodniej części kraju autochtonów Ukraińców, a zie-

mie ich zasiedlił Polakami. Władze objaśniały, że bez przesiedlenia nie sposób było zlikwidować UPA (Ukraińskiej Armii Powstańczej), ale był to tylko pretekst, zważywszy bowiem na stosunek sił (regularna armia, Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego i milicja przeciw partyzanckim grupom w sile ok. 5.000 ludzi), twierdzenia o konieczności przesiedlenia setek tysięcy ludzi nie można brać na serio, nie mówiąc już o bezprawnym stosowaniu zasady odpowiedzialności zbiorowej.

W rzeczywistości przesiedlenia dokonano, żeby raz na zawsze skończyć z problemem ukraińskim w Polsce i stworzyć jednolity narodowo naród polski poprzez:

1) oczyszczenie z naturalnej ludności etnicznie ukraińskich terytoriów, które kiedyś wchodziły w skład Księstwa Galicyjsko-Wołyńskiego, podbijanego od 1349 roku.

2) asymilację przesiedleńców, rozrzuconych pojedynczymi rodzinami po polskich wsiach północno-zachodniej, odebranej Niemcom części kraju.

W 1956 roku rząd PRL uświadomił sobie, że popełnił błąd, że Ukraińcy byli oburzeni, uznał jednak, że powrót Ukraińców na rodzinną ziemię jest niemożliwy, bo jest ona już skolonizowana. Zamiast kompensaty (!) partia i rząd obiecały stworzyć warunki, w których by przesiedleńcy mogli swobodnie rozwijać swą kulturę narodową i uczyć dzieci ojczystego języka (patrz załącznik nr 18), to znaczy dać im te prawa, które przysługują ludności polskiej (choć one im się w myśl Konstytucji PRL i tak należały).

Zorganizowanie nauczania języka ojczystego powierzono Ministerstwu Oświaty, a dla nadania rozwojowi kultury narodowej formalnych ram utworzono w 1956 roku USKT — Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. A oto jak spełniono podjęte niemal ćwierć wieku temu zobowiązania:

Nauka języka ojczystego	rok szkolny	
	1958/59	1979/80
Szkoły z językiem wykładowym ukraińskim	9	4
Ilość uczniów	441	brak danych
Punkty nauczania języka ukraińskiego w polskich szkołach	152	29
Ilość uczniów	2.602	545

Na tak szybkie tempo agonii szkolnictwa wpłynęła nie tylko naturalna asymilacja młodego pokolenia ale i działalność aparatu państwowego, starającego się przyspieszyć ten proces poprzez stwarzanie sztucznych przeszkód już nie tylko rozwojowi nauczania, ale wręcz utrzymaniu *status quo*. Popularną metodą likwidowania punktów nauczania stało się niczym nie rekompensowane przenoszenie nauczycieli z miejsca na miejsce, a także nierząd-

kie wypadki tworzenia takiej atmosfery, że nauczyciel odmawiał wykładania ukraińskiego. Negatywne skutki miała też powszechna reorganizacja systemu szkolnego: przy okazji łączenia małych szkół w większe zamknięto szereg punktów nauczania ukraińskiego, a likwidacja jedyne w Polsce ukraińskiego liceum pedagogicznego położyła kres kształceniu nauczycieli. Ministerstwo Oświaty zapomniało o obietnicach, jakie w imieniu partii i rządu złożył w 1956 roku sam minister oświaty W. Jarosiński. Ostatnią nowością w tej dziedzinie jest zasygnalizowany przez rektora Uniwersytetu Warszawskiego pomysł likwidacji jedynej w Polsce katedry filologii ukraińskiej, na którą przyjmują co roku 10 kandydatów.

Jak z tego widać, likwidacja problemu ukraińskiego w Polsce przebiega konsekwentnie, planowo i systematycznie.

Rozwój kultury narodowej

Nieszczerości partyjnych i rządowych obietnic dowodziła od samego początku przynależność resortowa. Na całym świecie procesami kultury zarządzają, jak wiadomo, ministerstwa kultury. Tak też jest i w Polsce, ale dla Polaków, Ukraińcy zaś, niczym bandyci, podlegają organom bezpieczeństwa publicznego — Ministerstwu Spraw Wewnętrznych (MSW). W ten sposób rząd podzielił obywateli na grupy i poniżył Ukraińców, choć zabrania tego art. 81 § 2 Konstytucji PRL (patrz załącznik nr 1).

Podporządkowanie procesu rozwoju kultury ukraińskiej organom bezpieczeństwa wyraziło się w tym, że członkowie USKT byli na etatach MSW. Resort policyjny działalność USKT organizował w taki sposób, aby ono *formalnie istniało, ale jak najmniej robiło*. MSW finansuje działalność USKT, decyduje o jego potrzebach materialnych i personalnych a także *wyznacza* jego kierownictwo, nadając owym nominacjom formę farsowych wyborów demokratycznych. Etatowe kierownictwo w rzeczywistości tylko odgrywa rolę przedstawicieli społeczności ukraińskiej, ponieważ wszelkie decyzje w dziedzinie pracy kulturalnej muszą być podporządkowane poleceniom MSW. Starając się nie drażnić swych opiekunów a jednocześnie zostawić jakiś ślad swej działalności, kierownictwo znajduje się dosłownie między młotem i kowadłem, przypłacając to w najlepszym przypadku rozstrojem nerwowym i przemianą ludzi w bezwolne narzędzia. Opłakana sytuacja wytwarza się, kiedy aktyw społeczności ukraińskiej, zrzeszony w prowincjonalnych i wojewódzkich kółkach USKT lepiej pracuje od głównego zarządu w Warszawie, a kierownictwo głównego zarządu musi hamować tę działalność, żeby nie stracić posady.

Rozwój kultury ukraińskiej ogranicza się na wszelkie możliwe sposoby, jak na przykład:

1) Dla zdobycia własnych dochodów na swą zgodną ze statutem działalność USKT stworzyło własne przedsiębiorstwo „Fer-

rotaks", zajmujące się wyrobem ozdób drewnianych i metalowych, kilimów itp. Przedsiębiorstwo stworzyło społeczności ukraińskiej odpowiednie możliwości zarobku, miało milionowe obroty, zwiększało środki na rozwój kultury i wzbogacało rynek. Rząd jednak zakazał okólnikiem tej działalności gospodarczej, objaśniając, że organizacja o charakterze kulturalnym powinna się zajmować rozwojem kultury, fundusze zaś zabezpieczyć państwo z budżetu MSW. W rzeczywistości MSW wykreśla z projektu budżetu wszystko, co się da, uzasadniając to brakiem środków. Dlatego też, kiedy się zepsuł jedyny samochód USKT, nabyty za dochody z „Ferrotaksu”, na nowy musieliśmy czekać pełnych pięć lat.

2) Podczas reformy administracyjnej Polski zlikwidowano powiatowe i wojewódzkie zarządy USKT, a wszystkie kółka (w liczbie ok. 200) podporządkowano bezpośrednio głównemu zarządowi w Warszawie. Przy takim scentralizowaniu możliwości zarządzania spadły do zera.

3) Na zebraniach i w publikacjach prasowych kółka bezustannie domagają się od zarządu głównego pomocy instruktorskiej (nie mówiąc już o pomocy materialnej), ale żądania te pozostają bez odpowiedzi. Warszawski personel instruktorski został zredukowany do jednej osoby, a co więcej — wiecznie zajętej gospodarczymi i technicznymi sprawami, bo i tym nie ma się komu zająć. Jeśli dodać sekretarza Prezydium, który też tu pracuje, uzyskamy komplet *operatywnego etatowego personelu warszawskiego ośrodka*.

4) MSW nie zaakceptowało zaplanowanego na 1977 rok festiwalu pieśni i muzyki ukraińskiej, odmowę motywując jak zwykle brakiem funduszy. Ukraiński aktyw zdecydował zmobilizować środki własnymi siłami. Zamiast sprzedawać bilety w kasie, działacze rozsprzedali je zawczasu w całym kraju, zbierając ponad pół miliona złotych. Festiwal się odbył, po czym przedłożono projekt zorganizowania w ten sam sposób kolejnego festiwalu w następnym roku. MSW i na to się nie zgodziło, twierdząc, że starczy, jeśli festiwale będą się odbywały raz na cztery lata. Bez komentarzy.

Dodać tylko można, dla porównania, że w Czechosłowacji, gdzie jest trzy razy mniej Ukraińców, festiwale takie odbywają się co roku. Działa tam też kilka zawodowych zespołów ukraińskich, ukraiński teatr narodowy, muzeum kultury ukraińskiej i inne instytucje, o których my możemy tylko marzyć.

5) Na terenie byłego województwa rzeszowskiego, do którego mimo wszystko wróciło kilka tysięcy przesiedleńców, zorganizowano zespoły artystyczne i naukę języka ojczystego dla dzieci. Terror miejscowych władz, popierany milczącą zgodą władz centralnych, zniweczył i ruch kulturalny, i punkty nauczania.

6) Próby zaspokojenia potrzeb kulturalnych społeczności ukraińskiej tego terenu poprzez sprowadzanie imprez z innych regionów spełzły na niczym, bo lokalne władze pod różnymi pretekstami odrzucają propozycje (np. twierdzą, że sale są zajęte).

7) Nakład jedynego w PRL kalendarza-almanachu ukraińskiego, na który popyt bezustannie wzrasta i osiągnął 10.000 egzemplarzy, władze ograniczyły do 6,5 tys., zmniejszając także jego objętość.

8) Członkowie Prezydium Zarządu Głównego USKT niejednokrotnie starali się o przyjęcie przez władze kierujące polityką wewnętrzną PRL, chcąc im przedstawić nabrzmiałe problemy, ale nikt z nimi nie chce rozmawiać. Około dwu lat temu np. przewodniczący Prezydium poprosił o przyjęcie go przez sekretarza wydziału administracyjnego KC PZPR, po dziś dzień jednak nie dostał odpowiedzi. Wyraża się w tym lekceważący stosunek już nie tylko do pojedynczego człowieka, ale do przedstawiciela organizacji społecznej. Mało tego: do organizacji mniejszości narodowej, wygnanej z domu rodzinnego i po dziś dzień poniewieranej. Do kogo w takim razie mamy kierować skargi?

9) W 1972 roku USKT zorganizowało męski chór amatorski „Żurawie”, który w szybkim czasie zdobył sobie szeroką popularność i został członkiem zwyczajnym Polskiego Związku Chórów i Orkiestr. Na wysoki poziom artystyczny chór wybił się w warunkach nadzwyczaj ciężkich, zważywszy, że cała sześćdziesiątka chórzystów mieszka i pracuje w różnych miastach i wsiach Polski, a zbiera się tylko od czasu do czasu na intensywne próby, daje dwa-trzy koncerty i rozjeżdża się po domach. Wszelkie zaproszenia na występy zagraniczne „Żurawii” MSW ucina twierdzeniem, że mają oni prawo obsługiwać wyłącznie ukraińską ludność Polski. W tym samym czasie polskie zespoły bezustannie występują za granicą.

10) Jeśli jakiś funkcjonariusz przejawia aktywność w rozwijaniu kultury ukraińskiej, paraliżuje się ją służbowymi represjami. Tak np. pochodzący z Łemkowszczyzny Paweł Stefanowski, z wykształcenia etnograf, nie może nigdzie pracować w swej specjalności, a na chleb zarabia chałupnictwem. W 1977 roku zwolniono z pracy dyrektora liceum ukraińskiego Irinę Snigur, dzięki której młodzież z powierzonej jej pieczy szkoły stała się jednym z głównych filarów ukraińskiej twórczości artystycznej w Polsce. Na miejsce I. Snigur mianowano Polaka, a liceum zniknęło z horyzontu kultury. Wzbudziło to pośród Ukraińców powszechne oburzenie, nie ma go jednak komu wyrazić, bo wszędzie natrafia się na mur milczenia, nikt w kraju się z tym nie liczy, władze udają, że nic się nie stało.

Wymienione wyżej fakty stoją w sprzeczności z całym szeregiem zasad Konstytucji PRL, w szczególności z art. 67 § 2, art. 73 § 1, art. 81 § 1-2 (patrz załącznik nr 1), a także z postanowieniami Aktu Końcowego Konferencji o Bezpieczeństwie i Współpracy w Europie, podpisanego w Helsinkach 1 sierpnia 1975 roku, rozdział VII deklaracji zasad, „którymi państwa-sygnatariusze będą się kierować we wzajemnych stosunkach” (akapit o mniejszościach narodowych).

Fakty można by mnożyć, wystarczy jednak zatrzymać się na własnym przykładzie, w którym dyskryminacja dotyczy już dru-

giego pokolenia, a bezprawne postępowanie władz się nie zmienia.

Do organizacji ukraińskiego ruchu kulturalnego włączyłem się zaraz po jej odrodzeniu w okresie powojennym w 1956 roku, obejmując funkcję sekretarza Komitetu Organizacyjnego USKT. Kiedy organy MSW spostrzegły moją operatywność przy zwoływaniu przedstawicieli społeczności ukraińskiej na pierwszy zjazd USKT, zaproponowały mi przed otwarciem zjazdu, że zostanę wybrany sekretarzem Prezydium Zarządu Głównego USKT, pod warunkiem, że w spełnianiu obowiązków służbowych będę się we wszystkim podporządkowywał poleceniom MSW. Kiedy odmówiłem, odsunięto mnie od pracy w USKT i dano inną — zorganizowanie tygodnika ukraińskiego *Nasze Słowo*; wyznaczono mnie na stanowisko sekretarza redakcji. W 1960 roku przysłała tajna decyzja: wyrzucić mnie (bez objaśnienia przyczyn) z dziennikarstwa i skierować na techniczne stanowisko w polskiej gazecie. Tam pracuję już dwadzieścia lat jako techniczny korektor, wyławiając drukarskie błędy.

Taki sam los spotkał moje dzieci — Annę Chraniuk i Lwa Siwickiego, które tymczasem dorosły i zaczęły pracować jako instruktorzy w Zarządzie Głównym USKT. Z polecenia MSW (tajnego jak zwykle, oczywiście) syna zwolnili z pracy w roku 1978, a córkę — pod koniec 1979.

Zwłaszcza córka znalazła się w trudnej sytuacji. Na prośbę Zarządu Głównego USKT Ministerstwo Kultury PRL skierowało ją w 1972 roku do ZSSR na studia na Wydziale Instrumentów Ludowych w Kijowskim Konserwatorium Państwowym, żeby mieć specjalistkę od nauczania muzyki dla młodzieży. Po skończeniu studiów córka przyjęła pół etatu w ZG USKT (do czasu aż się zwolni pełny etat) i wysyłana służbowo zaczęła uczyć młodzież w odległych od Warszawy rejonach Polski gry na bandurze, narodowym instrumencie ukraińskim. To wywołało prześladowania ze strony MSW, ponieważ dzięki zawodowej działalności mej córki rodziła się w Polsce nowa dziedzina kultury ukraińskiej. Do tego córka zaproponowała, żeby sprowadzić do Polski ze Związku Sowieckiego 50 nowych instrumentów dla przyszłych bandurzystów, co świadczyło o rozległych planach pracy. Import instrumentów nigdy rzecz jasna nie wyszedł poza sferę projektu.

Represje MSW zaczęły się od próby rozbicia jej życia rodzinnego. Przede wszystkim Biuro Paszportów MSW **dwukrotnie** odmówiło obywatelowi ZSSR Igorowi Chraniukowi, którego córka poślubiła w czasie studiów w Kijowie, prawa stałego pobytu w Polsce. Władze spodziewały się, że córka straci nadzieję na przyjazd męża, wyjedzie do ZSSR i nie będzie komu uczyć bandurzystów. Zezwolenie wydano dopiero, kiedy sprawa przeszła przez najwyższe instancje (patrz załączniki nr 2, 3, 4, 5, 6) i były już podstawy do dalszego rozpatrywania jej przed Komisją Obrony Praw Człowieka ONZ (zał. nr 5). MSW ustępstwo w tej sprawie zrównoważyło nakazem wyrzucenia z pracy Anny Chraniuk, nie bacząc na protesty (ustne) Prezydium ZG USKT.

Od 1 stycznia 1980 roku córka jest bezrobotna (patrz załącznik nr 7 — prawo polskie nie przewiduje w takim przypadku zasiłków pieniężnych) i bez perspektyw na pracę w przyszłości, jako że bandurzystki nikomu w Polsce — poza ludnością ukraińską — nie są potrzebne. W ten sposób USKT nie może wykorzystać fachowca, wyuczonego na koszt państwa (na prośbę tegoż USKT) zagranicą, a państwo na darmo ponosiło koszty stypendium na wyższe studia obywatela. Zwolnienie Anny Chraniuk koliduje z postanowieniami Konstytucji PRL, art. 73 § 1-2 (patrz zał. nr 1).

Na początku lat siedemdziesiątych, kiedy organy MSW zakazały drukowania moich artykułów w ukraińskich publikacjach w Polsce, kilkakrotnie starałem się (za radą redaktorów, na których ręce wpłynął zakaz) udać się na rozmowę do MSW, żeby wyjaśnić, jakie są powody tych prześladowań. Wciąż mi obiecywali wyznaczyć termin rozmowy, ale jakoś nie wyznaczili.

Kiedy doszło do tego, że i moje dzieci zaczęto prześladować, w 1979 roku kategorycznie zaprotestowałem i zażądałem wyjaśnienia przyczyn. Miało to skutek dwójaki: w tymże 1979 roku dwukrotnie odmówiono mi paszportu na wyjazd do Wielkiej Brytanii (zał. 8-11), powołując się na artykuł, który pozwala władzom administracyjnym podejmować samowolne decyzje bez podania przyczyn (zał. nr 12). Moja prośba, aby władze wyjaśniły powody odmowy pozostała bez odpowiedzi (zał. nr 10). Postępowanie to urąga postanowieniom Aktu Końcowego konferencji w Helsinkach, rozdział „Współpraca w dziedzinie humanitarnej i innych”, punkt 1 — „Kontakty między ludźmi”, podpunkt d — „Wyjazdy prywatne lub zawodowe”.

Dyrektor departamentu administracyjnego MSW, którego wcześniej już prosiłem, aby podał powody dyskryminacji mojej osoby, starał się mnie przekonać, że MSW nie ma pretensji ani do mnie, ani do moich dzieci, a także nie wtrąca się do pracy USKT, a na moje dowody niczego nie odpowiedział. Wtedy poprosiłem o audiencję u ministra spraw wewnętrznych (zał. nr 13), ale minister odmówił przyjęcia mnie (zał. nr 14). Zwróciłem się zatem z prośbą o przyjęcia mnie do Prezesa Rady Ministrów PRL, ale znowu otrzymałem odmowę (zał. 15-16). Wszystko to przedstawiłem w końcu w skardze jaką skierowałem do Edwarda Gierka, I sekretarza KC PZPR, podkreślając, że metody zawiadywania społeczną organizacją, a także stosowanie systemu personalnych represji świadczy o dyskryminacji narodowej, to znaczy o bezprawiu władz centralnych, którym najwyższe kierownictwo PRL winno się zająć. Niestety nie dostałem żadnej odpowiedzi, choć dawno już upłynął dwumiesięczny termin, przewidziany ustawodawstwem polskim dla rozpatrywania skarg (zał. nr 17).

W ten sposób wszyscy odpowiedzialni pracownicy uchylili się od konfrontacji, nie chcąc słyszeć, że pod firmą socjalizmu rządu w Polsce tradycyjny nacjonalizm. Przy analizie kwestii żydowskich mówi się o tym nawet w partyjnych dokumentach (zał. 19). Przemilcza się jedynie fakt, że jeśli chodzi o Ukrain-

ców polski nacjonalizm działa w sposób jawny, nie kryjąc się, że stosuje wypróbowane metody i dokłada wszelkich starań aby wchłonąć trzystutysięczną (według danych z 1956 roku) ukraińską społeczność kraju. Nie rozwalają cerkwi, jak przed wojną, nie wysyłają ekspedycji karnych, bo nie ma już czysto ukraińskich wsi, ale działają bez przerwy, przyspieszając jak mogą naturalne procesy asymilacji. W ten sposób peerelowska polityka wynarodowiania Ukraińców prowadzona jest świadomie, planowo i systematycznie.

Jest to *przestępstwo* przeciw Konstytucji Polskiej Republiki Ludowej a także przeciw Aktowi Końcowemu Międzynarodowej Konferencji w Helsinkach, podpisanemu przez Gierka w imieniu PRL.

Stąd wniosek, że problem dyskryminacji Ukraińców w PRL winien być rozpatrzony przez kraje, które sygnowały Końcowy Akt Konferencji w Helsinkach.

Mykoła SIWICKY

19 załączników na 36 stronach.

Uzupełnienie do tekstu skargi

11 lutego 1980 roku przelałem komplet załączonych materiałów do Ministerstwa Spraw Zagranicznych PRL z prośbą o przesłanie ich adresatowi, w ciągu tygodnia jednak dostałem wszystko z powrotem, z wyjaśnieniem, że MSZ nie zajmuje się wysyłaniem prywatnej korespondencji za granicę. Wezwano mnie jednak do KC PZPR i poproszono, żebym im przedstawił ten materiał do rozpatrzenia. Przekazałem skargę na polski i razem z załącznikami przelałem do KC. 18 kwietnia KC PZPR odesłał mi cały materiał z powrotem — bez najmniejszego komentarza. Kiedy w rozmowie telefonicznej z przedstawicielem KC PZPR wyraziłem zdziwienie z tego powodu, powiedziano mi, że nie ma czego komentować, a nadanie sprawie dalszego biegu pozostawiają mojemu uznaniu.

Ten fakt raz jeszcze potwierdza, że władze najzupełniej ignorują ten problem.

Mykoła SIWICKY

Warszawa, 5 maja 1980.

Polsko-ukraińska konferencja naukowa w Monachium

Była to już druga konferencja tego rodzaju. Pierwsza odbyła się w październiku 1977 roku w Kanadzie, na uniwersytecie McMaster w Hamilton. Obecna, która obradowała 6 i 7 paź-

dziernika, dotyczyła historii najnowszej i stosunków polsko-ukraińskich od pierwszej wojny światowej po dzień dzisiejszy.

Konferencję otworzył rektor Wolnego Uniwersytetu Ukraińskiego, prof. Wołodymyr Janiw. Jego ważne i programowe przemówienie zamieścimy w następnym numerze. Następnie odczytano nadesłane depesze: błogosławieństwo apostolskie od Jana Pawła II oraz błogosławieństwa kardynała Władysława Rubina, stojącego od niedawna na czele świętej Kongregacji do Spraw Kościołów Wschodnich, i kardynała Józefa Slipyja, patriarchy ukraińskiego Kościoła obrządku grecko-katolickiego. Przyszła również depesza od gen. Petra Hryhorenki.

Najważniejszą różnicą między konferencją kanadyjską a konferencją monachijską było wyzbycie się lęku przed poruszaniem tematów drażliwych. W Monachium dwa referaty (obydwa wygłoszone przez Ukraińców) miały za temat „Walki polsko-ukraińskie podczas drugiej wojny światowej” i „Konflikt polsko-ukraiński i próby współpracy 1939-1944”. Pierwszy wygłosił red. M. Dobriański z Londynu, drugi dr Borys Lewyckij z Monachium. Okazuje się, że o sprawach tych można mówić beznamiętnie a jednocześnie bez taryfy ulgowej, nie zaogniając stosunków między przedstawicielami obu narodów.

Zagranicznym gościem konferencji był prof. Gotthold Rhode z uniwersytetu w Moguncji. Wygłosił on referat o polskiej polityce narodowościowej w latach 1918-1939. Prof. Jarosław Pełenski (USA) wygłosił referat pt. „Rosja, Polska, Ukraina — teraźniejszość i przyszłość”; prof. W. Sukiennicki — „Moskwa i Ukraina po klęsce Niemiec w 1918 r.”; dr Józef Lewandowski (Szwecja) — „Kwestia ukraińska jako problem państwa polskiego w latach 1918-1939”; dr Dmytro Sztohryn (USA) — „Rola *Biuletynu Polsko-Ukraińskiego* w kompleksie stosunków polsko-ukraińskich”.

Zabierali też głos dr Bohdan Osadczuk (Berlin Zachodni) i Witold Wirpsza (też z Berlina), Władysław Żeleński z Paryża i dr Z. Stahl z Londynu.

Wśród referatów znalazły się i takie, które — traktując wyłącznie o sprawach polskich — pomyślane były jako informacja dla ukraińskich uczestników konferencji. Referat Włodzimierza Odojewskiego na temat kresowych wątków w powojennej literaturze polskiej był jednak odkrywczy i dla polskiego słuchacza, który nie wyobrażał sobie nawet, jak bogata i różnorodna jest ta tematyka w twórczości polskiej.

Józef Ptacek wygłosił referat o publikacjach polskiej opozycji demokratycznej. Ta tematyka zahaczała już bezpośrednio o sprawy bieżące. Jeszcze dalej posuwał się referat Konstantyna Żelenki, przewodniczącego Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Londynie, poświęcony aktualnym stosunkom polsko-ukraińskim i ich perspektywom na przyszłość.

Końcowym punktem konferencji było zagadnienie polskiego i ukraińskiego prometeizmu. Wypowiadali się tu najmłodszy uczestnicy obrad: członek grupy kontaktowej polskiego ruchu demo-

kratycznego Jakub Świąćicki (Szwecja), paryski przedstawiciel lubelskich *Spotkań* Piotr Jegliński oraz niedawno przybyły na Zachód Wołodmyr Małynkowycz, przedstawiciel Ukraińskiej Grupy Helsińskiej z Kijowa. Ten ostatni z naciskiem przypominał, jak bardzo Ukraińskiej Grupie Helsińskiej potrzebne jest poparcie z zewnątrz, aby pomóc jej przetrwać prześladowania. Jakub Świąćicki mówił o rozwoju demokratycznej opozycji w Polsce i jak jej przykład może podzielać na przyszłe wypadki na Ukrainie, inspirując inteligencję i robotników.

Na tym zakończyła się polsko-ukraińska konferencja naukowa w Monachium. Zdołano jedynie pokrótce zastanowić się, czy spotkania polsko-ukraińskie powinny ograniczać się do tematyki naukowej czy też należałoby poszerzyć krąg uczestników i postarać się o spotkania między przedstawicielami obu narodowości, stawiające sobie wyraźne cele polityczne, jak np. podejmowanie wspólnych akcji czy wywieranie wspólnej presji. Z reakcji zebranych należy wnosić, że ta druga koncepcja została nieformalnie zaaprobowana.

Po konferencji monachijskiej konieczność zorganizowania podobnych spotkań w przyszłości nie ulega już najmniejszej wątpliwości, podobnie jak nie ulega wątpliwości, że działalność tych kilku uczonych, dziennikarzy i publicystów, którzy doprowadzili do drugiej konferencji powinna zostać ujęta w pewne stałe ramy.

Wszystko wskazuje na to, że ramy takie powstaną i należy się liczyć z trzecim spotkaniem w najbliższych latach.

Mr Jerzy Iranek-Osmecki
Monachium.

Uczestnikom drugiej polsko-ukraińskiej konferencji naukowej Jego Świątobliwość Jan Paweł II śle zapewnienie iż popiera ich szlachetne dążenie do zbliżenia obu bratnich narodów i zacieśnienia współpracy dla obopólnego dobra oraz dla utrzymania pokoju na świecie. Z serca udziela uczestnikom konferencji błogosławieństwa apostołskiego.

E. MARTINEZ, substytut

Władysław Kardynał Rubin
Roma, 27. IX. 1980.
Via delle Botteghe Oscure 15

Jerzy Iranek-Osmecki
Monachium.

Dziękuję serdecznie za miły list z dnia 20 września br. i za program Ukraińsko-Polskiej Konferencji Naukowej, która ma się odbyć w Monachium 6-7 października br.

Podaję uprzejmie do wiadomości, że złożyłem pismo w Sekretariacie Ojca Świętego z prośbą o błogosławieństwo Jego Świątobliwości dla uczestników

tej Konferencji. Otrzymałem odpowiedź, że prośba ta będzie załatwiona pomyślnie.

Z mej strony składam najlepsze życzenia, aby ta interesująca Konferencja, której przygotowanie wymaga wiele ofiarnego trudu, przyczyniła się do wzajemnego zbliżenia narodu polskiego i ukraińskiego tak by wyrosło stąd wspólne dobro.

Polecam z ufnością te sprawy miłosierdziu Bożemu i Niepokalanej Matce Kościoła, a ofiarnej współpracy polsko-ukraińskiej z serca błogosławię.

† Władysław kardynał RUBIN

Kronika niemiecka

Od 6 lat inż. Erich Borchardt z Hanoweru organizuje i przekazuje na rzecz Centrum Zdrowia Dziecka dary rzeczowe i wpłaty pieniężne, pochodzące od firm zachodniemieckich. Wartość przekazanych przez inż. Borchardta darów rzeczowych na CZD w latach 1975-1980 wynosi ok. 18 mln marek. ■ Od czasu nadania przez telewizję w RFN amerykańskiego serialu *Holocaust* liczba osób odwiedzających były obóz koncentracyjny w Dachau wzrosła o ok. 40 %. ■ 4-ty tegoroczny numer monachijskiego pisma literackiego *Akzente* zawiera opowiadanie Zbigniewa Herberta *Atlas* i wiersz Adama Zagajewskiego *W encyklopedii znów zabrakło miejsca dla Osipa Mandelsztama*. Natomiast 17-ty numer zachodniobierlińskiego pisma *Litfass* wydrukował wiersze Ryszarda Krynickiego. W ogóle w RFN zauważa się coraz bardziej rosnące zainteresowanie twórczością niezależnie myślących polskich poetów i pisarzy, szczególnie młodszego pokolenia. ■ Wydawany m.in. przez Güntera Grassa i Heinricha Bölla kwartalnik *L'80* przygotowuje numer poświęcony strajkom i działalności opozycji demokratycznej w Polsce. ■ Młody polski bas, solista *Teatru Wielkiego* w Warszawie Dariusz Niemirowicz zdobył drugą nagrodę (5 tys. marek) na *Międzynarodowym Konkursie Wokalnym* w Monachium. Pierwszej nagrody na tym konkursie nie przyznano. ■ Ponad 15 tys. osób obejrzało wystawę dzieł 37 współczesnych malarzy i grafików polskich, czynną w Erfurcie (NRD). ■ Ciesząca się wielkim zainteresowaniem w Niemczech Zachodnich wystawa dorobku Jacka Malczewskiego otwarta została obecnie w Duisburgu (Zagłębie Ruhry). ■ Przy zachodniobierlińskim *Wolnym Uniwersytecie* powstała w 1976 roku osobna pracownia pod nazwą *Germania Slavica*, zajmująca się historyczną obecnością plemion słowiańskich na terytorium na zachód od linii Odra-Nysa, tzn. na wschód od rzek Łaby i Saali. Pracownią *Germania Slavica* kieruje znany archeolog prof. Adrian von Müller; prowadzi on obecnie prace wykopaliskowe na terenie Berlina Zachodniego w dzielnicy Spandau. Okazuje się, że słowiańska obecność między Odrą i Łabą była o wiele wyraźniejsza niż do tej pory sądzono. ■ Erik Blumenfeld (CDU), rzecznik frakcji partii ludowo-chrześcijańskich reprezentowanych w Europejskim Parlamencie w Strassburgu, wezwał *Europejską Wspólną Gospodarczą* do udzielenia szerokiej pomocy ekonomicznej Polsce („powinniśmy ponosić współodpowiedzialność za prawidłowy rozwój polskiej

gospodarki"). ■ *Ministerstwo Finansów* PRL zwiększyło niespodziewanie roczny limit wymiany pieniędzy na wyjazdy do NRD z 350 do 400 marek. Turyści polscy mogą zatem obecnie przebywać w NRD w ciągu roku 16 dni. Władze PRL tłumaczą zwiększony przydział dewiz poważnie zmniejszającą się ilością wyjazdów do NRD. ■ Według agencji *Reutersa* celnicy wschodnioniemieccy konfiskowali prasę polską w okresie trwania strajków w PRL; chodziło im głównie o niemieckojęzyczne wydanie *Życia Warszawy*. Gazeta ta w ogóle zniknęła na pewien czas z kiosków wschodnioniemieckich, za to można ją było otrzymać gratisowo w *Polskim Ośrodku Informacyjnym* we Wschodnim Berlinie. ■ Grupa katolików świeckich w RFN pn. *Bensberger Kreis* wystąpiła z wezwaniem do *Konferencji Biskupów Niemieckich* w Fuldzie, by ta uznała wreszcie polską granicę zachodnią za nietykalną; „Wizyta papieża byłaby ku temu właściwą okazją. Na gest taki miliony katolików w obu krajach czekają od dawna” — piszą działacze *Bensberger Kreis*. ■ W ub. roku przez Hamburg przeszło 19 % RFN-owskiego importu z Polski i 7,9 % eksportu do PRL. W Hamburgu i okolicy znajduje się 11 polskich firm handlowych. ■ *Fundacja Volkswagena* odrzuciła kategorycznie zarzuty prasy sowieckiej o finansowanie „antysocjalistycznych elementów w Polsce”. Kuratorium *Fundacji VW* stwierdziło w wydanym oświadczeniu, że udzieliło jedynie dotacji *Instytutowi Europy Wschodniej* przy *Wolnym Uniwersytecie* w Zachodnim Berlinie w wysokości 187 tys. marek na badania naukowe dotyczące rozwoju społecznego w Polsce od roku 1975; podanie *Instytutu* o przyznanie środków finansowych zostało załatwione pozytywnie w listopadzie 1979 roku. *Prawda* wystąpiła z atakami po ogłoszeniu przez *Fundację VW* rocznego sprawozdania, w którym dołącznie zreferowany jest plan projektu badań prowadzonych przez *Instytut Europy Wschodniej*; chodzi więc w tym przypadku o fałszowanie faktów przez organ KPZS. ■ 670 Polek, głównie wdów po poległych żołnierzach *Wehrmachtu*, przebywało na kuracjach w RFN, dzięki inicjatywie i udzieleniu środków finansowych na ten cel przez władze miejskie w Monastyrze (Westfalen-Lippe). ■ Sfilmowany przez Volkera Schlöndorffa *Błaszany bębenek* Güntera Grassa na skutek decyzji władz wschodnioniemieckich nie będzie wyświetlany na festiwalach w NRD. Zakaz projekcji filmu stanowi naruszenie obustronnej umowy o wymianie filmowej. ■ W Berlinie Zachodnim strajkowali pracownicy (w większości komuniści!) kolei państwowych NRD — *Deutsche Reichsbahn*. Straż kolejowa ze Wschodniego Berlina, która kontroluje również trakcję w zachodniej części miasta, próbowała złamać strajk przy użyciu siły. Wielu kolejarzy wymówiło pracę wschodnioniemieckiemu pracodawcy i pobiera obecnie zasiłek dla bezrobotnych od władz miejskich Zachodniego Berlina. Jeszcze jedno *curiosum* podzielonego miasta. ■ 22 specjalistów prawa międzynarodowego z RFN i PRL obradowało w Kilonii nad problemami ustalenia kompetencji poszczególnych państw w zakresie zapobieżenia dalszemu zanieczyszczeniu wód morskich. ■ W *Centrum Zdrowia Dziecka* w Międzyzlesiu zainstalowano unikalne urządzenie diagnostyczne — tomograf komputerowy *Sonatom 2*, produkcji firmy *Siemens* z RFN. Ofiarodawcą tomografu jest Berthold Beitz, przewodniczący *Rady Nadzorczej Fundacji Alfreda Kruppa*. Wartość daru 2,8 mln marek. ■ *Ost-Wirtschafts-Report* (Düsseldorf): Polskie przedsiębiorstwa budują obecnie w Sowietach trzy elektrownie atomowe (Smoleńsk, Kursk i Chmielnicko). Przy inwestycjach jest zatrudnionych 1.300 specjalistów z PRL. W zamian Sowiety mają dostarczyć Polsce w 1984 roku ok. 1,2 miliarda kilowatów energii elektrycznej. ■ Na posiedzeniu *Izby Reprezentantów* Berlina Zachodniego doszło do wstępnego przyjęcia zaleceń polsko-niemieckiej komisji podręcznikowej odnośnie metod nauczania historii i geografii tego miasta. Projekt uchwały w tej sprawie zatwierdzili jednogłośnie członkowie komisji szkolnej *Izby*, reprezentujący

trzy największe działające w Berlinie Zachodnim partie polityczne, tzn. SPD, FDP i CDU. ■ Ks. prałat Stefan Leciejewski, rektor *Polskiej Misji Katolickiej* w RFN, poproszony przez piszącego *Kronikę* o kilka słów na temat działalności *Misji* na odcinku zbliżenia polsko-niemieckiego — odpowiedział: „My się tym nie zajmujemy, nie mamy na to czasu; te sprawy nie leżą w kręgu naszych zainteresowań; na te i inne tematy z niemieckimi biskupami nie rozmawiamy”. Warto zaznaczyć, że *Polska Misja Katolicka* w RFN i wszyscy polscy duszpasterze są opłacani przez Episkopat Niemiec, podobnie zresztą jak *Polska Macierz Szkolna* (*Komisja Rewizyjna* nie działa!), kierowana od ponad ćwierćwiecza przez tych samych ludzi, zdecydowanych przeciwników poprawy stosunków między Polakami i Niemcami. Z podręcznika historii dla polskich dzieci uczących się w szkołkach sobotnich: „Bolesław I Chrobry był dobrym królem, bo bił Niemców gdzie popadło”... ■ W zachodniobierlińskim *Reichstagu* obradowała *Międzynarodówka Partii Liberalnych*. Dwie liberalne partie emigracyjne przysłały pełnoprawnych delegatów: polska — dr Barbarę Karweką (Londyn) i estońska — Alexandra Terrasa (Monachium); Stanisław Grocholski reprezentował *European Liaison Group* jako obserwator. Ze Sztokholmu przybył Jakub Świąciecki, członek szwedzkiej *Partii Liberalnej* i *Grupy Kontaktowej Polskiego Ruchu Demokratycznego*. Świąciecki, występując w imieniu KSS „KOR” przedstawił zebranym przyczyny, przebieg i sens strajków oraz taktykę MKS-u; apelował o poparcie i pomoc, by „strategia ewolucyjna przyniosła spodziewane sukcesy; wybuch mógłby okazać się katastrofalny w skutkach”. Stanisław Grocholski zaproponował wysłanie polskim robotnikom wyrazów solidarności i poparcia. Wniosek został przyjęty aplauzem. ■ Przewodniczący CDU Helmut Kohl określił strajki w Polsce jako kryzys komunizmu. Wyraził ponadto nadzieję, że zarówno polscy jak i sowieccy przywódcy uświadomią sobie wreszcie, że problemy społeczne mogą być rozwiązane na długą metę tylko na drodze konsekwentnych reform i poprzez zapewnienie ludziom prawdziwej wolności. ■ Korespondentka *Christian Science Monitor* o nastrojach w NRD w okresie strajków w Polsce: Zasięg telewizji zachodnioniemieckiej i radia powodują, że Niemcy wschodni są najlepiej chyba poinformowani w całym bloku wschodnim. Brak odzewu na strajki w PRL („tam każdy jest albo w armii albo w rezerwie”) należy przypisać względnie dobromyśli Niemców w NRD, cynicznemu eksportowi elementów politycznie niepewnych na Zachód oraz jawnej wzajemnej niechęci pomiędzy Polakami i „tymi gorszymi” Niemcami. Polsko-niemieckie antagonizmy powstają również i z tego, że mieszkańcy NRD uważają siebie za lepszych ekspertów gospodarczych od Polaków, a Polacy twierdzą, że stoją wyżej moralnie od swych zachodnich sąsiadów. Przy takim ustosunkowaniu się — kończy artykuł korespondentka *Christian Science Monitor* — trudno się dziwić, że pomiędzy dwoma państwami nie ma naturalnej wymiany myśli. ■ Delegacja *Konferencji Episkopatu Niemiec* z trzema kardynałami na czele (kardynał Joseph Hoeffner, arcybiskup Kolonii; kardynał Joseph Datzinger, arcybiskup Monachium; kardynał Hermann Volk, biskup Mogucji) przebywała z wizytą w Polsce; była to pierwsza tego rodzaju wizyta w historii. Delegacja była przyjmowana przez Prymasa Polski, wzięła udział w posiedzeniu *Episkopatu Polski*, odwiedziła Częstochowę, Wrocław, Opole, Katowice, Oświęcim, Kraków i Warszawę. Przywieziony do Oświęcimia przez biskupów niemieckich krzyż nie będzie mógł pozostać na terenie obozu, gdyż nie zgadzają się na to władze. Kardynał Hoeffner przywiózł ponadto w formie daru relikwie św. Bonifacego, które wręczył Prymasowi Polski. Natomiast delegacja *Episkopatu Niemiec* otrzymała od polskich biskupów relikwie św. Wojciecha. Wizyta ta nastąpiła na zaproszenie Prymasa Polski. Była ona równocześnie rewizytą na podróż delegacji *Episkopatu Polski* do RFN sprzed dwóch lat. Przed wyjazdem

do Polski ks. prałat Josef Homeyer, sekretarz Konferencji Biskupów Niemiec, i Friedrich Kronenberg, generalny sekretarz Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich, wyrazili przekonanie, że przeważająca większość katolików w zjednoczonych kiedyś Niemczech nie będzie wysuwała żądania rewizji granicy na Odrze i Nysie. Oświadczenie to było na pewno przeznaczone dla polskich katolików, którzy w tej sprawie „mają wciąż historycznie zrozumiałą nieufność w stosunku do Niemców. Nikomu kto śledził ostatnie wydarzenia w Polsce nie uszło uwagi, że Polacy w swej zdecydowanej większości występują z tym silniejszym poczuciem pewności wobec sowieckiego sąsiada, im bardziej są przekonani o trwałości zachodniej granicy” (*Stuttgarter Zeitung*). Celem wizyty biskupów niemieckich było niewątpliwie dalsze pogłębienie i umocnienie kontaktów między obu Kościołami. W trakcie wizyty ks. kardynał Wyszyński podkreślił konieczność opieki duszpasterskiej nad Polakami mieszkającymi w RFN, ale jednocześnie położył większy nacisk na opiekę duszpasterską nad Niemcami żyjącymi w Polsce („Biskupów interesuje szczególnie nieodzowne duszpasterstwo wśród naszych rodaków, mieszkających na terenie Niemiec, jak i wśród waszych współbraci, żyjących na terenie Polski”).

Andrzej J. CHILECKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 299 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powtanie — Rozwój — Rozkład

Tom III

Zawiera m.in. rozdziały: Pierwsza faza marksizmu sowieckiego. — Początki stalinizmu. — Spory teoretyczne w marksizmie sowieckim lat 20-tych. — Marksizm jako ideologia państwa sowieckiego. — Antonio Gramsci — rewizjonizm komunistyczny. — Georg Lukács — rozum na służbie dogmatu. — Lucien Goldmann. — Szkoła frankfurcka i teoria krytyczna. — Herbert Marcuse — marksizm jako utopia Nowej Lewicy. — Ernst Bloch — marksizm jako gnoza futurystyczna. — Rzut oka na przemiany marksizmu lat ostatnich.

Str. 536.

Cena F. 110,00.

Tom II-gi — zawierający 544 strony kosztuje F. 110,00.

Sprawy i troski

O naprawie Rzeczypospolitej inaczej*

W tegorocznym lipcowym numerze *Kultury* ukazał się artykuł p. Stefana Korbońskiego „O naprawie Rzeczypospolitej Emigracyjnej”.

Sprawa naprawy Rzeczypospolitej Emigracyjnej zasługuje na staranne i wszechstronne rozważenie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Natomiast nie podzielam sugestii, zawartych we wspomnianym artykule co do kierunku, w jakim powinna pójść omawiana w nim naprawa. Zabieram głos, podobnie jak p. Stefan Korboński wyłącznie w imieniu własnym, w celu pogłębienia dyskusji na tematy przez Niego poruszone.



Należę do pokolenia, które skazane jest na wymarcie jeszcze przed zakończeniem bieżącego stulecia, pokolenia, które osiągnęło wiek dojrzały przed wybuchem drugiej wojny światowej i było zdolne odgrywać poważniejszą rolę polityczną w okresie pełnej niepodległości Polski, a po jej oddaniu w „sferę wpływów” Związku Sowieckiego stanąć do walki o obalenie układów jałtańskich.

Pokolenie moje w oparciu o głęboko przeżyte doświadczenia młodości było i jest przepełnione optymizmem, że cele na pozór nieosiągalne mogą przy sprzyjających okolicznościach być urzeczywistnione i że cel, jaki sobie postawiła polska emigracja polityczna, powstała w latach 1945-1949 — odzyskanie niepodległości Polski — jest nieśmiertelny. Pokolenie ludzi pełnoletnich, którzy utworzyli wspomnianą emigrację, przekroczy w 2001 roku 72 lata życia.

Te dwa przykłady ilustrują wymownie tezę Zygmunta Stermińskiego, nieżyjącego już publicysty i statystyka, który w opra-

* Artykuł dyskusyjny (Red.).

cowaniu pt. „Emigracja w liczbach”, ogłoszonym w „Kalendarzu Dziennika Polskiego za rok 1977” stwierdził, że poczynając od 1981 roku polska emigracja wojenna zacznie się zbliżać do swego kresu. Musimy więc przede wszystkim odpowiedzieć sobie na pytanie, czy warto podjąć niemały wysiłek, by ją na te ostatnie kilkanaście lat istnienia w pełni scalić, dostosować jej ustrój do istniejących warunków i stworzyć jedno, możliwie powszechnie uznane, niezależne kierownictwo polityczne, działające w oparciu o zasadę ciągłości władz Państwa Polskiego na uchodźstwie. Odpowiadam na to pytanie twierdząco, choć zdaję sobie doskonale sprawę z trudności, jakie będą musieli pokonać politycy dobrej woli, którzy podejmą się wykonania tego zadania.

Moją pozytywną odpowiedź opieram na następującym założeniu. Polska od dnia cofnięcia uznania Rządowi Tomasza Arciszewskiego w lipcu 1945 była i jest po dziś dzień satelitą Związku Sowieckiego, pozbawionym możliwości prowadzenia niezależnej polityki. Porzucenie zasady ciągłości władz Państwa Polskiego na uchodźstwie byłoby zatem pozbawieniem Narodu Polskiego konstytucyjnych władz uprawnionych do występowania w jego imieniu. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co może się zdarzyć w ciągu najbliższych kilkunastu lat i czy brak istnienia tych władz w chwilach możliwych kryzysów i wstrząsów nie zaważyłby ujemnie na losach Narodu Polskiego. I dlatego zachowanie do czasu odzyskania przez Polskę niepodległości niezależnego kierownictwa politycznego działającego w oparciu o zasadę ciągłości władz Państwa Polskiego leży w żywotnym interesie Narodu Polskiego.

Wypowiadałem się dalej za utrzymaniem w Londynie siedziby wspomnianego kierownictwa w gmachu do tego celu przystosowanym. Nie przemawiają do mnie argumenty za przeniesieniem go do Stanów Zjednoczonych. Prezydent Rzeczypospolitej i powołany przez niego Rząd R.P. na obczyźnie mają możliwość swobodnego posługiwania się tymi tytułami, prowadzenia nieskrępowanej własnej polityki, zwoływania do Londynu światowych zjazdów emigracji politycznej i przeprowadzania w Wielkiej Brytanii wyborów do Rady Narodowej R.P. W Londynie mają swą siedzibę centralne władze niepodległościowych ruchów politycznych oraz światowe władze głównych niepodległościowych organizacji społecznych. Londyn wreszcie jest w Europie stosunkowo niedaleko od Polski i poniekąd w sąsiedztwie skupisk polskich we Francji, Niemczech Zachodnich, Belgii i Holandii.

Argument, że Wielka Brytania nie odgrywa obecnie kierowniczej roli w polityce międzynarodowej, przemawia wreszcie za pozostawieniem polskiego kierownictwa politycznego w Londynie, ma ono bowiem tutaj większe możliwości prowadzenia niezależnej polityki, wolnej od obcych nacisków. Nie sądzę również, aby rozparcelowanie siedziby polskiego kierownictwa politycznego na trzy stolice: Londyn, Waszyngton i Rzym, odległe od siebie o setki kilometrów, mogło ułatwić spełnianie nałożonych nań zadań już choćby z tego powodu, że utrudniłoby to niezmiernie

wzajemne porozumiewanie się członów tego kierownictwa i koordynowanie ich poczynąń. I dlatego sugestia ta — tak jak została ujęta — wydaje mi się nie tylko nie dość uzasadniona, ale wręcz niepraktyczna.

Jestem natomiast zdania, że ustrój polskiego kierownictwa politycznego, działającego w oparciu o zasadę ciągłości prawnej władz Państwa Polskiego na obczyźnie, należałoby dostosować do przemian, jakie się dokonały w Kraju i na obczyźnie w ostatnim pięcioleciu.

Mam tu na myśli powstanie w Kraju ruchów wolnościowych, które same nazwały się opozycją demokratyczną. Powstanie opozycji demokratycznej w Kraju i jej działalność, zwłaszcza wydawnicza, były wydarzeniem dużej wagi. Została przełamana bariera strachu oraz podjęta walka o rozszerzenie marginesu wolności i o ukrócenie najjaskrawszych pogwałceń praw człowieka, walka, której cele i metody określają samodzielnie prowadzące ją ofiarne i odważne jednostki.

Drugim wydarzeniem niemałej wagi był Zjazd Polonii Wolnego Świata, który odbył się w maju 1978 w Toronto przy udziale przedstawicieli 19 krajów polskiego osiedlenia. Zjazd powołał do życia, jako stałe organy Polonii Wolnego Świata, jej Radę Koordynacyjną, Prezydium, Biuro i komisje robocze, oraz określił jej rolę w walce o niepodległość Polski.

Trzecim wreszcie wydarzeniem był Światowy Zjazd Jedności z Walczącym Krajem, zwołany z inicjatywy Rządu R.P. na uchodźstwie. Zjazd odbył się w Londynie we wrześniu 1979, w 40-tą rocznicę najazdu hitlerowskiego na Polskę w zmowie i przymierzu ze Związkiem Sowieckim. W Zjeździe wzięło udział 352 uczestników z 17 krajów Wolnego Świata. Zjazd wypowiedział się na rzecz utrzymania ośrodka legalnego z Prezydentem Rzeczypospolitej na czele, jako symbolu pełnej niepodległości oraz na rzecz jego rozszerzenia możliwie na wszystkie niepodległościowe ruchy polityczne. Zjazd poświęcił w swych uchwałach osobny ustęp zagadnieniu walki z penetracją komunistyczną, która uderza najczęściej z ukrycia pod płaszczykiem wzniosłych hasel patriotycznych, szerząc zamęt i będąc inspiratorką większości potępięńczych swarów.

W wyniku tych wydarzeń powstały trzy ośrodki, niezależne od siebie, ale działające równoległe na rzecz wolności i niepodległości Polski. Opozycja demokratyczna w Kraju, walcząca przede wszystkim o realizację celów osiągalnych w ramach narzuconego Polsce ustroju, emigracja polityczna, w szczególności jej ośrodek legalny z Prezydentem Rzeczypospolitej na czele, działający od 1945 w oparciu o zasadę ciągłości władz Państwa Polskiego, ześrodkowujący swój wysiłek na walce o cele dalekosiężne, oraz Polonia Wolnego Świata, propagująca te cele wśród społeczeństw krajów osiedlenia, z którymi jest związana wspólną przynależnością państwową.

Wiele przemawia za tym, że ten podział na trzy ośrodki, niezależne od siebie, ale prowadzące równoległe akcję polityczną

na rzecz wolności i niepodległości Polski, utrzyma się na dłuższy, nie dający się nawet w przybliżeniu określić, okres czasu. W teorii najbardziej zagrożone jest trwałe istnienie opozycji demokratycznej w Kraju. Wątpię jednak, aby władze komunistyczne w Kraju były zdolne ją wytepić bez reszty.

Licząc się więc z tym podziałem, jako z faktem dokonany, powracam do głównego tematu mych rozważań, jakie zmiany można by względnie należałoby przeprowadzić w istniejącym ustroju polskiego kierownictwa politycznego, działającego w oparciu o zasadę ciągłości władz Państwa Polskiego, by go dostosować do przemian, jakie się dokonały w Kraju i na obczyźnie, bez naruszania jednak samej zasady.

Sądzę, że temu postulatowi zadośćuczyni w pełni zachowanie pod ich konstytucyjnymi nazwami urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej oraz dwóch organów Państwa, pozostających pod jego zwierzchnictwem — Rządu R.P. na obczyźnie i Najwyższej Izby Kontroli, kontrolującej wykonanie budżetu. Natomiast nie jest naruszeniem tej zasady nieodtworzenie pozostałych naczelných organów Państwa (Izb Ustawodawczych i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych) oraz powołanie na ich miejsce organów zastępczych (Rady Narodowej R.P. i Rady Wojska).

Bardziej jeszcze od tych ewentualnych zmian ustrojowych wymaga rozważenia sprawa uprawnień, a raczej zakresu działania ośrodka legalnego na uchodźstwie w chwili odzyskania przez Naród Polski niepodległości. Przypominam, że Tomasz Arciszewski, stojący na czele ówczesnego Rządu R.P. na uchodźstwie, złożył w dniu 25 czerwca 1945 oświadczenie, wiążące również jego następców, że konstytucyjny Rząd Polski „uprawnienia swoje przekazuje jedynie Rządowi, który będzie odpowiadał woli narodu wyrażonej w swobodnych wyborach”. Wykładnia tego oświadczenia, z natury rzeczy bardzo ogólnikowego, może być tylko jedna. Z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości muszą być przeprowadzone swobodne wybory do Sejmu, oparte na powszechnym, równym, tajnym, bezpośrednim i proporcjonalnym głosowaniu. Dopiero Rząd, powołany w oparciu o większość sejmową w tym głosowaniu wybraną, władny będzie działać w pełni w imieniu Narodu Polskiego i zawierać układy międzynarodowe.

Przypominam wreszcie, że zasady porozumienia, na których opiera swą działalność obecny ośrodek legalny z Prezydentem Rzeczypospolitej na czele, określiły, jako jeden z naczelných celów Narodu Polskiego, wejście Polski do Zjednoczonej Europy, co zapewniłoby jej trwałe bezpieczeństwo. Doniosłość realizacji tego celu nie jest jeszcze dostatecznie doceniana w szerokich warstwach społeczeństwa polskiego zarówno w Kraju, jak i na obczyźnie. Toteż jednym z główných zadań polskich ośrodków, działających na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości, jest propagowanie tego celu wśród swoich i obcych i prowadzenie pogłębionej dyskusji nad warunkami, na jakich ten cel mógłby być osiągnięty.

Bohdan PODOSKI

Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku

LUDZIE, FAKTY, ZAGADNIENIA

Dzieje Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku są jedynym w swoim rodzaju „omnibusem”.

Mieści się w nim cały olbrzymi polski bagaż emigracyjny: ambicje, megalomania, wzloty, upadki, oportunizm idący w parze z ofiarnością, tumiwisizm, podbijanie pianki, indywidualne szarże, zbiorowe *amoki*, obsesje i imponderabilia.

Myślę, że gdyby wszystkie inne dokumenty zniknęły z powierzchni ziemi, to wystarczyłaby historia Polskiego Instytutu Naukowego (Polish Institute of Arts and Sciences in America), by odtworzyć koleje polskiego losu na ziemi amerykańskiej w okresie wojennym, zimnowojennym, *détentowym* i *podétentowym*.

O zawiązku Instytutu zdecydował Adolf Hitler i tak zwany zbieg okoliczności. Dramat Września zaskoczył w Stanach Zjednoczonych grupę wybitnych naukowców, składającą się z antropologa światowej sławy Bronisława Malinowskiego, matematyków Marka Kaca, Samuela Eilenberga, Jerzego Neymana, Alfreda Tarskiego, Antoniego Zygmunda, meteorologa Henryka Arctowskiego, socjologa Teodora Abela, wynalazcy filmu mówionego Józefa Tykocinera-Tykocińskiego, chemika Kazimierza Fajansa, biochemika Kazimierza Funka, założyciela Instytutu Semantyki Alfreda Kобрzyńskiego, ekonomisty Oskara Lange, fizyka Stanisława Mrozowskiego, metalurga Tadeusza Sendzimira.

Później ten polski przyczółek intelektualny zaokrąglił się znakomitościami Polskiej Akademii Umiejętności: Oskarem Haleckim, Rafałem Taubenschlagiem, Wojciechem Świątosławskim, Wacławem Lednickim, Janem Kucharzewskim i wschodzącą gwiazdą — Feliksem Grossem.

Większość profesorów nie była już w wieku poborowym. Pragnęli jednak w jakiś sposób być użyteczni dla sprawy polskiej. Wyobrażam sobie, że wygodna i bezpieczna egzystencja w Ameryce oddalonej od pożogi wojennej musiała ich wprowadzać w stan emocjonalnego napięcia i frustracji.

Na tej glebie powstał pomysł ujęcia działalności polskich profesorów w Stanach Zjednoczonych w ramy organizacyjne.

W ten sposób, w okresie świąt Bożego Narodzenia 1940 roku zawiązało się pod „parasolem” Fundacji Kościuszkowskiej Stowarzyszenie Polskich Pracowników Naukowych imienia Tadeusza Kościuszki, stawiające sobie za zadanie kontynuowanie polskiej działalności naukowej i szerzenie w USA wiadomości o kulturze polskiej.

Stowarzyszenie, na którego czele stał jako prezes Oskar Halecki, liczyło 80 członków.

Halecki był ciekawą postacią. Urodzony w Wiedniu jako Ritter von Halecki, dopiero w wieku dojrzałym pod wpływem przeżyć i emocji odkrył w sobie polskość, której później bez reszty poświęcił życie. Wybiegam naprzód, bez jego ofiarnej pracy na stanowisku dyrektora od 1942 do 1952 roku nie byłoby Instytutu.

Ale wróćmy do Stowarzyszenia. Żywot jego był efemeryczny. Inżynier Damian S. Wandycz przypisuje to w swoim esejie wydanym z okazji 30-tej rocznicy Instytutu zbyt wąskim ramom i za szczupłym środkiem finansowym.

Jest w tym częściowo retusz zrozumiwały w oficjalnej laurce.

Wymienione powyżej względy też „zagrały”, ale profesorowie przede wszystkim czuli się nieswojo pod „parasolem” prezesa Fundacji Kościuszkowskiej, Stefana Mierzwę. Nie mogło być inaczej. Jak już pisałem, syn chłopski z Rakszawy był człowiekiem na skalę nieprzeciętną. Chwalił się, że do dwunastego roku życia pasał na bosaka gęsi. Mając lat siedemnaście przyjechał bez grosza do Stanów Zjednoczonych.

Był uparty, twardy a w kieszeni jego nad skromnymi zasobami Fundacji czuwał wąż. Nie mógł znaleźć wspólnego języka z elitą polskich profesorów, która — jak zwykł był mówić — zwała mu się na głowę.

Ten stan rzeczy spowodował, że prof. Rafał Taubenschlag zdecydował się zwrócić o pomoc do swego kolegi z Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesora Stanisława Kota, prawej ręki generała Sikorskiego, piastującego wówczas tekę kluczową ministra spraw wewnętrznych w rządzie RP w Londynie.

Kiedy prof. Kot odpowiedział pozytywnie ale ostrożnie, Taubenschlag wysłał mu obszerny memoriał, uzgodniony z przyjaciółmi, szkicujący profil Instytutu.

Projekt ten znalazł poparcie w osobie ambasadora RP w Waszyngtonie Jana Ciechanowskiego. W rezultacie, Rada Ministrów zatwierdziła go w czerwcu 1941, ale w sposób z którego można odczytać, że prof. Kot nie miał wielkiego przekonania i zaufania do inicjatywy swoich kolegów. Świadczą o tym jasno cyfry. Rząd RP wyasygnował jednorazowo na utworzenie Insty-

tutu 50 tysięcy dolarów, polecając ministrowi spraw wewnętrznych opiekę nad nową instytucją, podkreślając w instrukcji, że jest to bardzo ciężka ofiara finansowa, pieniądze nie są na cele zapomogowe, lecz wydatki rzeczowe Instytutu, mające mu umożliwić skuteczną i zgodną ze statutem działalność. I dodając, jak to mówi angielskie powiedzenie, *insult to injury*, czyli miarkę obelgi do krzywdy, instrukcja uprzedza surowo, że „w dysponowaniu tą sumą należy przestrzegać jak najdalej posuniętych zasad oszczędności i celowości wydatków”.

Tej instrukcji rady ministrów, zredagowanej na pewno przez profesora Kota, nie sposób nie czytać z uśmiechem. 50 tysięcy dolarów wynosiło wówczas około 12 tysięcy funtów, sumę śmiesznie skromną na projekt o takiej nośności.

Profesor Kot znany był ze swej „selektywnej rozrzutności”. Na sprawy, które go interesowały politycznie zwykł był rzucać garściami pieniądze. Absurdalną niewspółmierność między tymi 50 tysiącami dolarów i ambitnym programem Instytutu podkreśla instrukcja profesora Kota precyzująca, czym się ma stać nowa placówka.

Otóż: 1) Łącznikiem pomiędzy nauką polską a nauką amerykańską; 2) organizatorem polskich prac naukowych na terenie USA, a w szczególności prac dla przyszłej odbudowy Kraju w znaczeniu najszerszym, oraz prac zleconych przez Rząd Polski; 3) największym ogniskiem bibliotecznym i archiwalnym na terenie Stanów Zjednoczonych; 4) centrum źródłowej i udokumentowanej informacji o Polsce; 5) centrum wykładowym w zakresie wiedzy o Polsce, w szczególności o gospodarce, kulturze, ludności, historii i geografii Polski; 6) centrum ewidencyjnym polskich sił naukowych na terenie USA, ułatwiającym umieszczenie sił naukowych na uczelniach, opiekę nad uczonymi, w przyszłości wymianę sił naukowych z Krajem; 7) centrum polskiej publikacji naukowej.

Jak z tego widzimy, za jedne 50 tysięcy dolarów prof. Kot chciał mieć całe ministerstwo w Nowym Jorku. Na szczęście nie kazał profesorom by sami zamiatali biuro.

W pierwszym okresie roczna pensja dyrektora tego wielogłowego centrum *in spe* wynosiła 3.600 dolarów, pensja sekretarki 1.200 dolarów, wydatki biurowe 1.200 dolarów.

Rząd generała Sikorskiego nie zawsze do tego stopnia liczył się z każdym funtem. Rok później, na mocno zbyt dużą imprezę polskiego dziennika cywilnego w Bagdadzie, wydawał dziesiątki tysięcy dolarów jedynie dlatego, by mieć na oku gen. Andersa i kontrolować wpływy tygodnika *Orzeł Biały* wśród wojska.

Na szczęście, po wyjeździe prof. Kota do Związku Sowieckiego

w charakterze ambasadora Londyn poszedł po rozum do głowy. Po tych jednorazowych 50 tysiącach dolarów sięgnął głębiej do kiesy rządowej, ale też nie tak by się profesorom w Nowym Jorku w głowie przewróciło. Subwencja rządowa w ciągu pierwszych dwóch lat wynosiła rocznie 20 tysięcy dolarów, w trzecim — 30 tysięcy dolarów. Później Instytut przeszedł na garnuszek Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Gdyby rząd RP miał wówczas szerszą wizję, zabezpieczyłby przyszłość Instytutu dotacją kilkuset tysięcy dolarów z olbrzymim pożytkiem dla sprawy polskiej w Ameryce i w świecie. Był to grzech z serii pierworodnych, który mści się do dnia dzisiejszego, grzech odpowiedzialny za to, że Instytut jest biednym petentem, zależnym od łaski zamożnych fundacji.

Instytut „autonomiczna stacja naukowa Polskiej Akademii Umiejętności” powstał w okresie wojennym, kiedy sprawa polska była — jak mówił Roosevelt i powtarzał polski Londyn — „natchnieniem narodów” i wydawało się, że od amerykańskiego świata intelektualnego można było się spodziewać *wyjścia na przeciw* tej inicjatywie.

Gdzież tam. Na przykład, Uniwersytet Columbia odmówił Instytutowi udzielenia sali na inaugurację. W pierwszej chwili prezydent Uniwersytetu wyraził zgodę, później jednak wycofał ją jego zastępca. Uczynił to, zasłaniając odwrót pretekstem, że Instytut zajmuje się sprawami politycznymi. Pod tym eufemizmem ukrywała się obawa przed jakimiś wystąpieniami antysowieckimi, co odzwierciedlało wzrastające wpływy Stalina wśród elity nowojorskiej.

Tak więc, dosłownie od samej kolebki, aspekt polityczny nadał Instytutowi posmak kontrowersji.

Temu należy przypisać akcenty w inauguracyjnym przemówieniu prof. Malinowskiego. Podkreślając apolityczność Instytutu powiedział, że Instytut w tej dziedzinie nie ma żadnych aspiracji. „*Pragniemy poświęcić się wyłącznie nauce i kulturze, filozofii, naukom przyrodniczym i społecznym. Istotnie, jaki byłby powód do podejrzenia nas o intencje polityczne? Czym jest polityka? W dobrym zrozumieniu — użyciem siły do rządzenia i obrony. A my nie dysponujemy siłą. Nie mamy czym rządzić, ani czego bronić, z wyjątkiem sprawiedliwości, rozsądku i praworządności. W złym zrozumieniu tego słowa, polityka jest nadużyciem słowa, wykrętnym manewrem — intrygą. A my chcemy poświęcić się pracy badawczej, nauczaniu, piśmiennictwu, humanizmowi.*”

Czyta się te słowa wielkiego uczonego z podziwem, wzruszeniem i zażenowaniem. Podziwem dla prof. Malinowskiego

i zażenowaniem, że sytuacja zmusiła go do takiego publicznego uderzenia w pokorę.

To napięcie nerwowe w dzień inauguracji nie mogło mu dobrze zrobić. Następnego dnia prof. Malinowski zmarł nagle na udar serca. Liczył wszystkiego 58 lat. Jego śmierć stała się niepowetowanym ciosem dla Instytutu. Prezesurę objął profesor Jan Kucharzewski, wielki uczony, ale człowiek innego kalibru.

Brzmi to teraz paradoksalnie, ale sam fakt, że Instytut znajdował się pod opieką rządu RP, sojusznika Stanów Zjednoczonych, też grał przeciw niemu. Dopiero interwencja ambasadora Ciechanowskiego, który umiał uspokoić Departament Stanu, że Instytut nie będzie uprawiał żadnej akcji propagandowej przeciw nowemu aliantowi, w osobie Stalina, a ograniczy się do działalności naukowej, spowodowała, że nie został potraktowany jako *foreign agent* (termin teraz tak aktualny po skandalu libijskim z bratem Prezydenta, Billy Carterem w roli głównej).

Instytut wzbudzał też sporą dozę niechęci wśród niektórych kół polskich. Inż. Wandycz pisze, że miała ona charakter personalny. Były to bowiem reminiscencje polityczne przedwojennej przeszłości sanacyjnej przeniesione na teren nowojorski. A przedmiotem niechęci stał się głównie prof. Wojciech Świętosławski, typowany wówczas na kierownika jednej z sekcji Instytutu. Jego koledzy nie umieli mu przebaczyć okresu, w którym stał na czele ministerstwa Oświaty.

Niektórzy znani uczeni po prostu zbojkotowali Instytut, jak na przykład Oskar Lange i matematyk Jerzy Neyman, ten ostatni jednak po latach zmienił zdanie stając się członkiem Instytutu. Odcięciem się od Instytutu Oskar Lange otworzył sobie drzwi do współpracy z Bierutem, którego reprezentował jako ambasador w Waszyngtonie.

Ze swej strony Polonia amerykańska odniosła się raczej ostrożnie do nowej inicjatywy, która wydawała się jej elitarna i „pańska”. Nie stawiając kropki nad „i”, kamuflując się eufemizmem, szermowała argumentem, że świat naukowy w USA zwykł się odnosić nieufnie do instytucji o charakterze propagandowym i politycznym.

Tak mniej więcej wyglądała sytuacja, kiedy Polski Instytut Naukowy dźwigany przez Oskara Haleckiego, stawiał pierwsze kroki. Powtarzam raz jeszcze, gdyby nie Halecki, Instytut w tej chwili byłby tylko jeszcze jednym wspomnieniem.

Z biegiem lat, pod wpływem nowych sytuacji, problemów i ludzi, zastrzeżenia, kontrowersje i kompleksy przechodziły kolejne, jakby powiedzieć, metamorfozy.

Te konflikty płyną trzema nurtami. Niekiedy zmieniają ło-

zyska, łączą się razem, by nagle pod wpływem ludzi i wydarzeń wrócić na pozycje „indywidualne”.

Dla historii można je wyodrębnić pod trzema „etykietami”: 1) Czym jest Instytut? Elitą czy demokracją naukową w postaci stowarzyszenia uczonych, artystów, dziennikarzy, jakich wiele w Stanach Zjednoczonych? 2) Stosunek do PRL. Współpraca, ale w jakich granicach, w jakiej tonacji, pod czyją batutą? 3) Walka o władzę w Instytucie czyli Polonia *versus* nowa emigracja.

Konflikt numer dwa dał znać o sobie w ostrej formie w drugiej połowie lat 50-tych za dyrektorstwa Stanisława Strzetelskiego, pod wpływem polskiego Października.

Aleksander Janta, naoczny świadek konfrontacji, wprowadza nas w samo sedno sprawy (nie podzielam jego poglądu, ale przyznaję, że jest jasno sprecyzowany) pisząc: „Byłem członkiem zarządu Instytutu w okresie, kiedy problem roli i przyszłości tej instytucji przeciwstawił w jej ramach dwa sprzeczne poglądy, ideowy i praktyczny. Dyrektorem Instytutu był w owym czasie Stanisław Strzetelski, a rozgrywka szła o to czy — jak to sam próbowałem w ostrych ówczesnych dyskusjach zdefiniować — Instytut ma być traktowany jak ołtarz symbolizujący, według założeń wojennych jeszcze, niezłomną reprezentację ideałów niepodległościowych, czy też należy go uważać i posługiwać się nim jako narzędziem działania w interesie polskim w kołach intelektualnych, uniwersyteckich i wśród studentów amerykańskich”.

Janta był zafascynowany Październikiem i gorącym zwolennikiem *apertury*. Nie on jeden.

Dla „niepodległościowców” kurs zainicjowany przez Strzetelskiego był „za szybko, w za krótkim czasie”. Sprawujący prezesurę prof. Oskar Halecki, poparty przez zarząd, a głównie przez autorytet Zygmunta Nagórskiego seniora, wyraził Strzetelskiemu votum nieufności, zmuszając go do ustąpienia. Ostra konfrontacja nie wyszła Instytutowi na dobre i wpłynęła hamująco na jego działalność.

Po okresie przejściowym, w którym funkcję dyrektora pełnił wiceprezes Zygmunt Nagórski senior, na stanowisko to powołano zamieszkałego w Waszyngtonie dr. Jana Wszelakiego. Oczywiście „dojazdowa dyrekcja” nie była szczęśliwym rozwiązaniem, a jedynie „klajstrem” na krótki okres czasu, odraczając problemy, ale nie zatapiając ich.

Patrząc wstecz na ten okres lat 60-tych, stwierdzamy, że upłynął on na mocowaniu się z problemem stosunku do PRL. Instytut nie odcinał się od kontaktów z uczonymi z Kraju, ale czynił to w sposób „nie *à la* Strzetelski” tylko ostrożny, który można określić jako „owszem, ale nie za bardzo”. Działo się to

za dyrektorstwa Damiana Wandycza i Jana Librachy, który pełnił to stanowisko przez krótkie dwa lata, po przejściu na emeryturę z nowojorskiej redakcji Rozgłośni Wolna Europa, aż do śmierci.

Ten ideowy slalom odbijał się na łamach założonego w 1956 roku kwartalnika *The Polish Review*, który pod redakcją prof. Ludwika Krzyżanowskiego trzyma się z dala od tematów „politycznych” o rzeczywistości w Polsce, koncentrując się na materiałach naukowych, bardzo często — niestety — miernej jakości. Nie umniejsza to zasług pana Ludwika w tej wąskiej koncepcji. *Nolens volens* czasopismo będzie musiało ją zmienić, albo zniknąć.

Na okres dyrektoriatów Damiana Wandycza — Jana Librachy przypadły imprezy zaliczane do najwyższych osiągnięć Instytutu, które przysporzyły mu prestiżu i rozgłosu. Dwa kongresy naukowców polskich: w listopadzie 1966 pierwszy z okazji uroczystości milenijnych w Polsce i to pod patronatem Instytutu Środkowo-Europejskiego Uniwersytetu Columbia, i drugi — pięć lat później, pod honorowym przewodnictwem ówczesnego prezydenta uniwersytetu Columbia, Dr. Andrew Cordiera. Wyglądało, jakby Columbia chciała odkupić swoje dawne winy w stosunku do „obcych agentów” wśród założycieli Instytutu.

W pierwszej połowie lat 70-tych „konfliktowość” przesunęła się w inny rejon. Na czoło bowiem wysunęła się konfrontacja między Polonią i nową emigracją. Tym razem doszło do krótkiego spięcia między sekretarzem generalnym, Amerykaninem polskiego pochodzenia, prof. Tadeuszem Gromadą i prof. Eugeniuszem Klebanem, b. oficerem Wojsk Polskich, co skończyło się dymisją tego drugiego. Władzę w tym okresie objął nowy zarząd. Prezesem został John Gronouski, znany ze swej działalności jako poczmistrz generalny USA i ambasador w Warszawie, dyrektorem prof. Feliks Gross. Wydawało się że nastąpiła przełomowa chwila w dziejach Instytutu. W swoim programowym przemówieniu, Gronouski zapowiedział podjęcie kampanii zebrania funduszu w wysokości jednego miliona dolarów, ale pod nową flagą — Instytutu Polsko-Amerykańskiego, co oznaczałoby symboliczne zerwanie z „korzeniami” krakowskimi.

Aby moich czytelników nie trzymać niepotrzebnie w napięciu, powiem szybko, że absolutnie nic z tego nie wyszło. Ani nie wystrzelił milion dolarów, ani nie doszło do przemalowania frontonu. Pozostało po staremu: Instytut jest w dalszym ciągu biedakiem, zależnym od subwencji Fundacji Jurzykowskiego, ale nie odcięto mu „pępowiny”. Prestiż b. ambasadora okazał się zbyt krótki na sześciocyfrową kwestę. Po pewnym czasie Gro-

nouski przestał mówić o konieczności zamerykanizowania Instytutu. Mam wrażenie, że stało się to pod wpływem realiów życiowych i spokojnej dyplomacji profesora Feliksa Grossa, którego zalet wiele osób nie docenia. Jako krakowianin z dziada pradziada, jest on człowiekiem rozwiązań ugodowych, kompromisów, wzajemnych ustępstw i spokojnej dyplomacji. Pod tym względem bardziej przypomina Kissingera niż Brzezińskiego, który zupełnie przestał się interesować Instytutem. Wizualnie strategia Grossa sprawia wrażenie miękkości, ale mam wrażenie, że jest to percepcja trochę błędna. W parze z jego chęcią pokojowego żeglowania idzie pragmatyzm. Prof. Gross zdaje sobie jasno sprawę z bardzo ograniczonych możliwości Instytutu. Mając wąskie pole manewru, gra na czas kiedy piłka jest pod jego bramką. Nie na darmo wychował się na Błoniach. Prof. Gross był zawsze czynnikiem łagodzącym, o czym świadczy archiwum, korespondencja pomiędzy nim i profesorem Malinowskim z roku 1942, w której nakłaniał znakomitego antropologa do przyjęcia funkcji prezesa Rady. Na niego, ostatniego żyjącego założyciela Instytutu, spada teraz bardzo trudny obowiązek. Przygotowanie Instytutu do *challenge'u* lat 80-tych.

Wiadomo, że okres, który nas czeka jest na „wariackich papierach”. Mamy tego codzienne dowody, od polityki do meteorologii.

Jeśli chodzi o placówkę nowojorską, założoną przez profesorów Akademii Umiejętności, oznacza to nagłe zaktualizowanie się wszystkich konfliktów. Od *Quo Vadis* Instytucie?, poprzez stosunek do PRL, aż do konfrontacji między Polonią i nową starą emigracją.

Stało się to pod wpływem załamania się polityki *détente*, wzmożonej działalności infiltracyjnej Towarzystwa „Polonia”, kuszącego naszych polonijnych profesorów stypendiami i występami na polskich uniwersytetach, ale chyba w największym stopniu na skutek nowej całkowicie sytuacji w Polsce nieoficjalnej.

Powstanie Towarzystwa Kursów Naukowych i „latających uniwersytetów” nie może być w żaden sposób zignorowane przez Polski Instytut Naukowy, jeśli nie chce on ograniczyć się do dublowania Fundacji Kościuszkowskiej.

Fundacja, owszem, może się wymigać od nawiązywania kontaktów z uczonymi Polski nieoficjalnej, ale w żaden sposób nie wypada to Polskiemu Instytutowi Naukowemu.

Towarzystwo Kursów Naukowych stało się tym, co Amerykanie nazywają *cutting edge*, „krawędzią natarcia”, „ostrzem” nowej rzeczywistości.

W najbliższym okresie sternicy Instytutu będą musieli odpo-

wiedzieć sobie na pytania o kapitalnym znaczeniu, a mianowicie: na czym polega rola Instytutu? do czego on zdąża? Zapyta o to każdy, do kogo Instytut zwróci się o pomoc finansową. Pałaca jest sprawą stosunku do współpracy z „latającymi uniwersytetami”.

Ci, którzy szermują sloganami o wyłącznie polonijnym charakterze Instytutu, będą się starali wymówić argumentem apolityczności. Będą to ci sami, którzy — jak na przykład prof. Eugeniusz Kusielewicz — nie chcąc sobie psuć stosunków z „oficjalną nauką” w PRL, próbowali podczas zjazdu w Waszyngtonie stępić ostrze wielu rezolucji. Dzięki Bogu, skorygował to zarząd, przywracając uchwałę w sprawie solidarności z Sacharowem.

Splawiony elegancko z prezesury Fundacji Kościuszkowskiej, prof. Eugeniusz Kusielewicz wykazuje coraz większe zainteresowanie Instytutem. Wychodzi mu w tym naprzeciw John Gronouski, który zaskakując i irytując członków zarządu, pozwolił mu nie tylko przemawiać na bankiecie zjazdu w Waszyngtonie, ale nawet obdarzył go odznaczeniem.

Polski Instytut Naukowy czekają w latach 80-tych burze i zasadzki. Obawiam się, że nie da się ich więcej zażegnać „krakowskim targiem”.

Zdzisław B A U

KOMUNIKAT

BELGIJSKIEGO KOMITETU POMOCY ROBOTNIKOM

W związku z zajściami które ostatnio wstrząsnęły Polską, w dniu 23 sierpnia 1980 roku został powołany w Belgii przy pomocy wszystkich polonijnych ośrodków i organizacji, „KOMITET POMOCY ROBOTNIKOM I WIĘŹNIOM POLITYCZNYM W POLSCE”.

Ma on na celu moralne i materialne poparcie dążeń robotników oraz ludzi z nimi współpracujących, do stworzenia Wolnych i Samoistnych Związków Zawodowych w kraju.

Do dnia 23 września 1980 roku (tzn. na przestrzeni miesiąca) zostało zebranych na terenie Belgii: FB.224.837 (lub \$ US 7.753) lub F.32.120, z których przekazano już do kraju, zgodnie z przeznaczeniem ofiarodawców: FB.146.026 (lub \$ US 5.000).

Wypada podkreślić fakt, iż wśród ofiarodawców jest bardzo dużo Belgów. Szczególnie ofiarnie przystąpiły też do akcji polonijne ośrodki robotnicze.

Akceja zbierania funduszy będzie trwać nadal, a wyniki jej będą regularnie podawane do prasy belgijskiej oraz polonijnej.

M. KUCZKIEWICZ

(Przewodniczący Prezydium Komitetu)

Kronika kulturalna

Szwedzkie kulisy nagrody Nobla dla Miłosa

Opinia szwedzka znowu została zaskoczona wyborem laureata literackiej nagrody Nobla. Czesław Miłosz jest dla szerokiego rzesz czytelników szwedzkich pisarzem nieznanym. Reakcja dziennikarzy na wybór polskiego laureata dowodzi ich słabej orientacji: Miłosz był przecież już od siedmiu lat jednym z kandydatów do nagrody.

O zainteresowaniu Miłoszem zarówno akademików jak literatów szwedzkich spoza Akademii świadczy kilka bardzo poważnych publikacji ostatnich dwóch lat, przede wszystkim zeszłoroczny numer czasopisma literackiego *Artes*, którego redaktorem naczelnym jest członek Akademii, literat Östen Sjöstrand. Połowa tego numeru była poświęcona Miłoszowi, którego zaprezentował czytelnikom inny członek Akademii, Artur Lundkvist. *Artes* opublikował przy tym kilkanaście wierszy Miłosza w przekładzie Knuta Ahlunda, Ewy Bruno i Katarzyny Gruber. Wkład pani Gruber w zapoznanie członków Akademii i publicystów z twórczością Miłosza był wielki. Sprowadzała i dostarczała zainteresowanym jego dzieła w obcych językach, robiła tłumaczenia życiorysu Miłosza i postarała się, aby Biblioteka Nobla, w której pracuje, posiadała komplet dzieł Miłosza zarówno w polskim jak i w obcych językach.

Fakt, że kandydatura Miłosza była żywo rozpatrywana zdradził Bengt Holmqvist, krytyk literacki *Dagens Nyheter*, najpoczytniejszego porannego dziennika Sztokholmu, który umieścił w czerwcu br. korespondencję z Warszawy, sugerującą, że Akademia zwróciła się do polskiego PEN Clubu z zapytaniem, jak byłby przyjęty w Polsce ewentualny wybór Miłosza i czy wybór ten nie zaszkodziłby stosunkom z Polską. Autor artykułu jednocześnie doniósł, że kilkunastu czołowych polskich pisarzy opowiedziało się za wyborem Miłosza, stwierdzając w liście do Akademii, że „Miłosz jest najwybitniejszym żyjącym poetą” i że

„literatura polska jest niepodzielna”, to znaczy że nie dzieli się na emigracyjną i krajową. Sekretarz Akademii Lars Gyllensten ostro na ten artykuł zareagował, stwierdzając, że Szwedzka Akademia nie ma zwyczaju zwracać się do kogokolwiek z tego rodzaju pytaniami, natomiast dorocznym zwyczajem rozesłała około 800 listów do instytucji i osób powołanych, przypominając o zbliżającym się ostatecznym terminie zgłaszania kandydatów.

Dzisiaj można ujawnić, że list polskich literatów istniał: podpisało go 13-tu czołowych pisarzy z Polski, ale uczynili to we własnym imieniu i nie na blankiecie PEN-Clubu.

Inny dziennik, *Svenska Dagbladet*, mający dobre powiązania z Akademią, 9 października nad ranem jeszcze bardziej uchylił rąbka tajemnicy. Okazało się, że w tym roku Akademia rozesłała 600 listów do uprawnionych do wysuwania kandydatów. Odpowiedzi nadeszło ok. 400. Ponieważ wiele instytucji i osób wysunęło tych samych kandydatów, lista ich zmniejszyła się do ok. 150. Na początku lutego Komitet Noblowski Szwedzkiej Akademii w osobach Karla Ragnara Gierowa, Johannesena Edfelta, Larsa Gyllenstena, Artura Lundkvista, Andersa Österlinga i Östena Sjöstranda zajął się selekcją kandydatów. Zazwyczaj liczba kandydatów po eliminacji nie przekracza siedmiu osób.

Na początku września Komitet mógł przedstawić całej Akademii rezultat swojej pracy i wtedy dopiero zaczęła się ostateczna dyskusja nad problemem pierwszeństwa. Stały sekretarz Akademii Lars Gyllensten zaznaczył, że „zarówno Akademia jak i inne instytucje przyznające nagrody Nobla nie mogą kierować się w wyborze powodami politycznymi, ideologicznymi czy prowincjonalizmem”.

Głosowanie Komitetu Noblowskiego jest tajne, na piśmie. Aby wybór uznano za dokonany, uczestniczyć w nim musi przynajmniej 12 członków na 18. Najmniej połowa głosów winna paść na wybranego kandydata.

Dnia 9 października dokładnie o godz. 13-tej otworzyły się drzwi gabinetu posiedzeń członków Szwedzkiej Akademii. Na salę wszedł Lars Gyllensten, oznajmiając zebranym dziennikarzom, że laureatem literackiej nagrody Nobla w roku 1980 jest polski pisarz Czesław Miłosz, „który z bezkompromisową wnikliwością ujawnia zagrożenie człowieka w świecie pełnym gwałtownych konfliktów” (jest to oficjalna motywacja wyboru).

Zaskoczenie było ogólne. Dowodzi ono, jak niewiele dziennikarze wiedzą o światowej literaturze, jak nie śledzą publikacji literackich nie tylko za granicą, ale i w Szwecji, jak mało uwagi poświęcają pracom Akademii, która przecież dokonuje wyboru o światowym znaczeniu. Było nas jednak kilka osób w Sztokholmie, którzyśmy wiedzieli, że Miłosz jest poważnym kandydatem, wiedzieliśmy to już od 2-3 lat. I wiedział o tym Instytut Literacki — wydawca wszystkich dzieł Czesława Miłosza — od 1951 roku.

Wpływy tzw. nowej lewicy w środkach szwedzkiego masowego

przekazu, a zwłaszcza w telewizji, dały o sobie znać zarówno w podchwytliwych pytaniach kierowanych do sekretarza Akademii jak i w pierwszej audycji TV, powiadamiającej o godz. 18-tej o wyborze laureata. Chciano zasugerować, że wybór ma charakter polityczny, że związany jest z ostatnimi wydarzeniami w Polsce, bowiem sylwetka laureata jest zupełnie nieznana. Odpowiadając dziennikarzom Gyllensten przyznał, że w Szwecji Miłosz jest istotnie mało znany, bo ukazało się tylko jedno jego dzieło, „Zniewolony umysł” (w roku 1956), jednak w Europie i Ameryce jest on postacią znaną, laureatem kilku nagród międzynarodowych. Przypominamy tu, że już w roku 1956 Czesław Miłosz otrzymał w Genewie *Prix Littéraire Européen*, a w roku 1978 w Ameryce ekskluzywną międzynarodową nagrodę literacką Neustadta.

W pierwszej telewizyjnej audycji wiadomość o nagrodzie podano krótko i niesympatycznie, stwierdzając, że wybrano nieznanego pisarza. Na dowód tego przytoczono wypowiedź jednego tylko Szweda, młodego człowieka zatrudnionego w księgarni Fritzes w Sztokholmie, który stwierdził, że nigdy o takim pisarzu nie słyszał. Drugim świadectwem złej woli było przytoczenie jednego — negatywnego — głosu z Polski: krótkiej wypowiedzi Artura Sandauera, twierdzącego, że „nagroda Nobla dla Miłosza jest wyrazem politycznej decyzji Zachodu, mającej na celu związanie Polski z Zachodem”.

Dagens Nyheter, zamieszczając następnego dnia wywiad z Czesławem Miłoszem, zacytował także odpowiedź Miłosza na następną wypowiedź Sandauera: „Opinia Sandauera nie jest warta odpowiedzi”. Następnie Miłosz dodał, że Sandauer inaczej niż on wartościuje polską literaturę.

Pierwszy kanał TV w swojej audycji *Aktuellt* ujął wydarzenie dnia już całkiem inaczej, dając doskonały reportaż i wywiad z Miłoszem. Przeczytano też jeden z jego utworów poetyckich, przełożony na szwedzki przez Katarzynę Gruber. Audycja zawierała również wywiad z jednym z naszych młodych działaczy politycznych, Jakubem Świącickim. Zdementował on zarówno twierdzenie szwedzkiej telewizji, że Miłosz jest pisarzem nieznanym, jak i wypowiedź reportera, że w ciągu dwóch lat po raz drugi dano nagrodę Polsce. Poinformował widzów, że zeszłoroczny laureat Nobla pisze w języku *yiddish*, a zatem nie może być uważany za pisarza polskiego. Był on zresztą w Polsce niemal zupełnie nieznany, bo go nie tłumaczono, a językiem *yiddish* nikt już w Polsce nie włada. Świącicki podkreślił również, że Miłosz jest znany w najszerszych kręgach polskiego społeczeństwa, a zwłaszcza wśród młodzieży, wśród której jest — obok nieżyjącego już Witolda Gombrowicza, który też był kandydatem do Nagrody Nobla — najbardziej cenionym i podziwianym pisarzem.

Zdaniem Bengta Holmqvista „trudno sobie wyobrazić żeby można było dokonać lepszego wyboru niż ten, który został dokonany w tym roku przez Szwedzką Akademię. W Polsce Czesław

Miłosz uważany jest za najbardziej godnego spadkobiercę wielkich tradycji lirycznych. Wielkim tematem jego twórczości jest uchodźstwo i spowodowane nim tragiczne wyobcowanie. Emigracja to los, który dzieli on w dzisiejszych czasach z wieloma innymi poetami. Jest on wobec tego szczególnie reprezentatywny”. Dalej Holmqvist cytuje wypowiedź innego wybitnego poety emigracyjnego, Rosjanina Josifa Brodzkiego: „Czesław Miłosz jest bez wątpienia jednym z największych poetów naszych czasów, może największym. Stoimy wobec surowego i niezłomnego ducha o takiej intensywności, że jedyne porównanie, jakie przychodzi na myśl, to postacie biblijne — przede wszystkim Hiob”.

Gören Borge (*Svenska Dagbladet*) słusznie uważa, że zdziwienie opinii szwedzkiej z powodu wyboru Miłosza „świadczy przede wszystkim o szwedzkim prowincjonalizmie”. „W wielu krajach świata Miłosz zajmuje już od lat pozycję wielkiego poety naszych czasów. W USA, Anglii, Niemczech i Francji mówi się o nim z coraz większym szacunkiem i istnieją wszelkie powody do przypuszczenia, że krytycy literaccy w tych i innych krajach przyjmują aktualne wyróżnienie z aprobatą”. Autor przypomina, że Witold Gombrowicz i Czesław Miłosz byli w Polsce powszechnie uważani za największych przedstawicieli współczesnej polskiej literatury. Miłosz, choć w Polsce zakazany, jest tam znany i czytany. Borge jest przy tym pełen uznania i podziwu dla niezależnego wydawnictwa NOW-a, które wydało już cztery dzieła Miłosza w dużych nakładach: „Sprawa Miłosza widziana z polskiej perspektywy istotnie może być ilustracją przepaści jaka w tzw. demokracjach ludowych dzieli władzę od narodu. A dodać do tego należy, że Miłosz nie jest autorem politycznym w ścisłym znaczeniu tego słowa. Jest kimś bardziej niebezpiecznym: niezależnie myślącym człowiekiem, a do tego kimś, kto po mistrzowski włada językiem, jak ciągle ostrzonym skalpelem. Literacka nagroda Nobla przyznana została w tym roku bardzo zasłużonemu poecie — do tego takiemu, którego — mimo że zajmuje się trudnymi problemami — nie można nazwać trudnym”.

Również czołowe dzienniki prowincjonalne, zwłaszcza wielkich ośrodków jak Malmö i Göteborg, ogłosiły obszernie, pełne podziwu i uznania artykuły swoich krytyków literackich. Socjaldemokratyczny *Arbetet* (Malmö) stwierdza, że Miłosz jest nie tylko największym polskim poetą, ale też wybitnym eseistą i historykiem literatury. Wytyka przy tym Akademii Szwedzkiej, że zaniedbywała w poprzednich latach literaturę Europy środkowej i wschodniej. O ile np. mała Dania uzyskała trzy nagrody Nobla w literaturze, to kraje Europy środkowo-wschodniej o łącznej ludności ponad 100.000.000 miały dotychczas jedynie pięciu laureatów.

Bardzo poczytny *Sydvenska Dagbladet* (Malmö) nadał swojemu reportażowi i artykułowi tytuł: „Miłosz wygnany z Polski, ale prezydent Jabłoński mu gratuluje”. Pismo ogłasza ponadto obszerny wywiad z Miłoszem i twierdzi, że „nagroda ta przychodzi się do zwiększenia wolności słowa w Polsce”.

W bardzo poczytnym *Göteborgs Posten* ukazał się artykuł Ewy Bruno, tłumaczki Miłosza, stwierdzający, że „być pozbawionym swego kraju, jego woni, barw, dźwięków, jest tragedią dla każdego, a zwłaszcza dla poety. Nieustannie odbija się w jego twórczości jego wygnanie, bezdomność języka i zmysłów. Wygnanie jako rzeczywistość i wygnanie jako metafora zagubionego współczesnego człowieka”.

Wieczorny socjalistyczny *Aftonbladet* (Sztokholm) przypomina na wstępie cytowaną już przez nas czerwcową polemikę między Bengtem Holmqvistem a sekretarzem Akademii, stwierdzając, że „wybór Miłosza nie był niespodzianką dla tych, którzy umieją tłumaczyć znaki na niebie i ziemi. Wielkie znaczenie Miłosza w literaturze polskiej jest niezaprzeczalne. Polscy pisarze sami uznają go za najwybitniejszego spośród żyjących polskich poetów, który — co jest typowym polskim paradoksem — mieszka poza granicami Polski. Władza polska zrozumie niewątpliwie wybór Szwedzkiej Akademii jako prowokację polityczną. Wątpliwe jest jednak, czy wybór ten jest korzystny dla polskiej opinii. Nagrody Nobla dla dysydentów wschodnich i pisarzy na emigracji mają w sobie coś ze śmiertelnego pocałunku, te manifestacje solidarności mogą często pośrednio wzmoczyć represje” — pisze Yves Stenius, autor artykułu. „Szwedzka Akademia zawsze odcinała się od politycznych racji — i tak, być może, powinno być”.

Inny wieczorny dziennik sztokholmski, najbardziej poczytny *Expressen* (liberalny) poświęca dwie strony tegorocznej nagrodzie Nobla (9.10. br.). Nils Ake Nilson, profesor slawistyki na Uniwersytecie Sztokholmskim, prezentując Czesława Miłosza w wielkim artykule pisze na zakończenie: „Znaleziono niewątpliwie perłę. Nie ujmuje to niczego innym pisarzom polskim, których wymieniano w dyskusji. Jeśli jednak chciano wynagrodzić poetę najgłębiej polskiego, takiego, który potrafił nadać formę i ton cierpieniom swego kraju, swego czasu i swoim własnym, i wzbudzić światowy oddźwięk, wybór nie mógł paść na lepszego kandydata niż Czesław Miłosz”.

Norbert ŻABA

Londyński "Pamiętnik Literacki"

Pisząc w roku 1976 recenzję z pierwszego tomu *Pamiętnika Literackiego*, nie spodziewałam się, że po niespełna czterech

latach omawiać mi wypadnie tom trzeci*. Redakcja obiecywała wydawanie dalszych tomów „co kilka lat”, i, o dziwo, nie tylko dotrzymała obietnicy, ale nawet skróciła przerwy między tomami (1976, 1978, 1980). W tomie pierwszym ograniczono się do współpracowników z terenu Wielkiej Brytanii, ale już w drugim pozyskano teksty z różnych innych krajów świata. Konsekwentnie starano się o rozbudowę działu informacyjnego, rzetelnie odnotowywano uzupełnienia i *errata*. Ponad nieuniknione niedociągnięcia wybija się przeto troska o wzbogacenie wydawnictwa i utrwalenie w druku informacji o sytuacji literatury polskiej na obczyźnie. Troska ta wybija w przyszłość, jak wymownie świadczy otwierający tom trzeci artykuł Tymona Terleckiego pt. „Archiwum literatury emigracyjnej”, domagający się otoczenia opieką materiałów literackich pozostałych lub zgromadzonych przez pisarzy emigracyjnych. Załącznikiem takiego archiwum jest kolekcja rękopisów Biblioteki Polskiej w Londynie, zainaugurowana przez autora artykułu przed rokiem 1950 systematycznymi przekazami napływających współcześnie do Redakcji *Polski Walczącej* listów, tekstów artykułów, rysunków i fotografii. Doceniliśmy w Bibliotece wartość dokumentarną tych materiałów i dlatego od nich zaczęły się prace nad katalogiem rękopisów. Rejestrowaliśmy zresztą i wykazywaliśmy w drukowanych sprawozdaniach dalsze wpływy; nr inwentarzowy doszedł w roku 1979 do 607-ego; rękopisy uzupełniają liczne pozycje zakwalifikowane do „skryptów”, choć często są to egzemplarze unikalne (np. tzw. „prac zleconych” z okresu drugiej wojny światowej). Dla pełni obrazu dodać należy informację, że archiwalia literackie występują też w zbiorach Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, zwłaszcza w kolekcjach dawnego Polish Research Centre, w zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu i, jak słusznie zauważył Terlecki, w bibliotece Instytutu Literackiego we Francji.

Sprawa Archiwum Literatury Emigracyjnej jest niewątpliwie ważna — i pilna. Terlecki zatrzymał się dłużej przy problemie korespondencji, której wartości niepodobna przecenić a która najczęściej pada ofiarą „czystek” przeprowadzanych przez adresatów lub ich spadkobierców albo przedwcześnie znajduje niepowołanych wydawców. Słusznie też poruszył sprawę tekstów felietonów i słuchowisk radiowych, rzadko ogłaszanych drukiem a będących często rezultatem pracowitych przygotowań. Pisząca te słowa marynuje np. w symbolicznej szufladzie 34 felietony radiowe o polonicach portugalskich, składające się na książkę o „zaniedbanej dziedzinie iberystyki”, jak określił stan rzeczy w tej dziedzinie śp. prof. St. Wędkiewicz. Odpowiednio dobrane teksty omówień książek krajowych i dotyczące ich dyskusje

* *Pamiętnik Literacki*. Tom III. Komitet Redakcyjny: Józef Garliński, przew., Antoni Pospieszalski, Bronisław Przytuński, Ignacy Wieniewski. Londyn, 1980. Wydawca: Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Skład główny: Polska Fundacja Kulturalna, 8°, str. 142, indeks. Okładkę projektował Tadeusz Terlecki. Druk: Caldrea House Ltd., Hove, Sussex.

„okrągłego stołu” mogłyby pokazać reakcje pisarzy emigracyjnych na krajową „odwilż” i wykazać, jak pilnie i uważnie śledziliśmy nowości książkowe i rozproszone po pismach literackich opowiadania Dąbrowskiej, Andrzejewskiego, Zawieyskiego, K. Brandysa itd. Bez znajomości twórczości radiowej trudno ocenić obiektywnie dorobek wielu pisarzy. Terlecki odkrył przypadkiem Juliusza Znanięckiego; ja sama w pracy bibliotecznej spotykałam się często z prośbami o ocenę utworów i parokrotnie (a może nawet wielokrotnie) kierowałam autorów pod właściwe adresy pism czy wydawców. Pewnego dnia ktoś, już nieżyjący, dostarczył do Biblioteki na Princes Gardens żelazny kufer ze spuścizną pisarską Łucji Potockiej, córki Marii Przybytko-Potockiej. Ofiarodawczyni nakazała wykonawcom testamentu wrzucenie klucza do morza i wyznaczyła datę otwarcia kufra na rok, którego jeszcze nie dożyliśmy. Co się w tym kufrze kryje? Grafomania czy Emily Dickinson — wielki znak zapytania.

Terlecki słusznie wysuwa jako jedną z trudności tworzenia Archiwum problem miejsca na przechowanie. Jest to istotnie sprawa bolesna i niełatwa do zrealizowania. Rękopisy, a w szczególności spuścizny pisarskie, są na ogół objętościowo pokalne a do magazynowania trudne. Jako przykłady służyć mogą: kuferek Naglerowej, kufer Łucji Potockiej, metalowe szafki z papierami Wierzyńskiego, regał papierów Retingera itd. W czasie pracy w Bibliotece Polskiej usłyszałam niejedną kostyczną uwagę na temat słuszności przechowywania tego rodzaju „szpargałów”. Dziś byłoby to prawdopodobnie nie do pomyślenia; problem miejsca i właściwego przechowania luźnych archiwaliów jest jednak nadal otwarty.

Redakcja *Pamiętnika Literackiego* jako jedno z zadań postawiła sobie starania o kontynuowanie „Literatury polskiej na obczyźnie” (pod red. Terleckiego) w formie artykułów uzupełniających poszczególne rozdziały nowymi materiałami. Świadectwem konsekwentnych starań były już w pierwszym tomie artykuły J. Garlińskiego o „Literaturze dokumentarnej” i Leopolda Kielanowskiego „Słowo i ciało (scenopisarstwo polskie na uchodźstwie)”. W tomie drugim do działu tego należą opracowania A. Pospieszalskiego o „Literaturze religijnej i filozoficznej na emigracji”, E. Romiszewskiego „Wzmógłona fala wspomnień w literaturze emigracyjnej 1961-1976” i, do pewnego stopnia, reportaż śp. Andrzeja Chciuka o „Dorobku twórczym Polaków w Australii i Nowej Zelandii”. W wydanym obecnie tomie Regina Kowalewska uzupełnia artykuł Kielanowskiego o teatrze emigracyjnym bardzo wartościowym szkicem pt. „Utwór literacki i jego rola wychowawczo-artystyczna w teatrze dla dzieci. (Dwadzieścia lat doświadczeń londyńskiego teatru *Syrena*)”. Poza definicją wyodrębnionych teatrów dla dzieci i młodzieży i jasnym wykładem ich problematyki autorka nakreśliła kronikę imprez londyńskich i dała wykaz wystawionych na różnych przygodnych scenach widowisk. Pośrednio jest to jeszcze jeden argument przemawiający za potrzebą archiwum literatury emigracyjnej: teksty sztuk

istnieją w maszynopisach i odpisach ręcznych albo fotokopiach; nie ukazały się w druku, bo nawet „Śluby panięskie” czy „Zagłoba swatem” wystawione były w wersjach dostosowanych do skromnych możliwości teatru emigracyjnego, odradzającego się przy każdej kolejnej imprezie w nowym zespole aktorskim, na coraz innej scenie teatrów londyńskich czy przygodnych salach w czasie objazdów. Są to, oczywiście, trudności dobrze znane teatrom dla dorosłych. W odniesieniu do teatru dla dzieci naberają szczególnej wymowy.

„Studia polonistyczne na uniwersytetach Stanów Zjednoczonych” w opisie Danuty Kossowskiej są zwięzłym przeglądem działalności nielicznych placówek polonistycznych i specyficznych ich problemów. Wypadło mi zetknąć się z jeszcze jedną trudnością, nie wspomnianą przez autorkę. W Ameryce (myślę tu także o Kanadzie) wielką pomocą dla kandydatów na wykładowców są ogłoszone drukiem ich rozprawy doktorskie. Redakcja *Antemurale* kilkakrotnie przysłała takim młodym naukowcom z pomocą — świadczą o tym ogłoszone w kolejnych rocznikach rozprawy: Andrzeja Buszy „Conrad's literary background and some illustrations of the influence of Polish literature on his work” (t. X, 1966), D. J. Welsha „Sienkiewicz's Trilogy. A study in novelistic techniques” (t. XV, 1971), M. Copson-Niecko „British religious denominations and the Poles between 1832 and 1870” (t. XVI, 1972), Danuty Bieńkowskiej „An analytical study of the early literary work of Stefan Żeromski” (*tamże*), F. Mochy „Tadeusz Bułharyn: a study in literary maneuver” (t. XVII, 1974), Joachima Baera „Wacław Berent, his life and work” (t. XVIII, 1974 — rozprawa w pełnym tego słowa znaczeniu pionierska, często cytowana w kraju), Alberta Juszcza „A glance at the poetry of Tadeusz Sułkowski” (t. XXII, 1978) itd. Jest to sprawdzianem dalekowzroczności Fundacji Lanckorońskich, która, finansując *Antemurale*, ułatwia start uniwersytecki polonistom nie tylko polskiej narodowości. (Z analogicznej pomocy korzystają poloniści na uniwersytetach brytyjskich, co notuje na marginesie).

„Jeszcze fraszka nie zginęła” Tadeusza Polanowskiego jest podany w lekkiej formie ale oparty na dobrym znawstwie tematu (w teorii i praktyce) zarysem tej tak popularnej obecnie „małej formy”. Wielka szkoda, że autor nie objął swymi uwagami autorów emigracyjnych, bo przecież dostęp do fraszek ogłoszonych w *Wiadomościach*, *Tygodniu* i *Orle Białym* nie jest trudny. Jak wykazały przykłady w artykule Polanowskiego, granica między epigramatem, gnomami, a nawet „złotymi myślami” przebiega w bliskim sąsiedztwie fraszki i dlatego pytam: skoro Kotarbiński czemu nie Chmielowiec, Tarnawski, Drobnik, Giergielewicz i wielu innych? W hiszpańskiej Grenadzie ukrywa się fraszkopis nierówny ale wytrwały, Stanisław K. Burda, mający w swym dorobku setki fraszek godnych druku, a prawdopodobnie bez czytania kwalifikowanych do wygodnej odpowiedzi: „Nie wydrukujemy”. Artykuł Polanowskiego zasługuje na ciąg dalszy,

emigracyjny, bo autor dobrze się już zdomowił na emigracyjnym terenie.

Strony 72-136 tomu trzeciego poświęcone są stałym rubrykom. Śp. Bronisław Przytuński po raz ostatni opracował wykaz „Przekładów dzieł pisarzy polskich stale przebywających poza Krajem (1946-1979)”; po starym na pierwsze miejsce wysuwają się przekłady utworów Gombrowicza, po raz pierwszy występuje jako pisarz o światowym zasięgu papież Jan Paweł II. W suplemencie „Z ostatniej chwili” przykry błąd w nazwisku redaktorki *Cahiers de l'Est* — Bobowicz a nie Bohowicz. Wykaz nagród i adresy polskich fundacji, instytucji, bibliotek, muzeów i wydawnictw jest zaktualizowanym dalszym ciągiem analogicznych rubryk z poprzednich tomów. „Kronika Związku” pojawia się po raz drugi i jest świadectwem ożywienia bieżącej działalności na odcinku wieczorów autorskich, spotkań z pisarzami ze wszystkich części świata — i z kraju (wieczory Stefana Kisielewskiego i ks. Jana Twardowskiego). Sprawozdawczej części *Pamiętnika* brak jednak ciągle „głowy”: wykazu nazwisk członków Związku. Nie wystarcza tu informacja, że jest ich 99. Dlatego uważam za celowe ogłoszenie „Listy członków” według stanu z dn. 1 grudnia na podstawie powielaczowego okólnika Związku:

Alf-Tarczyński Tadeusz, Baliński Stanisław, Benedykt Stefan, Biernacka Jadwiga, Bogusławska Anna, Bohusz-Szyszko Marian, Borkowski Piotr, Bujnowski Józef, Busza Andrzej, Chudzyński Edward, Czapska Maria, Czapski Józef, Czerniawski Roman (Roman Gary), Danilewicz Zienińska Maria, Dusza Edward, Frajlich-Zajac Anna, Gacki Stefan, Garliński Józef, Giergielewicz Mieczysław, Glass-Jankowski Henryk, Gniateczyński Wojciech, Gryenberg Henryk, Heinsdorf Helena, Herling-Grudziński Gustaw, Hryniewicz Zofia, Iranek-Osmecki Kazimierz, Iwańska Alicja, Iwaniuk Wacław, Jabłoński Zygmunt, Jagodziński Zdzisław, Jasińczyk (Poray-Biernacki) Janusz, Jasiński Zbigniew, ks. Jaworski Jan, Karren-Zagórska Tamara, Karst Roman, Kibish Krystyna, Kobjiński Bolesław, Koerner Marek, Korey-Krzeczowski Jerzy, Kossowska Danuta, Kossowska Stefania, Kościakowska Janina, Kowalewski Janusz, Kozarynowa Zofia, Krok-Paszkowski Jan, Krzeczunowicz Kornel, Laks Szymon, Lanckorońska Karolina, Lasocki Wiesław, Lehman Leopold, Leitgeber Witold, Lipschutz-Lipski Leo, Lurczyński Mieczysław, Maciuszko Jerzy, Melichar-Nikerk Janina, Mękarska-Kozłowska Barbara, ks. Miązek Bonifacy, ks. Mirewicz Jerzy, Moskwa Paweł, Nowak Wiesław, Nowakowska Krystyna, Nowakowski Tadeusz, Obertyńska Beata, Ostrowska-Zurkowska Helena, Ostrowski Jan, Ostrowski Krystyn, Piaskowski Stanisław, Piekut Stanisław, Polanowski Tadeusz, Pomian Andrzej, Popiechalski Antoni, Przytuński Bronisław, Raczynski Edward, Romanowicz Zofia, Rowiński Krzysztof, Romiszewski Eugeniusz, Sowiński Kazimierz, Strzałkowski Wiesław, Stypińska-Reszczyńska Maria, Surynowa-Wyczółkowska Janina, Szyszko-Bohusz Zygmunt, Śmieja Florian, Tarnawski Wit, Terlecki Tymon, Tomaszewska Jadwiga, Tomaszewski Adam, Trościanko Wiktor, ks. Warszawski Józef, Wedow Janusz, Weintraub Wiktor, Wieniewski Ignacy, Winczakiewicz Jan, Wittlin Tadeusz, Woznout Wiesław, Zaniewicki Zbigniew, Zagórski Wacław, Zbyszewski Karol, Zbyszewski Wacław, Żeromska Olga.

Od czasu ogłoszenia tej listy zmarli: Beata Obertyńska, Krystyn Ostrowski i Bronisław Przytuński.

W spisie członków Związku uderza brak wielu znanych nazwisk, np.:

Andrzejewski Bogumił, Bączkowska Irena, Bednarczyk Czesław, Bednarczykowa Krystyna, Blum Aleksander, Broncel Zdzisław, Brzękowski Jan, Chabrowski Tadeusz, Chrościechowski Przemysław, Ciołkoszowa Lidia, Czaykowski Bogdan, Czerniawski Adam, Czuchnowski Marian, Darowski Jan, Guzy Piotr, Hertz Aleksander, Jeleński Konstanty, Jenne Beniamin Józef, Karsow Nina, Kołakowski Leszek, Kott Jan, Kowalska Janina, Lisiecka Alicja, Ławrynowicz Zygmunt, Łobodowski Józef, Mackiewicz Józef, Marek Zdzisław, Maurer Jadwiga, Miłosz Czesław, Mostwin Danuta, Niemojewski Jerzy, Nowak Jan, Odojewski Włodzimierz, Pankowski Marian, Paszkiewicz Mieczysław, Pietrkiewicz Jerzy, ks. Sadzik Józef, Scherer Olga, Sobotkiewicz Stanisław, Solski Wacław, Taborski Bolesław, Toporska Barbara, Tyrmand Leopold, Wasiutyński Wojciech, Wirpsza Witold, Wygodzki Stanisław, Zawodny Janusz Kazimierz.

Czterdziestu siedmiu „nieobecnych”! Nie wdając się w powody abstynencji, słuszne czy niesłuszne, stwierdzić trzeba, że gdyby do organizacji pisarskiej należeli, Związek mógłby być bardziej reprezentacyjny a wystąpienia jego miałyby większą wagę, co w naszej epoce protestów i apeli ma szczególne znaczenie.

To jednak dygresja. Przystępuję do „cieni” *Pamiętnika*, nie mogąc doszukać się „blasków” w dobrze pomyślanym ale zdecydowanie nieudanym „Słowniku pisarzy polskich na Obczyźnie”. Potrzeba takiego emigracyjnego „Who's who” jest oczywista nie tylko przy redagowaniu nekrologów, choć i to jest względ rzeczowy. W chwili obecnej, praktycznie biorąc, dostępne są tylko bio- i bibliogramy pisarzy uwzględnionych w IBLowskim „Słowniku współczesnych pisarzy polskich” w obu jego wydaniach czterotomowym z roku 1963 (pod red. Ewy Korzeniewskiej) i kontynuacji w trzech tomach (pod red. Jadwigi Czachowskiej). Jan Ostrowski obliczył, że uwzględniają one 102 pisarzy działających i mieszkających poza Polską (*Wiadomości*, 27. VII-3. VIII. 1980). Poszczególne zapisy obejmują: życiorys, całokształt twórczości, opracowania (autor o sobie, recenzje). Jeśli pominąć podyktowane przez cenzurę określenie Hemara jako „biorącego czynny udział w akcji propagandowej wymierzonej przeciw PRL” itp. i ograniczyć się do analizy schematu biogramów, przyznać trzeba, że przemysłany jest dobrze i może służyć jako wzór. Redaktorzy *Pamiętnika Literackiego* i redaktorka opublikowanej obecnie próbnej wersji „Słownika” poszli jednak innym torem: wzorem był dla nich raczej informator Lesława Bartelskiego „Polscy pisarze współcześni”, wydawany przez Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe w stale aktualizowanych wersjach, ograniczony do biogramów członków krajowego Związku Literatów Polskich. Uwzględnia on to tylko, co dany pisarz wydał po wojnie, i lakonicznie referuje działalność przed 1945 r., informując w podtytułach: „wydał” (w wypadku debiutantów powojennych) albo „wydał po wojnie” (u pisarzy starszych gene-

racji). W londyńskim *Pamiętniku Literackim* Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska nie uwzględniła w biogramach dość dowolnie wybranej części życiorysu, co uwidoczniła typowe przykłady:

ALF-TARCZYŃSKI Tadeusz: „W latach 1914-1917 w I Brygadzie Legionów Polskich, w czasie II Wojny Światowej wykładowca na kursach wojskowych w Szkocji”;

BALIŃSKI Stanisław: „uzyskał magisterium polonistyki UW (1928). Członek grupy poetyckiej „Skamander”. W czasie wojny był w polskiej służbie zagranicznej we Francji i W (sic!) Anglii. Mieszka w Anglii od 1940 r.”;

BUSZA Andrzej: „Mieszka w Kanadzie od 1965 r.”;

DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: po informacjach o studiach uniwersyteckich „w latach 1939-1940 praca w Czerwonym Krzyżu i Bibliotece Polskiej w Paryżu”. Autorstwo debiutu książkowego przypisane „bohaterowi” monografii, której tytuł brzmi: „Tyton Zaborowski. Życie i twórczość”;

Są to życiorysy-zagadki. Co robił generał Alf-Tarczyński pomiędzy r. 1917 a drugą wojną światową i owymi kursami w Szkocji? Czy Baliński wskoczył do służby dyplomatycznej dopiero podczas drugiej wojny światowej? Czy Busza „mieszka w Kanadzie” czy też jest wykładowcą University of British Columbia w Vancouverze? Czy debiutem bibliotekarskim Danilewiczowej była Biblioteka w Paryżu — a nie 11 lat przedwojennej pracy w Bibliotece Narodowej w Warszawie? Czy życiorys Bronisława Przyłuskiego da się zamknąć w słowach „Kampania wrześniowa, obóz jeńców w Murnau (Niemcy)” bez wzmianki o jego pracy w RWE w Monachium? Skrótów przerywają bieg życia; dobrze jeśli można je wypełnić materiałami z innych wydawnictw — ale ich nie wskazano. Dzielę obawy Jana Ostrowskiego, że Redakcja nie znała „Słownika współczesnych pisarzy polskich” i ograniczyła się do danych z niedbale wypełnianych formularzy ankiet. Swoistym *curiosum* jest brak dat urodzenia nie tylko u dwu autorek ale i u Przyłuskiego, który swego wieku na pewno nie ukrywał. Zasadniczą wadą biogramów jest niejednolitość ujęcia: w wielu wypadkach nie obowiązuje zasada ograniczania wydawnictw przedwojennych do debiutu (np. u Jerzego Korey-Krzeczowskiego, Beaty Obertyńskiej, Jana Ostrowskiego, Wiesława Strzałkowskiego i in.). To samo dotyczy wzmianek o współpracy w czasopiśmie czy programach radiowych.

Sądzę, że u podstawy życiorysów stoi formalistyczne trzymanie się paragrafów kwestionariusza. Im pisarz młodszy, tym lepiej wygląda jego życiorys, bo odpadają całe połacie przedwojennej działalności. Zgrzeszyli ponadto redaktorzy zbytnią wiarą w zeznania pisarzy. Pierwszy dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie, Stefan Demby, systematycznie gromadził autobiografie. Ale im nie wierzył! W każdej teczce wyciągi metryk, odpisy świadectw szkolnych, dane bibliograficzne itp. prostowały *deliberate mistakes* autobiografii. „Sprawdzać, sprawdzać, sprawdzać!!!” było zawołaniem Grydzewskiego. Dodałbym: uzupeł-

niać, ewaluować, oddzielać ziarno od plewy. I więcej dbać o korektę, bo ta jest zdecydowanie słabą stroną wydawnictwa.

A przecież nawet najsurowiej podchodząc do niedociągnięć „Słownika”, radzi należy Związkowi, by ciągnął dalej to niewątpliwie potrzebne wydawnictwo. Kraj nas nie wyręczy! — choćby nawet przy ewentualnym zelżeniu cenzury zwiększyła się ilość tolerowanych nazwisk pisarzy emigracyjnych. Komitet Redakcyjny ogłosił, z pochwały godną ostrożnością, „odcinek” „Słownika”, określając go jako „zapoczątkowanie zbierania materiałów” i „pierwszy krok”. Należy rozważyć postawić drugi.

We wszystkich trzech tomach *Pamiętnika Literackiego* ujmuje czytelnika dbałość Redakcji o kontynuowanie stałych rubryk, pozyskiwanie nowych współpracowników i staranne uwzględnienie uzupełnień i errat.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Feijó (Portugalia), 2 września 1980.

Książka polska w Ameryce

Niewesołe są losy książki polskiej w Ameryce, ale istnieją realne możliwości naprawy. Ponoć Polonia w USA liczy 10 milionów. Polonia w Kanadzie setki tysięcy. Ale ilu z nich czyta polskie książki? Polskich autorów w tłumaczeniach na angielski? W spisie ludności z 1970 roku w USA tylko 285 tys. osób podało, że polski jest ich językiem domowym. Większość z nich (wiek i wykształcenie) nie para się polską książką. Tych, co biorą polską książkę do ręki nie będzie w USA więcej jak 30 do 40 tysięcy. Zły przykład idzie z góry. Wielu przywódców polonijnych książki polskiej nie tyka. Nawet w tłumaczeniach.

Skala zainteresowań Polonii jest znaczna. Najlepiej idą książki kucharskie, senniki egipskie, słowniki, podręczniki do nauki angielskiego, romanse, kryminały. Nie od razu Kraków zbudowano. W kolejności zainteresowań wymienię książki szkolne i dla młodzieży (zasługa to rodziców). Słabiej literatura współczesna i klasyczna (ta już się przesyciła), monografie, historia, polityka, pamiętnikarstwo, językoznawstwo. Gwiazdą jednego sezonu były książki o papieżu. Wydawcy rzucili się na nie. Słabsze i droższe już leżą. Także książki-przedruki dysydentów z Polski. Miały duże powodzenie, ale ciekawość została już zaspokojona. Polonia żyje klimatem kraju osiedlenia.

Przy tych wszystkich kłopotach zapominamy, że w USA istnieje 20 tysięcy bibliotek uniwersyteckich i publicznych, które każdego roku wydają ok. 150 do 200 milionów dolarów na zakup

książek i periodyków wszelkiego rodzaju. W tym są też pie-niądze polonijnych podatników. Mamy w USA około 50 uniwersytetów z wydziałami studiów slawistycznych i około 1.000 bibliotek publicznych w miastach z liczną Polonią. Można znaleźć tam książki w różnych językach. Ubogo reprezentowana jest tylko książka polska — jakościowo i ilościowo.

W lipcu 1980 roku odbyła się w Nowym Jorku Konwencja Amerykańskich Bibliotekarzy (ALA*), na którą przybyło ponad 12.000 bibliotekarzy. Obradowała na tej Konwencji również licząca 600 członków Sekcja Słowiańska ALA. Konwencja ta miała dla nas szczególne znaczenie, bowiem po raz pierwszy wybrano Polaka na Przewodniczącego Sekcji Słowiańskiej i Europy Wschodniej ALA — dr. Wojciecha Zalewskiego, kuratora znanych księgozbiorów wschodnioeuropejskich Uniwersytetu Stanford w Kalifornii.

Biorąc udział w tej Konwencji przedyskutowałem z bibliotekarzami Sekcji Slawistycznej sprawy polskiej książki w amerykańskich bibliotekach.

Sekcja Słowiańska i Europy Wschodniej ALA skupia bibliotekarzy różnej przynależności etnicznej. Poza Amerykanami *sensu stricto* najwięcej jest (pochodzeniowo) Ukraińców, Rosjan, Jugosłowian, Litwinów, Czechów i skromniej Polaków. Trzeba stwierdzić, że troska o kulturę stworzyła przyjazny klimat dla pracy w tym środowisku, etnicznie tak zróżnicowanym. Kultura jest tu przed polityką.

Przed wszystkim dowiedziałem się od nich, iż sporo w tym naszej winy, że tak mało zakupuje się książek polskich do bibliotek amerykańskich. Jest bowiem praktykowane, że bibliotekarze — po jakimś roku — sprawdzają poczytność zakupionych książek. Niestety nie należy do rzadkości, że książek z działu polskiego nikt w ciągu roku nie brał do czytania. Zniechęca to do nowych zamówień. Takie są prawidła dobrej gospodarki.

Następna przeszkoda jest natury językowej. Bibliotekarze sławieści władają językami krajów Europy Wschodniej. Ale nie wszystkimi. Wielu nie włada językiem polskim w takim stopniu, by mogli dokonywać wyboru książek polskich autorów. Nikt nie może być znawcą wszystkich kultur krajów Europy Wschodniej. Zapowiedzi wydawnicze z Polski (i te same informacje po angielsku) są mało pożyteczne, gdy autorzy są mało znani a objaśnienia treści z konieczności lakoniczne. Bibliotekarka jednej z największych w USA bibliotek publicznych, p. Ivanovich, Jugosłowianka, do której należą zamówienia działu slawistycznego twierdzi, że woli widzieć książkę, którą zamawia, gdy tylko jest to możliwe. Konsultuje również z osobą kompetentną treść książki i osobę autora. Odwiedza różne księgarnie etniczne.

Trzecią przeszkodą jest ciągle znikoma ilość tłumaczeń na język angielski. A przecież 90 % Polonii w USA może poznawać

kulturę polską tylko w tłumaczeniach. Odnosi się to także do całej społeczności amerykańskiej.

Rozmawiam o tych sprawach z nowym Prezesem Sekcji Słowiańskiej i Europy Wschodniej ALA dr. W. Zalewskim, którego trafne spostrzeżenia tu podaję: — „W bibliotekach uniwersyteckich liczy się przede wszystkim jakość a nie ilość tomów. Książki autorów krajowych niedostatecznie uwzględniają wszystkie dostępne dla naukowców źródła dokumentacyjne w Polsce i za granicą. Trudno kontentować się książką i zalecać ją studentom, jeśli autor, historyk, nie uwzględni dostępnych mu dokumentacji dotyczących — dla przykładu — udziału Polaków w drugiej wojnie światowej, albo historii naszej emigracji powojennej”. Dr W. Zalewski twierdzi, że „rozumienie całości współczesnej historii Polski nie jest u nich jeszcze zdefiniowane”. Podobnie jest w dziedzinie badań literackich, gdzie prace autorów krajowych cechuje powierzchowność w studiach nad dorobkiem literackim np. Cz. Miłosza, Gombrowicza, Wierzyńskiego, Lechonia itd. Zgadamy się, że dobór poloników byłby łatwiejszy, gdyby w bibliotekach amerykańskich było więcej Amerykanów polskiego pochodzenia. Niestety, profesorowie i bibliotekarze polscy mało się troszczą o wychowanie swoich następców. Przykłady Harvardu i Uniwersytetu Illinois są chyba dość wymowne. W Harvardzie po wybitnym naukowcu polskim katedra polonistyki miała się dostać naukowcowi Niemcowi.

Jakie z tych konsultacji wyprowadziłem wnioski? Kultury polskiej nie da się upowszechnić w USA przez nawoływanie Polonii do kupowania książek. Trzeba przypuścić *szturm na publiczne fundusze biblioteczne*, z których wszyscy korzystają, tylko nie Polonia w USA. Pierwszy krok — to zachęcić Polonię, aby chciała czytać polonica, które są w bibliotekach, co nic nie kosztuje. Na ten cel nie zbraknie publicznych funduszy. Miliony dolarów łoży na to podatnik amerykański, a biblioteki je wydają. Polonia, która ma „węża w kieszeni” grosza do tego nie dołoży.

Inicjatywa w tej sprawie wyszła już od Klubu Przyjaciół Polskiej Książki w Chicago i zyskała poparcie m.in. kustosa Muzeum Polonii ks. D. Bilińskiego oraz Prof. St. Smoleńskiego, Przewodniczącego Komitetu Oświaty chicagowskiego KPA. Jest to zadanie dla całej Polonii.

Projekt na tym polega, aby młodzież ucząca się i studiująca, aby zasłużone polskie Kluby Artystyczne, organizacje polonijne i wszyscy poczuwający się do związków z kulturą polską, ci którym zależy, aby przez nasz wkład do kultury amerykańskiej Polonia zyskiwała na znaczeniu — aby ta cała nasza etniczna grupa okazała zainteresowanie książkami polskich autorów i o Polsce, jakie znajdują się w katalogach, w najbliższej od nich położonych bibliotekach publicznych i uniwersyteckich.

Trzeba sprawdzać i domagać się książek, których brakuje, które znamy z katalogów, z pism polskich, z księgarni, ogłoszeń

* American Library Association.

itp. Ale nie na tym koniec. Trzeba się upewniać, co nowego zakupiono. A przede wszystkim samemu *wypożyczać* polskie książki do czytania i bliskich do tego zachęcać. Choćby na krótko, by był ślad czytania. Inaczej po roku mogą być obcięte albo skreślone fundusze na zakup książek.

Stoimy wobec dużej szansy poprawy naszego statusu społecznego przez pogłębienie wiedzy o Polsce i jej kulturze wśród Amerykanów. Przywódcy polonijni często skarżą się, że brak środków hamuje ich poczynania. Tak jest, ale biadoleniem nic nie wskoramy. Fundacja Kościuszkowska powstała z subwencji amerykańskich filantropów. Istniejące w USA prywatne polskie fundacje kulturalne pracują owocnie dzięki bogatym Amerykanom, którzy pożenili się z Polkami. Od dziesiątków lat nie powstała w USA żadna poważna instytucja krzewienia kultury polskiej, założona i działająca dzięki ofiarności polonijnej. KPA ledwo wegetuje. Równocześnie miliony dolarów czekają tylko na to, by Polonia zechciała, aby część funduszy była zużyta na wyposażenie bibliotek amerykańskich w książki polskich autorów i o Polsce.

Weźmy choćby przykład z Kanady, gdzie podobna akcja już się zaczęła. Tam się mniej deklamuje o wielokulturowości a więcej domaga funduszy państwowych na te cele. Na potrzeby kulturalne swoich grup etnicznych. A my tu w Stanach Zjednoczonych bez końca biadujemy, gdy miliony dolarów przechodzą nam koło nosa.

Edward PUACZ

DUŻA WYSTAWA OBRAZÓW I RYSUNKÓW

JÓZEFA CZAPSKIEGO

w Galerii PLEXUS
CHEXBRES POD LOZANNĄ

WERNISAŻ 7 LISTOPADA 1980.

WYSTAWA BĘDZIE TRWAŁA
DO BOŻEGO NARODZENIA

Chexbres. tel. (21) 56 22 69 i 56 28 30.

Ci, co odeszli

Wspomnienia o Zbigniewie Jordanie

ZBIGNIEW JORDAN

Kiedy poznałem Zbigniewa Jordana około roku 1950, pracował w Radio Wolna Europa, prowadząc badania nad reakcjami słuchaczy w Polsce. Od razu zrobił na mnie wrażenie człowieka wielkiej wiedzy, głęboko oddanego sprawie nauki. Aczkolwiek ówczesna jego praca była niewątpliwie pożyteczna, nie odpowiadała ona ani jego kwalifikacjom ani najgłębszym zainteresowaniom.

Jasne było, że ten wielki erudyta i świetny umysł się marnuje i nie ma stanowiska uniwersyteckiego jedynie dlatego, że jest emigrantem. Toteż kiedy w roku 1964 przypadło mi w udziale tworzenie ośrodka socjologii w Reading, szybko się z nim skontaktowałem, aby go ściągnąć do powstającego zakładu. Nominację dostał jako *lecturer grade 1*, co mniej więcej odpowiadało polskiemu docentowi. Prowadził u nas kurs logiki, semantyki i filozofii nauk dla socjologów. Studentom i kolegom imponował wiedzą i obowiązkowością.

Przed wojną Jordan był asystentem filozofii na uniwersytecie poznańskim, a w 1964 r. był już autorem paru książek oraz wielu artykułów. Fakt że pomimo olbrzymiej wiedzy dopiero w wieku lat 53 otrzymał pierwsze stanowisko uniwersyteckie wskazuje, z jakimi trudnościami musieli się borykać polscy naukowcy z pierwszej fali powojennej. Napotykali oni wtedy nie tylko bardzo jeszcze silną ksenofobię Anglików oraz ich lekceważenie dla wszystkiego co pochodzi z Europy środkowej, lecz również uprzedzenia lewicowych intelektualistów do narodu „wsteczników” i „antysemitów”. W owych czasach sam fakt niepowrócenia do kraju „budującego socjalizm” wystarczał za dowód, że taki emigrant musi być „faszystą” i „antysemitą”. Do tego dołączała się postawa angielskich Żydów; było wśród nich dość dużo ludzi skłonnych do „odkuwania się” na polskich emigrantach za nędzę i upokorzenia, których ich przodkowie doznali

na polskich lub pogranicznych ziemiach. W owych czasach Żydzi łudzili się nagminnie, że „socjalizm” jest lekarstwem na antysemityzm, z czego wynikało, że każdy emigrant polityczny z Europy wschodniej zasługuje na potępienie, a co najmniej na podejrliwość.

Trudności wynikające z ideologicznych i etnicznych uprzedzeń były naturalnie większe w filozofii i naukach społecznych niż w inżynierii czy naukach ścisłych. Niemniej jako ofiara takich trudności był Jordan jednym z bardziej skrajnych przypadków. Nawet jego twórczość pisarska była skierowana okolicznościami na tory nie najbardziej go interesujące. Stał się historykiem i krytykiem marksizmu nie dlatego, że go marksizm specjalnie interesował, lecz dlatego, że jedynie na prace na ten temat mógł otrzymać stypendia, które pozwoliły mu uciec dwukrotnie na dwa czy trzy lata od zajęć biurowych i oddać się pracy badawczej i pisarskiej. Aczkolwiek wszystkie dzieła Jordana dowodzą mrówczej pracowitości i imponującej erudycji, wydaje mi się, że mógłby on stworzyć dzieła ważniejsze, bo pisanie książek analizujących czy krytykujących marksizm uważałem i uważam za marnowanie czasu, albowiem wszystkie niedorzeczności tej doktryny już dawno wykazano, a logiczne argumenty nie działają ani na fanatycznych wyznawców, ani na cynicznych najemników.

Wśród swych kolegów i studentów uniwersytetu w Reading cieszył się Jordan dużym poważaniem. Uważali go za wcielenie starych ideałów, tak odległych od typu uniwersyteckiego biurokraty i przedsiębiorcy. Nawet z wyglądu uosabiał on ludowe wyobrażenia o uczonym: drobny, nerwowy, zamyślony, z wielką łysą czaszką świecącą nad grubymi czarnymi okularami, zwykle obciążony lub obłożony grubymi tomami. Jego wzorowe staroświeckie maniery bardziej pasowały do Anglii niż do Kanady, gdzie go bardzo raziła obowiązkowa poufałość, którą odczuwał jako grubiaństwo. Kiedy się w 1968 roku przeniósł do Kanady, moda na ogólną sztuczną poufałość (wszyscy z wszystkimi po imieniu i na ty), której tak nie znosił, jeszcze nie zdołała dotrzeć z Ameryki do Anglii.

Patriotyzm Jordana był tak silny, i taką wagę przykładał on do wyłączności swej lojalności, że wołał znosić rozmaite kłopoty w podróżach niż przyjąć obywatelstwo brytyjskie. Za przywiązanie do symbolu obywatelstwa zapłacił niemożnością ujrzenia ponownie ziemi ojczystej.

Słyszałem, że pozostawił niewykończone manuskrypty poważnych dzieł o filozofii nauk społecznych. Gdyby nie trudności życiowe, o których wspominałem, zapewne byłyby je dawno przed śmiercią wykończył i opublikował. Wielka szkoda, że jedynie studenci angielscy i kanadyjscy a nie polscy mieli sposobność zetknąć się z takim podnoszącym na duchu wzorem uczonego.

Stanisław Leonard ANDRZEJEWSKI

ZBYSZEK

Zbyszka Jordana spotkałam tylko dwa razy w życiu, bodaj w połowie lat sześćdziesiątych w Londynie i w dziesięć mniej więcej lat później w Stanach Zjednoczonych, w Albany, dokąd go zaprosiłam na wykład w „moim” uniwersytecie.

Wiedziałam jednak o nim od bardzo dawna i była to wcale nieobojętna, ważna wiedza. Siostra jego Anika opowiadała mi o nim ciągle. Trzynastoletnie i czternastoletnie siadywałyśmy w pokoju Aniki przy ulicy Młyńskiej w Poznaniu i wpatrując się w fotografię młodego zamyślonego chłopca, rozmawiałyśmy o innych „mężczyznach”, nie tak zamyślonych jak Zbyszek, a więc na pewno „mniej wartościowych”, nie zajmujących się „tym co najważniejsze” — filozofią, którą Zbyszek wówczas studiował.

Myślałam o nim po imieniu, chociaż mówiłam mu „pan”, gdy skupiony jak na owej młodej fotografii opowiadał mi później w Londynie o śmierci swojej bardzo kochanej siostry, a mojej najwcześniejszej przyjaciółki. Dopiero po tej rozmowie przedstawił mnie swojej żonie Wandzie i poszliśmy we trójkę — każde z nas niosąc swoje krzesło — na dół, do takiego niby działkowego ogródka, do którego Jordanowie mieli prawo. Tam wśród wysokopiennych róż rozmawialiśmy już o czymś zupełnie innym. Zbyszek te swoje różę bardzo lubił i z tego ogródka pamiętam jego uśmiech.

Gdy w roku 1971 spędzałam mój *sabbatical* na Uniwersytecie Reading w Anglii, Zbyszka już tam nie było, koledzy i studenci rozmawiali o nim jednak dużo, zastanawiając się, dlaczego właściwie ich opuścił. Opowiadali o jego świetnych wykładach z metodologii nauk społecznych i o tym jak bardzo przejmował się każdą myślą najmłodszych nawet studentów, z jakim szacunkiem i cierpliwością pomagał im zmagać się z zawiłymi problemami filozofii.

Na wykład do Albany Zbyszek przyjechał z niezbyt bliskiej Ottawy. Jechał z kolegami na jakiś kongres w Nowym Jorku i nie chciał w Albany zostać ani chwilę dłużej niż konieczne. Spieszył się bardzo. Na moją prośbę przygotował dla profesorów i doktorantów socjologii, filozofii i politologii wykład o różnych szkołach współczesnego marksizmu. Wykład był doskonały: świetnie skomponowany, precyzyjny i wygłoszony w staroświeckim, formalnym stylu, dyskusja jednak nie rozpętała się tak spontanicznie jak to zwykle bywa na amerykańskich seminariach. Zbyszek takiej spontaniczności nie dopuszczał. Jego precyzyjne analizy mroziły zarówno oburzenie jak i entuzjazm marksistów, antymarksistów, behaviorystów, fenomenologów...

To co Zbyszek uprawiał to była nauka przez duże „N”, i miał do niej stosunek bardzo poważny.

Alicja IWANŃSKA

„DOBRZE MYŚLEĆ — DOBRZE POSTĘPOWAĆ”

Pożegnanie Zbigniewa Jordana, filozofa, socjologa, nauczyciela uniwersyteckiego, żołnierza, działacza społecznego i politycznego oraz publicysty przychodzi późno z mojej winy i z winy tematu. Jeszcze w Ameryce zacząłem usilnie zabiegać o syntetyczny szkic o jego życiu i działaniu — poczuwałem się do tego z tytułu naszej długoletniej przyjaźni. To usiłowanie natrafiło na nieprzewidziane i nieprzewidywalne trudności. Nie udało mi się znaleźć nikogo, kto by znał cały jego dorobek, orientował się we wszystkich zakresach jego zainteresowań i działań, dobrowolnych i przymusowych, istotnych i marginalnych. Cały ten trud okazał się w znacznej mierze daremny. Czytelnicy *Kultury* znaleźli tu dwa fragmentaryczne wspomnienia ewokujące człowieka i uczonego, żywe, bezpośrednie, ale zbyt zwięzłe, i będą się musieli zadowolić łączącą je ramą ogólną, podsumowaniem przez kogoś, kto był blisko Jordana ale pracował w innych, tylko z dala pokrewnych dziedzinach.

Z.A. (ściślej Zbigniew Antoni) Jordan pochodził z rodziny, zdaje się, ziemiańsko-inteligenckiej (ur. w r. 1911 w Gołaszynie, w powiecie obornickim), zmarł przeżywszy zaledwie 66 lat (w październiku 1977 r. w kanadyjskiej Ottawie) jako profesor zwyczajny socjologii w Carleton University. Ten rozstęp przestrzenny jest jednym z wyznaczników losu. Jeszcze bardziej przejmujący był wyznacznik czasowy: człowiek fenomenalnie uzdolniony, mózg filozoficzny, jaki zdarza się raz na dłuższy czas, urzeczywistnił swoje potencjalne możliwości tylko w małym ułamku, był sobą, był wolnym, niezależnym uczonym zaledwie kilka lat, niewiele więcej niż dziesięć.

Zabłysnął olśniewająco na swoim macierzystym, świetnym w dwudziestolecie uniwersytecie poznańskim, którego wpływ przez Floriana Znanieckiego — sięgnął aż na drugą półkulę. Już pierwsze uczniowskie, terminatorskie prace Jordana były ponad przeciętne.

Niższy stopień naukowy przyniosła mu świetna krytyczna analiza „teorii zdań psychologicznych” Tadeusza Kotarbińskiego. Jeszcze bardziej imponująca była teza doktorska „O matematycznych podstawach systemu Platona (Z historii racjonalizmu)”, przedstawiona i obroniona przez 25-letniego młodzieńca. Wykazała ona opanowanie nowoczesnej metody i zdradziła takie spoufalenie z greczyzną klasyczną, jakie wcześniej osiągnęli chyba tylko Wincenty Lutosławski, autor fundamentalnego dzieła o chronologii dialogów Platona, i Stefan Witwicki, tłumacz wszystkich jego dzieł na polski. Obie prace adepta filozofii były na takim poziomie metodologicznym i merytorycznym, że ukazały się w poważnych wydawnictwach naukowych. Trzecia, dysertacja habilitacyjna „O pojęciu nieskończoności”, przepadła w odmęcie wojny.

Ale ten błyskotliwy start nie wyczerpuje profilu młodziutkiego *dona*, asystenta i *heir apparent* katedry filozofii w uniwersytecie poznańskim. Jordan na samym początku objawił rys niespodziewany w „czystym filozofie”: zainteresowania społeczno-polityczne, połączenie refleksji filozoficznej z konkretnym życiem. Znalazło to wyraz we współpracy z *Buntem Młodych*, co jest odnotowane w instruktywnej książce Marcina Króla „Style politycznego myślenia. Wokół *Buntu Młodych* i *Polityki*” (Paryż, 1979). Trudno w tej chwili i na odległość określić, skąd się brał i jak głęboki był impuls tego paradoksu, ale zaważył on rozstrzygając na dalszym ciągu biografii Jordana.

Odbył jeszcze studia za granicą w Niemczech (Bonn) i we Francji (paryska Sorbona) i zaraz potem wspinająca się stromo w górę amplituda życia miała gwałtownie uderzyć o ziemię, o prozę brutalnej konkretności. Jordan nie zdążył wziąć udziału w Kampanii Wrześniowej, mógł zostać w kraju i próbować przetrwania pod okupacją. Wrodzony instynkt społeczny i imperatyw moralny, który działał w nim nieodparcie, kazały mu się przebić przez Węgry do Francji i asteniczne ciało przyoblec w mundur żołnierski. Jego służba wojskowa nie była statystowaniem i synekurą. Służył, jeśli dobrze pamiętam, jako prosty żołnierz a może podchorąży, uczestniczył w inwazji Europy w szeregach Pierwszej Dywizji Pancerniej; przysłał mi do *Polski Walczącej* wspomnienia z jej walk, „Rok temu pod Chambois”. Niestety nie mam pod ręką tych wspomnień, które w kontekście zamkniętego życia i działania nabrały pełnej wymowy.

Po klęskowym zwycięstwie Jordan został poza krajem bez żadnych na razie widoków powrotu do filozofii, do gabinetu uczonego, do katedry uniwersyteckiej, do której był predestynowany. W roku 1945 ogłosił w nierównej ale cennej serii *Polish Science and Learning* (nr 6) obszerne opracowanie o charakterze informacyjnym i historycznym, napisane właściwie z pamięci „The Development of Mathematical Logic and Logical Positivism in Poland Between Two Wars” (Oxford, 1945). Jest ono do dzisiaj, po przedruku w pracy zbiorowej „The Polish Logic” (Oxford, 1967), najlepszym, najjaśniejszym ujęciem ruchu znanego pod popularną nazwą „lwowsko-warszawskiej szkoły filozoficznej”, symbolicznie wiążącą imiona dwu miast, które w czasie wojny i po wojnie zajęły w uczuciowości polskiej pierwsze miejsce. Jordan był uczniem i wykwcitem tej szkoły, określanej też jako logika matematyczna lub logistyka, wszedł na pole samodzielnej pracy naukowej pod jej znakiem, ale już nigdy pod ten znak nie wrócił. Swoje świetne przygotowanie, „mózg ostry jak brzytwa”, według określenia Stefani Zahorskiej w czasie jakiejś dyskusji przed mikrofonem (zdaje się o egzystencjalizmie), skierował w inną stronę, ku działaniu praktycznemu.

Zetknęliśmy się na tym terenie jeszcze w mundurach i związali przyjaźnią tym głębszą, że po męsku powściągliwą w objawach, dyskretną, rzecową. W pierwszych latach emigracji londyńskiej, latach budowania jej podstawowych form organizacyj-

nich spotykaliśmy się często, co najmniej raz na tydzień, niekiedy częściej. Łączyło nas pokrewieństwo postawy. Naiwnie czy logicznie — co kto woli — uważaliśmy, że emigracja polityczna implikuje działalność polityczną. Hasło *la politique d'abord* rozumieliśmy jako nakaz moralny, jako nieuniknioną konkluzję. Nie powodowała nami żądza władzy, nie byliśmy „zawodowymi politykami”. Jordan nigdy nie dał się ogarnąć zaślepiającym roznamiętnieniom. Zachowywał zawsze dystans filozoficzny, poczucie hierarchii. Wybuchy nienawiści parował charakterystycznym uśmiechem, z lekka zawstydzonym, mieszającym sceptycyzm z ironią i pobłażliwością.

Zapewne idąc szlakiem znajomości i przyjaźni przedwojennych związał się z nową formacją polityczną, „Ruchem Wolnościowym: Niepodległość i Demokracja” (NID), i włożył w jego kształtowanie wiele wysiłku intelektualnego. Pod auspicjami tego ruchu rozwinął działalność publicystyczną na imponującym poziomie myślowym (w *Trybunie*, czasopiśmie dość nieperiodycznym, ale ukazującym się dotychczas, w broszurach „Świat w epoce atomowej” (1947), „Niepodległość i federalizm” (1955) i sporej książce napisanej po angielsku, „Oder-Neisse Line. A Study of the Western Frontier” (1952), która stanowi pierwsze poważnie udokumentowane ujęcie stanowiska polskiego wobec sprawy tak żywotnej dla naszej przyszłości). W związku z tą książką pozostają artykuły polskie ogłoszone w *Przeglądzie Zachodnim*: „Znaczenie Ziem Zachodnich dla Polski” i „Linia Odry i Nysy w polityce Zachodu”. Te prace użytkowe, służące potrzebom chwili, do dziś zadziwiają rzetelnością ujęcia, precyzją sformułowań, celowym zastosowaniem metody naukowej.

W tej samej orbicie mieści się długoletnia, systematyczna współpraca z *Kulturą*, obejmująca dwa dziesięć lat (1946/69) i ponad pół setki pozycji (zestawiają je cenne indeksy zawartości tego miesięcznika, opracowane przez Kowalika i Danilewicz Zielińską; zgromadził również ich tytuły dr Jan Ostrowski w nieogłoszonym jeszcze artykule bio-bibliograficznym, któremu zawdzięczać kilka szczegółów tego wspomnienia). Skala prac drukowanych w *Kulturze* jest bardzo rozległa i urozmaicona. Rozciąga się od pogłębionych, problematyzujących recenzji książek Chwistka, Kołakowskiego, Schaffa, Szczepańskiego i in., od wspomnień o filozofach starszego pokolenia, Łukasiewiczu, Ajdukiewiczu czy Ossowskim, poprzez rozpoznania sytuacyjne pejzażu politycznego i intelektualnego Polski pod rządami komunistów („Filozofia wyroczni i dekretu”, o literaturze pseudomarksistowskiej, „Geneza i perspektywy odwilży”) aż do ujęć zasadniczych o roli inteligencji i o rewizjonizmie, jego „cechach uniwersalnych i specyficznych” (ten ostatni temat został podjęty w pracach obcojęzycznych, angielskich i niemieckich).

Cała ta publicystyka zdradza niezwykle chłonność, zdolność porządkującą, ostry krytycyzm. Cechuje ją asceza stylu, unikanie kokieterii, ustępstw ze ścisłości na rzecz urody, ale też jest

wolna od cienia demagogii. Ten dorobek zasługiwałby na przesłanie i utrwalenie w książce.

Pozostawiony jak wszyscy intelektualiści sam sobie, musiał się Jordan zaprzęgać do zajęć zarobkowych. Za dwoma nawrotami, w sumie blisko pięć lat przebywał w Monachium i pracował w *Audience Research* Radia Wolnej Europy. Raz jeden zobaczyłem go za urzędniczym biurkiem i odniosłem podobne wrażenie jak prof. Andrzejewski, że była to praca nienawistna mu do samego dna duszy. Wykonywał ją z odpowiedzialnością i najlepszą wolą, jak spełniał zadania pierwszego redaktora biuletynu Tymczasowej Rady Jedności Narodowej *Polish Affairs*. Nadał mu oryginalną formę i wyciągnął na wysoki poziom, nieczęsty wśród wydawnictw tego rodzaju.

Nie uchylał się od żadnego obowiązku płynącego z przyjętej postawy. Pamiętam go przemawiającego na zebraniach Rady Politycznej i wspomnianej już Rady Jedności. Mówił z tekstem w ręku lub *ex promptu*. To co mówił nieraz niosło górą, ponad głowami słuchaczy, choć mówił jasno i precyzyjnie — z nerwowym dygotem obu rąk, który mu pozostał do końca.

Dostrzeżono wreszcie jego wartości i możliwości. Przypuszczam, że z inicjatywy znakomitego uczonego ojca M. I. Bocheńskiego otrzymał *fellowship* w Instytucie Studiów nad Europą Wschodnią w uniwersytecie fryburskim (1958/1961). Później (1962/1964) spędził dwa lata w Instytucie Rosyjskim Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Owocem tego były prace naukowe, o których będzie mowa, *readership* w uniwersytecie angielskim w Reading, pełna profesura w uniwersytecie Carleton w Ottawie. Nikt nie mógł przewidzieć, że stało się to zbyt późno i potrwa zbyt krótko. Zamknie się przedwcześnie i tragicznie śmiercią na raka przysadki mózgowej.

Również ten okres pełnego urzeczywistnienia w przyrodzonym wymiarze nosił znamię aktualności i praktyczności. Narzuciła to atmosfera czasu, warunki zewnętrzne i głębokie zaangażowanie osobiste. Ten logistyk z rodowodu i urobienia stał się krytykiem filozofii marksowskiej. Można w tym upatrywać ironię losu ciążącą nad losami i myślami także ludzi nauki, można widzieć również logiczną konsekwencję. Tak czy owak prace Jordana z końcowego, dojrzałego okresu skupiają się przede wszystkim na naukowej krytyce marksizmu. „Najogólniejsze, sporne przekonania o świecie, społeczeństwie, życiu, historii, jakie stanowią dziedzinę o najbardziej wątpliwej wartości poznawczej — pisze gdzieś Jordan — marksizm-leninizm podaje jako wiedzę najpewniejszą i jako punkt wyjścia i kanon oceny wszelkiej filozofii i każdej nauki”.

Świetnym z urodzenia i świetnie wyćwiczonym umysłem Jordan opanował materiał badania; gryzł bazaltową prozę Marksa z równą łatwością jak rozprzęgał na nice miękisz pism jego interpretatorów, wulgaryzatorów i propagandystów. Zachował przy tym niezmałony spokój, wzorowy obiektywizm, wolę do tarcia do prawdy.

Pierwszym osiągnięciem tego etapu jest wielka, 600 stron licząca książka: „Philosophy and Ideology. The Development of Philosophy and Marxism and Leninism in Poland since the Second World War” (Filozofia i ideologia. Rozwój filozofii i marksizmu-leninizmu w Polsce od drugiej wojny światowej. Dordrecht, 1963). Wszystkie w tej książce budzi podziw: niezwykła zdolność przyswojenia olbrzymiego materiału, umiejętność jego uporządkowania, ostrość oceny i niezachwiana bezstronność. To wszystko sprawia, że podstawowy temat książki, opór rodzimej i europejskiej w swojej substancji filozofii przeciw ideologii przywódczej, wspieranej przemocą obcego ustroju, ukazuje się w proporcjach wielkiego dramatu. Naturalny wydzwięk „Filozofii i ideologii” jest optymistyczny: w niewidzialnym starciu, które otworzyło się nazajutrz po zaborze Polski i trwało kilkanaście lat, trwa właściwie do dzisiaj, zwycięstwo było nie po stronie siły, ale po stronie prawdy, po stronie bezinteresownej wiedzy, bezinteresownego poznania, a nie prostytuowania ludzi, pojęć i wartości *ad usum delphini*. Warto przypomnieć, bo poszło to w niepamięć, że „Philosophy and Ideology” w roku jej wydania uzyskała na mój wniosek nagrodę Stowarzyszenia Polskich Kombatantów za „dzieło reprezentujące kulturę polską wśród obcych”. Nieczęsto się zdarza, że fundator nagrody, nagroda i wartość nagrodzona tak ściśle przystają do siebie.

Do tego samego kręgu intelektualnego co ta pierwsza praca należą dwie dalsze książki Jordana, nie licząc wielojęzycznych studiów drobniejszych, rozsianych po czasopiśmie. Są to: blisko pół tysiąca stron licząca, niesłychanie gruntowna, wyczerpująca monografia „The Evolution of Dialectical Materialism. A Philosophical and Sociological Analysis” (1969) i tzw. *Marx Reader*, to znaczy komentowany wybór podstawowych tekstów twórcy doktryny marksowskiej („Karl Marx: Economy, Class and Social Evolution”, 1971). Poprzedza tę chrestomatię obszerny wstęp, który jest bodaj jednym z najlepszych, najwnikliwszych, najbardziej bezstronnych ujęć, właściwie zarysem nie wyznawczej ale poznawczej monografii autora „Kapitału”. Ta książka ukazała się w roku 1972 jako *paperback* w firmie Thomas Nelson, co jest z reguły wyznacznikiem popularności i praktycznej użyteczności.

Jordan nie pozostał jednak w tym zamkniętym kole. Naturalna dynamika jego umysłu, bodźce idące od pracy dydaktycznej sprawiły, że jednocześnie i przede wszystkim w ostatnich, związanych z Carleton University latach rozszerzył swoje badania na nowy, rozległy obszar: na filozofię socjologii. Badał humanistyczne i naturalistyczne orientacje występujące w zjawiskach społecznych i oddziaływanie tych orientacji na teorie socjologiczne, na ich zdolność wyjaśniania i przewidywania przemian społecznych. Osiem końcowych lat wypełniły jego głośne seminaria dla specjalistów, wykłady, wstępne, częściowe opracowania. Obszerne materiały z tego zakresu, notaty i szkice pisane dużym, trochę dziecięcym pismem pozostały w dobrych

rekach. Wolno mieć nadzieję i należy pragnąć, by wyszły wkrótce na światło dzienne. Zapewne ukaże się bliska końca książka „Sociology of Georg Simmel”, pisana przed śmiercią do spółki z prof. Gertrudą Neuwirth, koleżanką z wydziału socjologii i antropologii Carleton University.

Wszędzie gdzie się Jordan zjawiał, na terenach, na których byłem współobecny, i na terenach, na których przyglądałem mu się z daleka, pociągał ku sobie głęboką, niemal religijną powagą myślenia, nieprzekupnością przekonań, wyczulonym i czujnym etosem uczonego. Pisał w trzech językach: polskim, angielskim i niemieckim, mówił nimi swobodnie. Nie był ciasnym specjalistą. Miał rozległą kulturę estetyczną, zwłaszcza literacką. Kiedyś przypadkiem odkryłem u niego gruntowną znajomość André Gide'a. Wcześniej uderzyła mnie ona u innego Wielkopolanina, co odnotowałem w eseju „Ziemskie pokarmy Aleksandra Janty”. Nasuwa się pytanie, czy prawem paradoksu, właśnie konserwatywny Poznań i dynamiczny uniwersytet poznański z doby drugiej niepodległości nie były szczególnym terenem odbioru tego kiedyś tak wpływowego pisarza.

Warto zobaczyć Jordana oczami innych. Podaję tu prawie pełny przekład noty pośmiertnej ogłoszonej przez profesora socjologii Johna Portera w lokalnym, niedostępnym dla profanów piśmie *This Week at Carleton* (z 13. X. 1977, vol. XVI, nr 20):

„Chociaż Zbigniew Jordan był człowiekiem niezwykle powściągliwym, przez swoje pisma i seminaria wywarł ogromny wpływ na studentów i kolegów. Jako nauczyciel stawiający uczniom wielkie wymagania miał jedyną w swoim rodzaju zdolność dopingowania ich do najwyższego wysiłku. Poziom jakiego oczekiwał budził grozę wśród studentów starszych roczników; ale chyba o nikim (albo o bardzo niewielu) nie można powiedzieć, że nie odniósł dużego pożytku ze studiów pod jego kierunkiem. Jego uwagi na marginesie prac pisemnych były w tym samym stopniu pedantycznie staranne co wyczerpujące. Przysłużył się bardzo nowemu programowi doktorskiemu z zakresu socjologii w Carleton University. Przebywał w Kanadzie tylko osiem lat, ale istnieje grupa młodych, zdobywających sobie obecnie imię socjologów, którzy wiele mu zawdzięczają.

Koleczy z jego departamentu zaciągnęli wobec niego nie mniejszy dług przez to, że był wzorem tego, co najlepsze w nauce. Stawiał im równie wysokie wymagania jak studentom. Niecierpliwiła go opieszałość w spełnianiu obowiązków akademickich i niekiedy posuwał się do szorstkich uwag o tych, którzy, jego zdaniem, byłiby bardziej na miejscu gdzie indziej.

Dwukrotnie dzieliłem z nim seminarium doktorskie i zarówno ja jak studenci wiele się od niego nauczyliśmy. Tematem który wybraliśmy była równość... Jordanowi zależało na precyzyjnym wyjaśnieniu terminu i pojęcia równości w filozofii zachodniej... Dla wszystkich było to doświadczenie w najwyższym stopniu pobudzające, a prace niektórych uczestników tego seminarium ukazały się drukiem.

Jordan zaznaczył się najbardziej w filozofii nauk społecznych i ktokolwiek się z nim zetknął, wyniósł z tej współpracy jaśniejsze rozpoznanie zarówno granic jak i możliwości naszej dyscypliny”.

I na koniec, dla równowagi ze wspomnieniem cudzoziemca, który niewątpliwie był współinicjatorem utworzonego w Carle-

ton stałego stypendium im. Zbigniewa Jordana — wspomnienie osobiste. Przed laty, niedługo przed śmiercią Jana Łukasiewicza, zaprosiłem go imieniem Związku Pisarzy Polskich do „Domu na Finczlejowie”, który już nie istnieje i z wolna przechodzi do legendy. Łukasiewicz, widoma głowa logistyki polskiej, twórca logiki wielowartościowej, nie chciał czy nie mógł wrócić do Polski pod zaborem i żył na łaskawym chlebie w Dublinie. Był ujęty zaproszeniem i gością, wokół której krzątał się nieodżałowany sekretarz Związku i gospodarz Domu, znakomity poeta Tadeusz Sułkowski. Znając kult Jordana dla gościa, poprosiłem go, żeby przyszedł na to spotkanie. Zapamiętałem z niego dwa szczegóły: jeden luźno należący do rzeczy, ale może wart zanotowania przy nadarzonej sposobności, drugi rzeczywiście istotny i ściśle wiążący się z tematem tego wspomnienia.

W pewnej chwili, gdyśmy przysiedli na mocno wysłużonej kanapce, Łukasiewicz zapytał skąd pochodzę, a dowiedziawszy się, że ze Lwowa, powiedział mi, że nazwisko które noszę widnieje na akcie Unii Brzeskiej i coś jeszcze ważniejszego: „A ja, proszę Pana, jestem grekokatolik, Polak grekokatolik”. Na zakończenie wygłosił czarujące w swojej bezpośredniości i skromności słowo do wszystkich. Zakończył je formułą streszczającą jego życie i pracę, dokonanie uczonego, badacza, nauczyciela. Składała się ona z dwu członów, kładła między nimi znak równości, znak wynikania czy znak tożsamości: „dobrze myśleć — dobrze postępować”*.

Pamiętam, że w tej chwili mój wzrok spotkał jasnoniebieskie oczy Jordana, w których było czasem coś niewinnie dziecięcego, czasem coś stalowo chłodnego. Ani wtedy, ani nigdy później nie podjęliśmy tych słów. Pozostały między nami jako szczególne, milczące porozumienie. Dopiero dzisiaj kładę je na dalekim grobie.

Tymon TERLECKI

* Zapamiętałem bez wątpliwości dwudzielną strukturę tego powiedzenia, ale po latach nie jestem pewny pojedynczych wyrazów. Zamiast „dobrze” mogło być: „poprawnie”, na miejscu „postępować” mogło stać: „czynić” lub „działać”.

Wołanie na puszczy

Pan chce naprawić błędy systemu ?!

Warszawa, 25 września 1980.

Wypadki w Polsce tak pędzą, iż nie sposób ich dogonić — zwłaszcza w miesięczniku. W ostatnim moim felietonie dla *Kultury* zastanawiałem się, czy polski Mao Tse-tung utrzyma się po własnoręcznej likwidacji zaprzyjaźnionej i rodzinnej Bandy Czwojga i kiedy miejsce jego zajmie Olszowski. Tymczasem już w dziesięć dni później Gierka wywiało w nicość a przyszedł Kania: „lepszy Kania niż Wania” — powiedzieli ludzie, bo „straszenie Ruskimi” weszło ostatnio w modę. Zwłaszcza celowała w tym odchodząca ekipa, w myśl zasady „po nas — potop”. Niestety, oddziałała ona swoim katastrofizmem i na Kardynała Prymasa, który popróbowował jej bronić, odchodząc w ten sposób od swej zasady nie mieszania się w wewnętrzzpartyjne spory frakcji. Był to błąd polityczny i psychologiczny, na szczęście Prymas, wytrawny polityk, szybko się zreflektował i rzecz naprawił. Wywalczona zaś przez gdańskich robotników msza w radio już się odbyła po raz pierwszy w ostatnią niedzielę, 21 września, niestety w programie II, aby nie słuchano jej na Litwie i Białorusi, aby nie drażnić Wielkiego Brata...

Gierek okazał się w epoce Wałęsy nie do utrzymania, stworzył wszakże znielowidzoną Nową Klasę, której symbolem stał się Maciej Szczepański, legendarny już utracjusz i hochsztapler. Podobno Moczar, prezes NIK-u czyli kontroli, ma w safesie protokoły różnych nadużyć, zdolne wysadzić w powietrze cały Komitet Centralny. Tak więc NIK, niegdyś miejsce politycznego wygnania, może dziś stać się odskocznią do władzy... Zresztą dawni moczarowcy prą do niej, chcąc zapełnić próżnię po gierkowcach, którzy zdystansowali ich w 1970 roku. Tak toczy się partyjny świat...

Toczy się, ale tym razem bez społecznego zainteresowania:

to skupione jest tylko i wyłącznie na tworzeniu się niezależnych związków zawodowych, upostaciowanych w Komisji Porozumiewawczej „Solidarność”. Polska wrze jak kocioł, w którym wreszcie zagotowała się woda. Ludzie chcą powetować sobie dziesięciolecie drętwy, milczenia, fałszu, wyrastają nowi działacze, entuzjaści, autentyczni rzecznicy opinii. Cuda — istne cuda! I nie skutkują dwuznaczne nawoływania Rakowskiego, żeby „przestać wiecować” i wziąć się do pracy. Przecież dyskusja dopiero się zaczęła, zaś pracować można, gdy się wie na pewno, że praca to celowa: kwestionowana użyteczność huty „Katowice” i 400-kilometrowej linii hutniczo-siarkowej, tajemnicze fiasko zagłębia węglowego pod Lublinem, zatrucie rzek i Bałtyku, zniszczenie żyznych Żuław przez absurdalnie lokalizowane fabryki chemiczne, brak wagonów i prądu, bankructwo budowlanego monopolu licencji wielkopłytowej, ogromne fermy hodowlane gdzie było pada masami, bo zapomniano zaprojektować ścieki, walenie się starych miast, absurd z rybołówstwem morskim, nie mogącym dostarczyć na rynek masowo złowionej ryby, bo brak transportu i chłodni, zniechęcenie indywidualnego chłopca — wszystko to nie nastraja do zbożnej pracy pod kierunkiem tych samych, zbankrutowanych inwestorów, planistów, kierowników i przepisodawców. Czyż rzeczywiście naprawiać zegarek mają znów ci sami ludzie co go zepsuli?! — pytano podczas *exposé* nowego Premiera, Premier bowiem, wzorem Babiucha, ominął wszelkie problemy polityczne, ograniczając się do monotonnego wyliczania trudności, które wszyscy znają. „Nie potrzeba nam błyskotliwych przemówień” — napisał w *Polityce* Rakowski. Ciekawe jest to „nam” — a może ludowi potrzeba?! Jak nie ma chleba to przynajmniej igrzysk...

Ale środki masowego przekazu owych igrzysk skąpią, zaś władze robią co mogą, aby ludzie nie dostrzegali co się dzieje wokół i zapomnieli o tym, co było przed miesiącem, bez względu na całą absurdalność takiego postępowania — i jego namacalnie zademonstrowaną nieskuteczność. W kraju wrze jak w owym kotle, młodzież akademicka szykuje się do skoku, a w prasie i telewizji drętwa i pustka, wręcz jak za czasów Łukaszewicza. „Odwilż” publiczna trwała niewiele dni: w sejmie robili ją posłowie, „opozycjoniści ostatniej godziny”, prof. Szczepański (dojrzał po pięciu kadencjach cenzurę, stosowaną do obrad sejmowych...), Zabłocki, Małcużyński, Holoubek, Reiff... A w prasie starzy znajomi: Roliński i Horodyński, Passent i Gieżyński, brak jeszcze tylko Górnickiego. Okazuje się, że oni wszystko doskonale wiedzieli, ale tę wiedzę ukrywali skrzętnie dla siebie. Dlaczego?! A dlaczego KOR mógł walczyć i w końcu — wygrać?! Tajemnica.

Jednakże nawet ta krótka odwilż, robiona przez tych samych dyspozycyjnych ludzi, szybko się skończyła — teraz znów w telewizji króluje dygnitarski „front jedności narodu” i długie przemówienia bez treści. Czy to na pokaz dla Rosjan? Aleć to chyba obraźliwe uważać ich za tak naiwnych. A już na pewno dla

nich zaczęto szukać kosztów ofiarnych, czyli „wrogów socjalizmu”. Na pierwszy ogień poszedł aresztowany wczoraj maksymalista Leszek Moczulski — po co mówi to co myśli?! (W tajemnicy Wam powiem, że ja z moją książeczką o socjalizmie i o walce o świat też bym się tu nadał — ale cyt!). Po czym w absurdalny sposób chciano skoczyć na Kuronia, ale ujął się Wałęsa...

Dlaczego Władza nasza, Władzuchna nieszczęsna, zwalcza KOR, który okazał się tak proroczy i tyle razy wskazywał jej właściwą drogę, potem, poniewczasie, przyjętą — to jej słodka tajemnica. A dlaczego nie zaproszono Wałęsy od razu do Warszawy i nie posłużono się jego popularnością, oddając mu np. CRZZ? A dlaczego dziewięć dni przedłużano strajk, odmawiając rozmów z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym, któremu potem generalnie ustąpiono? A dlaczego popiera się teraz skompromitowane stare związki, a w dziecienny sposób wkłada się kij w szprychy arcypopularnych nowych związków, które się uznało? A dlaczego cenzura dla pism katolickich jak *Tygodnik Powszechny* lub *Więź* jest coraz bardziej drakońska, choć pisma te słyną z umiaru i rozsądku, a polityka Kościoła daleka jest dziś od wszelkiej opozycji?! Oto pytania bez odpowiedzi, oto słodka tajemnica psychiki komunistów. Mówi się, że jak Pan Bóg chce kogoś zniszczyć, odbiera mu przedtem rozum. Ale módlmy się, aby przynajmniej było co odbierać! Bo za następnym wybuchem to już naprawdę może być tragedia... Ja nie doradzam, nie moja rola, zresztą w Kraju niczego legalnie napisać nie mogę — cenzura wcale nie zreformowana niszczy w najlepsze. Ja tylko przestrzegam...

Tymczasem dyskusja, choć publicznie tłumiona różnymi sposobami, wszędzie się toczy. Jak naprawić system? „Pan chce naprawić błędy systemu?! Był tu już taki dziesięć lat temu!”

Istotnie, w Polsce Ludowej co 10-15 lat następuje wstrząs, po czym nowy szef starej partii obiecuje naprawę. Najbardziej wiarygodnie zaczął Gomułka. Przyniósł w posagu nie tyle co, bo wycofanie Rokossowskiego i sowieckich rzeczoznawców, likwidację rządów Bezpieki, zgodę na rozwiązanie kołchozów, zwolnienie prymasa Wyszyńskiego, wreszcie odwilż w prasie i kulturze, z tej zresztą wycofał się najwcześniej.

Po Gomułce przyszedł Gierek. Ten nie zrobił prawie żadnej „odwilży”, za to obiecał rozwój i dobrobyt, powołując się na swą ślaską opinię dobrego gospodarza. Zaczął, owszem, efektywnie, mocno ruszył inwestycje, wprowadził swoisty „NEP” dewizowo-usługowy, wezwał nawet do bogacenia się. Ale w rezultacie wzbogaciła się głównie „nowa klasa”, jej zaś dyletantyzm ekonomiczny połączony z bezkrytyczną pychą, jej lekkomyślnie zaciągane (i dawane) kredyty zagraniczne doprowadziły kraj do granic ruiny. KOR ostrzegał, „DiP” ostrzegał, PPN ostrzegał, ekonomiści wyli chórem. I nic nie pomogło...

W tej sytuacji przyszedł Kania. Ten nie obiecuje ani odwilży ani bogactwa — głównie zajmuje się zlepianiem rozsypanej Par-

tii. I przebąkuje o reformie gospodarczo-organizacyjnej, o reformie systemu w ramach socjalizmu. Pan chce naprawić błędy systemu? Dobrze, ale jak?! Bo na razie tylko czekamy.

W hamburskim piśmie *Die Zeit* przeczytałem artykuł o polskiej gospodarce. Autor dopatruje się w naszych trudnościach normalnych problemów kraju, przechodzącego szybko od agrarizmu do industrializmu, szeroko też rozwodzi się nad rzekomą taniością żywności w Polsce, wynikłą jego zdaniem z olbrzymich dopłat państwowych. Jest to typowy ekonomizm zachodni, łączący się z zupełnym niezrozumieniem specyfiki ustroju socjalistycznego. Specyfika ta najogólniej zawiera się w trzech punktach: 1) Kryteria ekonomiczne nie są tu najważniejsze, pierwszeństwo mają względy polityczno-doktrynalne, w ich to imię również zniszczono indywidualne rzemiosło, handel, usługi, które dziś z biurokratyczną niezręcznością próbuje się odbudować. 2) O sprawach ekonomicznych decydują u nas politycy, zebrani w tajnym ciele, zwanym Biurem Politycznym, ludzie przypadkowi i kierujący się zazwyczaj kryteriami jak najdalszymi od ekonomizmu, selekcja ich dokonywa się przez nieznane ogółowi walki personalne. 3) Przy panującym systemie dezinformacji sygnały oddolne czy alarmy dochodzą do tej grupy bardzo późno, gdy już wielkie a katastrofalne w skutkach decyzje inwestycyjne lub strukturalne są nie do cofnięcia (wymuszona podobno przez Grudnia huta „Katowice”, inne decyzje wojewódzkich kacyków).

Polska uprzemysłowiona jest jednostronnie i nieproporcjonalnie, częstokroć tworzone klasy robotniczą na wyrost, aby usprawiedliwić odgórną rewolucję. Jak wiadomo, w roku 1947 Bierut i Cyrankiewicz zdecydowali o przystąpieniu Polski do planu Marshalla — rozwój kraju przebiegałby wówczas harmonijnie, związany z międzynarodową współpracą, bez naruszania równowagi między przemysłem a rolnictwem. Niestety pod naciskiem Wielkiego Brata Polska po tygodniu swój akces wycofała i wtedy zaczęto uprzemysławianie pospieszne, „leninowskie”. I oto powstała olbrzymia, nowa klasa robotnicza, ona to po latach buntuje się przeciw systemowi, który ją stworzył — robotnicy stali się ofiarą „ustroju robotniczego”.

Polska dzisiejsza to jedno wielkie przedsięwzięcie, zarządzane odgórnie, gdzie wypadnięcie jednej śrubki (np. transport) spowodować może zastopowanie całego organizmu, a nie ma takiego elektronicznego mózgu, który mógłby rzecz przewidzieć, ani takich mechanizmów, które by sprawę samoczynnie regulowały. Centralizacja jest absurdalna: port Szczecin-Swinoujście to jeden z NAJWIĘKSZYCH zespołów portowych świata, podczas gdy np. port w Hamburgu należy do kilkudziesięciu osobnych przedsiębiorców managerów. Polskie absurdałne rybołówstwo morskie wydzierżawione kilkunastu przedsiębiorstwom niezależnym od centrali przestałoby być deficytowe i... na rynku pojawiłaby się ryba (polski dowcip mówi, że ryb mamy mniej

niż przed wojną, bo wobec ogromnie zwiększonej linii polskiego wybrzeża mają one dokąd uciekać).

Tego rodzaju centralizacja produkcji nie odpowiada nowoczesnej technice wytwórczej, a znów powstanie wolnych i świadomych rzeczy związków zawodowych nie da się pogodzić z tajną, kilkuosobową władzą polityczną, mającą wyłączną gestię nad gospodarką całego kraju. Potrzebne są reformy, ale jakie?

Mówi się wciąż o decentralizacji, ale według doniesień prasy przewidywana jest reforma, oddająca przemysł terenowy we władanie wojewodów i sekretarzy wojewódzkich. Nie kijem go to pałką! Toć właśnie chodzi o usamodzielnienie przedsiębiorstw, o to, by rządziły się one za pomocą mechanizmów i bodźców społeczno-gospodarczych, nie za pomocą odgórnych przepisów, czy to płynących z centrali czy z województw. Chodzi o to, aby zbliżyć się do engelsowskiego określenia, że społeczeństwo przyszłości to będzie „związek wolnych producentów” — może choćby według robotniczego wzoru jugosłowiańskiego? (Jak powiedział ktoś: w socjalizmie mądrze i dzielnie rozwiązujemy problemy, których nie ma w innym ustroju). Ale do tego potrzeba nieuchronnych reform politycznych. Czy zgodzi się na nie Rosja?

I otośmy w sednie sprawy! Nie chodzi o prymitywne i demagogiczne straszenie sowieckimi czołgami, jakie produkowano u nas (i na Zachodzie) seryjnie, z dnia na dzień, na użytek chwili. Chodzi o to, że Rosjanie musieli zauważyć dokonaną u nas dzięki robotnikom z Wybrzeża EROZJĘ STRACHU. Kraje Demokracji Ludowej trzymają się w istocie na strachu, zasianym jeszcze przez Stalina. Ale u nas po dwu tygodniach odważnego strajku okazało się nagle, że ci, co dotąd straszili, sami zestrachali się okropnie i kompromitująco załamali. Wobec tego strach pękł: tygrys okazał się papierowy. Czesi czy NRD-owcy nadal się boją, Polacy już nie. I tu przed Rosjanami otwiera się problem: czym zastąpić strach, będący dotąd najskuteczniejszym spoiwem ustroju tudzież związku geopolitycznego?

Na pewno nasi zarządcy Partii i jej aparatu są ludźmi dostatecznie w tej dziedzinie wytrawnymi i pesymistycznymi, toteż po nocach gnębi ich pytanie, czy jednak Rosjanie nie są tak absolutnie przywiązani do dawnych, sklerotycznych metod, że wkrótce zdecydują się na użycie siły? Stąd też zapewne płyną różne przedziwne łamańce naszej propagandy, cenzury, taktyki. Ale Rosjanie też wiedzą, że „odbudowanie strachu” z pomocą czołgów może grozić ogromnymi komplikacjami w polityce światowej, zwłaszcza, że Polacy będą się bronić, a polskie wojsko jest już polskim nie tylko z nazwy. Więc?

Więc moje stare pytanie: czy Rosjanie mogą okazać się dostatecznie elastyczni, aby pozwolić Polakom na ich własne reformy? I że to wcale nie pociąga za sobą wystąpienia z Paktu Warszawskiego, o czym majaczył biedny bo osamotniony Leszek Moczulski. W ZSSR można jeszcze długo nie robić politycznych reform, bo tam rządzi strach i przyzwyczajenie, pogłębione wieloletnią izolacją. Ale u nas strach i przyzwyczajenie już

w „epoce Wałęsy” nie rządzą. Zaś naród raz przebudzony już na nowo nie zaśnie. Czyż nie warto więc dołożyć obopólnej elastyczności, aby uniknąć tragedii? Oto także problem dla Kani — Gomułka w 1956 roku umiał przecież go rozwiązać! Geopolityka swoją drogą a reformy swoją.

Nasuwa się oczywiście problem socjalizmu. W tej dziedzinie jestem raczej szkodnikiem a nie taktykiem. Kiedyś w Sejmie proponowałem, aby założyć „Klub zwolenników likwidacji socjalizmu bez zmiany nazwy”. Teraz rzecz modyfikuję, proponując „Klub zwolenników likwidacji socjalizmu bez zmiany nazwy a z aprobatą Związku Radzieckiego”. Ale to są oczywiście nieostrożne (głupie?!) żarty i nie ja jestem ekspertem od socjalizmu. Warto jednak przypomnieć, że za socjalistyczne kraje uważają się i Szwecja i Albania, i Libia i NRD. Skoro więc życie polskie odrodzone zostało przez nową klasę robotniczą, skoro kapitalizm bez kapitału zbudować się nie da, skoro żaden przytomny przywaciarz nie przyjąłby na własność huty „Katowice” czy rafinerii na Stogach, skoro jednak zbliżenie się nasze do krajów wolnorynkowych jest niekwestionowaną przez nikogo koniecznością — pozostaje droga reform.

Jakich? Na to muszą się zgodzić i Polacy i Rosjanie. I wykazać tu trzeba wielką elastyczność, nie drażniąc ani jednych ani drugich. Tę elastyczność zademonstrować dziś musi główny nasz (i jak dotąd niestety jedyny) pośrednik — Stanisław Kania. Aby sprawdziło się owo przysłowie: lepszy Kania niżli Wania!

KISIEL

JESZCZE SĄ DO NABYCIA KSIĄŻKI

TOMASZA STALIŃSKIEGO - STEFANA
KISIELEWSKIEGO:

LUDZIE W AKWARIUM, str. 148, cena F. 25,00;

ŚLEDZTWO, str. 224, cena F. 25,00.

Książki

Swojskie pryncypia i artysta

Wielka powieść historyczna Iwaszkiewicza* nie znalazła zbyt wiele łaski u krytyków. Poza kilku entuzjastycznymi głosami, na ogół przyjęto ją niechętnie, jeżeli nie wręcz wrogo. Zarzucano jej brak problemów i nieaktualność. Właśnie jesteśmy zajęci badaniem „szarego człowieka” i „odkrywaniem polskiej rzeczywistości”, a tu przychodzi ktoś ze średniowieczem, pokazuje obrazy Europy XIII wieku i każe przejmować się losami korony Bolesława Śmiałego: to nie jest gra *fair*, to nie jest stanowisko pisarza, idącego za duchem rynku i czasu. Gdybyż choć średniowiecze zostało potraktowane z punktu widzenia społecznego i politycznego: a więc niechby analiza form ustrojowych, albo chociażby „budzenie się świadomości klasowej u myśliwych górnego dorzecza Wisły”... Jeżeli już nie to, to przynajmniej niechby „głębia” metafizyczna, przywoływanie „wiecznie żywych wartości filozofii scholastycznej”. Nic z tego nie ma u Iwaszkiewicza. Wyciągnięto stąd wniosek, że sam pomysł takiej powieści jest chybiony, że książka taka jest — niepotrzebna. Subiektywne traktowanie historii, jako pretekstu do lirycznych wizji — można było czytać między wierszami krytyk — jest zabawą wykwintniśców; my przecie jesteśmy poważni i nie mamy czasu. Nie, gadali, a raczej szeptali ci, którzy wystawiali sobie raz jeszcze *testimonium paupertatis* intelektualnej, to nie dla nas.

Niedawno zdarzyło mi się czytać zabawny wierszyk, wygrzebany z archiwów emigracji paryskiej. Są to życzenia imieninowe; poeta (mniejsza o nazwisko) zwraca się do swego przyjaciela malarza, i w kulawych rymach ostrzega go przed zdradą patriotycznej idei: artysta ma pamiętać, że naród jest w niewoli i że Polakowi nie przystoi zajmować się sztuką z pominięciem służby ojczyźnie. Jeżeli maluje — niech to będą portrety ludzi

* *Czerwone Tarcze*, Gebethner i Wolff, 1935.

zasłużonych albo sceny dawnej świetności, zachęcające do wytrwania, ale — broń Boże! — nie „obrazki” z obcej, francuskiej natury lub też portrety cudzoziemców. Data wskazuje, że było to napisane w okresie, kiedy niejaki Corot bawił się pacykowaniem pejzażyków i — rzecz śmieszna! — trudził się nad rozwiązaniem problemu (!) czerwonej plamki na perłowo-szarym tle...

Myślę, że dzisiejsze wymagania „aktualności” i „związku z rzeczywistością” są w Polsce bardziej jeszcze wynikiem tradycji, niż wpływów rosyjskiej literatury: od takich wierszyków dziewiętnastego wieku do naszych „służb społecznych” idzie droga prosta, gościniec, bity trakt. Odrobinę może zmienić się postulat i maniery, ale sens pozostał ten sam. I niech spróbuje artysta powiedzieć, że w gruncie rzeczy nic go pryncypia ideologów nie obchodzi! Zaraz odezwie się trzaskanie w szable i nieprzychylny pomruk: „zdrada, panowie bracia, zdrada!”. Tak już jest i trzeba się z tym jakoś pogodzić. Powstaje pytanie, czy zracjonalizowanie wizji artystycznej, narzucenie pisarzom pytań, które rzekomo czekają od literatury odpowiedzi — nie jest zubożeniem, wielkim zubożeniem kulturalnym? Prawdziwa wizja jest logicznie trudna do ujęcia, krucha i z pozoru mało znacząca. Ludzie prości widzą tylko jej najgrubsze linie. Nie lubią języka szerokich przenośni, czują się obrażeni, kiedy pisarz nie zwraca się wprost do nich, nie usiłuje wkładać łopatą do głowy. Wtedy targają go za poję: „Powiedz nam, wierzysz ty w Brzozowskiego? W reformę szkolnictwa? W regulację urodzin? W przyrost Polaków?”. A cóż, „Czerwone Tarcze” Iwaszkiewicza, to tylko czterysta stron czystej wizji. Nie wiem, jak komu, mnie oświadczyć to wystarczy. Pomiędzy płaczącą nudą swojskich reportaży nareszcie jest chwila oddechu, tak, wytchnienia, coś czystego, jakby ktoś na wiecu zagrał Szopena. Przestrzeń, tocenie się dziejów, sprawy świata. Ale bądźmy spokojni, oni na pewno nie pojmą nic: poddają się złudzeniom, że ich sadzawka jest centrum wszystkich batalii, że wszystkie nici globu zbiegają się w kilku najbliższych powiatach. A cóż książkę Henryk Sandomierski może im powiedzieć? Że wraca się skądś, z Europy, a oni wychodzą na spotkanie: niby nie gorsi, niby dzielni ludzie, ale jakże malutcy! Nie ma w nich ani dzikości ruskich stepów, ani upartej namiętności zachodnich templariuszy. Jest w nich mgła, straszna polska mgła. I nic innego nie oznacza temat powieści, jeno wielkość, po którą nikt z tych ludzi sięgnąć nie ma odwagi; głód wielkości, niezrozumiały dla otoczenia, goni księcia Henryka po całym ówczesnym świecie. Po co? Po to, aby po powrocie jakiś zarozumiały Bolko klepnął go po kolanie i powiedział: „U nas, we Wrocławiu, to wszystko dawno już wiedzą”. Romantyzm? Nie, coś więcej: *rehabilitacja prawd trudnych*, protest przeciwko doktrynerskiemu schematyzowaniu życia. Łowców problemów można pocieszyć: „Czerwone Tarcze” mają całą hierarchię zagadnień, a najbardziej apetycznym (ale i ciężkostrawnym dla rozbyczonych optymistów) kąskiem jest problem proporcji między Polską i Europą. Proporcje... tu do-

chodzimy do sedna. Postawiono zarzut, że powieść nie odtwarza epoki, że postacie są zupełnie dzisiejsze, tylko przeniesione o siedem wieków wstecz. Odważę się zapytać: co to znaczy „odtworzyć epokę”? Czy nie znaczy to: iść za własną koncepcją epoki? Czy znajdzie się ktoś, kto by śmiało przyznał, że „Salambo” Flauberta, albo „Faraon” Prusa odtwarzają, są odbitką jakiejś obiektywnej prawdy? Nie, nie warto brnąć w takie dżungle, łatwo moglibyśmy odkryć, że faraonowie egipscy z zapalem studiowali Augusta Comte’a. Pisarz pojmuje epokę na swój sposób — i to wszystko. Nie inaczej do historii podchodzi Iwaszkiewicz. Jak ją pojmuje? Dla niego historia jest wiecznym *powtarzaniem się proporcji*. Mimo zmiany intelektualnych treści, stosunki między działaniami ludzkimi zostają te same; jednaka też istota popędów. Czy chodzi o koronę, jak w XIII-y wieku, czy o władzę albo sławę, jak w XX-y — życiowe powikłania mają tę samą naturę, a sens przeżyć, które zyskały formę dopiero w ciągu następnych stuleci — tkwi już w człowieku.

Może to za proste? Za oczywiste? Znajdą się jednak tacy, co będą woleli tę oczywistość od karkołomnego poszukiwania heglowych antytez. Pewno, że można nie zgodzić się z takim ujęciem, jak Iwaszkiewicza. Że w Polsce, gdzie wciąż wałkuje się o „przebudowę psychiki”, instynktownie krytycy odsuwają się od zatwardniałego anty-ewolucjonisty, nic w tym dziwnego. Ale trzeba umieć szanować inną postawę, niżli własna, zupełną jest nieuczciwością, jeżeli nazywa się ją — brakiem postawy. W imię paru podejrzanych frazesów przechodzi się obojętnie obok książki, do której poziomu nieprędko proza polska dorosnie.

Ile razy wezmę do ręki „Czerwone Tarcze”, nie mogę oprzeć się myśli o Piłsudskim. I trochę mi wstyd, że czytelnicy polscy nie umieją widzieć symbolu, że tajemne nici, wiążące Polskę XIII-go i XX-go wieku, uchodzą ich uwadze. Wielka i straszna była samotność Piłsudskiego. — Wielka i straszna była samotność książąt i królów polskich, tych z „Króla-Ducha” Słowackiego. I w „Czerwonych Tarczach” powraca najbardziej polski problem, ciężki problem gorczy wodzów. Henryk Sandomierski nie znajduje nikogo, kto by go wsparł, kto by go zrozumiał pełniej niż przez zwyczajną wierność. Otacza go naród ślepy, coś z tego, że naród dobrej woli? Trudno nawracać do wielkiej idei tych, co zadowolają się zdobyczą o wiele za małą, jak na miarę ludzkiego bohaterstwa. — Zamek w Sandomierzu i Belweder: tak mówi prawdziwa wizja. Jakże żałuję tych pracowitych wielbicieli literatury „faktu” i „rzeczywistości”. Okazuje się raz jeszcze, że często prawda sztuki i prawda współczesnej rzeczywistości przychodzi z najmniej rzeczywistej strony...

Czesław MIŁOSZ

BUNT MŁODYCH, Warszawa, 20 sierpnia 1935.

Władcy Związku Sowieckiego

W 1918 roku Lenin, oszołomiony jeszcze łatwością zwycięstwa, które mu dało władzę nad Rosją, uspokajał swych towarzyszy: jeśli 300 tys. ziemian i kapitalistów mogło do rewolucji rządzić krajem, to czyż nie podoła temu 300 tys. komunistów? W owym czasie partia liczyła 300 tys. członków, ale musiała — chwilowo oczywiście — objąć ster rządów w zastępstwie robotników, nie dość jeszcze uświadomionych, by sprawować „dyktaturę proletariatu”.

Minęło kilka dziesiątków lat. W 1980 roku proletariat wciąż jeszcze nie jest dość uświadomiony, a zastępująca go — chwilowo oczywiście — partia liczy już 17 milionów członków.

Uchwalona w 1977 roku konstytucja Związku Sowieckiego po raz pierwszy jasno, dobitnie i szczegółowo wypowiada się na temat wszechwładzy KPZS, rządzącej monopartii. Czy można jednak powiedzieć, że władzę w Związku Sowieckim sprawuje 17 milionów członków partii?

Na pytanie „kto sprawuje władzę w Związku Sowieckim?”, „kto włada Związkiem Sowieckim?” odpowiada książka Michaiła Wozlenskij pt. „Nomenklatura — rządząca klasa Związku Sowieckiego”. Autor, sowiecki historyk, profesor Uniwersytetu im. Lumumby, wysoki funkcjonariusz KC KPZS, często wyjeżdżający na Zachód na wykłady w RFN i Austrii, w 1972 roku postanowił nie wracać do kraju. Swą książkę wydał w roku 1980 w Niemczech; jej przekład francuski już się ukazał. Nie ulega wątpliwości, że zostanie przełożona i na inne języki — cały świat interesuje się dziś Związkiem Sowieckim!

Słowo „nomenklatura”, dobrze znane obywatelom sowieckim, dla zachodniego ucha brzmi nieco tajemniczo, choć nie można powiedzieć, by było całkiem nieznane. O „nomenklaturze” wspominał Sołżenicyn, pisał o niej Sacharow w książce „Mój kraj i świat”, niemało pisano też o niej w *samizdacie* w latach 60-tych. Słowo to można znaleźć u niektórych najlepiej poinformowanych historyków i socjologów zachodnich. Jednak dopiero M. Wozlenskij poświęca temu pojęciu solidny 550-stronicowy tom.

Nomenklatura oznacza: 1. Spis kierowniczych stanowisk; 2. Spis ludzi mogących te stanowiska zajmować. Twórcą zarówno „nomenklatury” jak i całego państwa sowieckiego był Lenin. Idea „nomenklatury” zawarta była już w słynnym zdaniu przyszłego wodza: dajcie mi organizację zawodowych rewolucjonistów, a wywrócę Rosję do góry nogami. W październiku 1917 roku partia zawodowych rewolucjonistów postawiła Rosję na głowie i natychmiast wzięła władzę w swe ręce.

Do zarządzania krajem niezbędni są fachowcy, ale partia wymaga od nich przede wszystkim oddania, a potem dopiero umiejętności zawodowych. W rezultacie natychmiast pojawia się konieczność „weryfikacji kadr”. Znaczenie „kadr” wcześniej od innych pojmuje najzdolniejszy uczeń Lenina — Stalin. On też w roku 1922 obejmuje — na zlecenie Lenina — kierownictwo wydziału „kadr”.

Kiedy Stalin zostaje wybrany generalnym sekretarzem KC, bierze w swe ręce *uczraspried* — wydział kadrowo-organizacyjny KC, zajmujący się obsadzaniem stanowisk partyjnych, nominacjami i zmianami personalnymi, i zamienia go w główny instrument swej władzy. *Uczraspriedy* powstają na wszystkich szczeblach struktury partyjnej, do rejonowego włącznie. W ten sposób rodzi się „nomenklatura”. W latach dwudziestych istnieje ona jedynie w łonie partii. „Spisy stanowisk kierowniczych” obejmują tylko funkcje partyjne i nazwiska członków partii mogących je sprawować. Bardzo szybko jednak, w miarę jak partia zagarnia w swe ręce całe życie kraju, „nomenklatura” rozrasta się i przenika swymi mackami do wszystkich komórek organizmu państwowego. Dziś, jak zauważa M. Wozlenskij, obejmuje ona nawet patriarchę cerkwi prawosławnej (patriarchę włączono do „nomenklatury” Biura Politycznego).

Historyczna część książki M. Wozlenskij jest najmniej ciekawa, bowiem dzieje partii bolszewickiej i powstania „nomenklatury” są dobrze znane. Druga część książki — analiza strukturalna „nomenklatury” — zawiera dużo nowych informacji. M. Wozlenskij jest nie tylko zawodowym historykiem, ale ponadto był przez całe swoje życie *nomenklaturszczykiem*, członkiem „nomenklatury”. Wiele spraw, o których mówi, zna od środka.

Zdaniem Wozlenskij „nomenklatura” rządzi krajem. Ma ona dwa poziomy. Pierwszy obejmuje kierownicze stanowiska w organach partyjnych, społecznych i państwowych szczebla ogólnokrajowego oraz szczebla republik, *obłasti* i dużych miast (powyżej miliona mieszkańców). Drugi dotyczy kierownictwa tych samych organów na szczeblu rejonowym i miejskim (dla miast o ludności poniżej miliona). W 1970 roku pierwsza grupa liczyła 76.847 osób, a druga 145.248. W ten sposób — stwierdza autor — „władzę polityczną w Związku Sowieckim sprawuje grupa licząca mniej więcej 250 tys. ludzi, tj. jedną tysięczną ludności kraju”. Grupie tej podlega, wypełniając jej zlecenia, „nomenklatura” niższego szczebla: kierownicy przedsiębiorstw przemysłowych i rolnych. Jest ich ok. 400-450 tysięcy. W sumie — oblicza M. Wozlenskij — klasa rządząca Związkiem Sowieckim składa się z ok. 3 mln ludzi (wliczając rodziny), tj. z mniej niż półtora procenta ludności.

Jaki jest cel „nomenklatury”? „Rządy swe — odpowiada historyk — nomenklatura sprawuje wyłącznie dla umocnienia i rozszerzenia swej władzy”. Odpowiedź to nienowa. Znajdziemy ją

u Orwella w jego 1984. M. Wozlenski przytacza cyfry, konkretne fakty, ilustrujące żądzę władzy sowieckiej „nomenklatury”. Opozycja? Po co nam opozycja? — pytał L. Breżniew dziennikarzy ze *Sterna*. Można by także zapytać, po co komu wolność. Jeśli wolność oznacza możliwość kontroli nad działalnością Breżniewa i jego współtowarzyszy z „nomenklatury”, jest im ona rzeczywiście najzupełniej zbędna.

Dla obrony „nomenklatury” przed wszystkimi, którzy by mogli pretendować do jej władzy istnieją *organy*. M. Wozlenski poświęca osobny rozdział podlegającym KGB i MSW wojskom wewnętrznym i pogranicznym, zbrojnej ostoje reżymu. Zauważa też nieznanne w innych krajach zjawisko: składami amunicji zarządzają nie armia, lecz wojska wewnętrzne.

Nieposkromiona i nienasycona żądza władzy pcha „nomenklaturę” do bezustannego poszerzenia swej sfery wpływów. Jednemu z rozdziałów M. Wozlenski dał tytuł „Czy Rosjanie chcą wojny?”. Pytanie to wielokrotnie powtarza znana rosyjska piosenka do słów Jewtuszenki. M. Wozlenski zgadza się z odpowiedzią sowieckiego poety: Rosjanie nie chcą wojny. Nie chcą wojny — chcą zwycięstwa.

Zdaniem wielkich pisarzy władza to ciężkie brzemie. Fakty, które przytacza „Nomenklatura” obalają to powszechnie przyjęte mniemanie. Uderzającą długowieczność sowieckich wodzów M. Wozlenski tłumaczy prosto: pracują nadzwyczaj mało, a żyją nadzwyczaj dobrze. Myśli i pracuje za nich gigantyczny aparat. Oni podejmują decyzje. W gabinecie Breżniewa nie ma ani jednej książki — same telefony, guziki i na biurku zegar w kształcie koła sterowego.

Za trud u symbolicznego steru *nomenklatury* domagają się zapłaty, i dostają ją. Wozlenski poświęca dziesiątki stron opisowi niezwykłych przywilejów jakimi cieszą się władcy ZSSR. *Nomenklatury* szczodłą ręką wynagradzają się za kierowanie państwem: przysługują im produkty, których nazw szeregowy budowniczy socjalizmu nawet już nie pamięta, odzież, mieszkania, wille, leczenie i domy wypoczynkowe na Krymie i Kaukazie. Podczas gdy ludność ZSSR wciąż walczy z permanentnymi przejściowymi trudnościami kolejnych faz socjalizmu, *nomenklatury* od dawna już żyją w „świetlanej przyszłości”, pracując według możliwości a dostając według potrzeb.

Ostatnia część książki nosi tytuł „Klasa — pasożyt”, a ostatni rozdział — „Jeden dzień w życiu Denisa Iwanowicza”. Jest to moim zdaniem najbardziej udany, najciekawszy rozdział „Nomenklatury”. Denis Iwanowicz, rodak sołżenicynowskiego Iwana Denisowicza, jest zastępcą sekretarza wydziału KC. Wozlenski z wielką znajomością rzeczy opisuje jeden dzień w jego życiu, roboczy dzień *nomenklatury*, a tym samym mechanizm działania najwyższych organów państwa sowieckiego, mentalność władców ZSSR. Jedna jedyna myśl zaprzęta Denisa Iwanowicza: nie popełnić błędu, który by go zrzucił o stopień w dół, dochrapać się sukcesu, który by go wyniósł o stopień wyżej.

Wartość książki M. Wozlenskiego wynika m.in. z tego, że sam był — jak powiada Orwell — „w brzuchu wieloryba”. Pobyt w brzuchu wieloryba nie mija bez śladu. I może z tego wypływa też to, co wydaje mi się słabością książki. M. Wozlenski analizuje „nomenklaturę” z pozycji marksizmu, używając marksistowskich kategorii klasy, wartości dodatkowej itp. O istocie sprawy nie mówi nic ponad to, co już ćwierć wieku temu powiedział Milovan Đilas w „Nowej klasie”.

Moim zdaniem „nomenklatura” nie stanowi klasy — jest ona i materialnie i duchowo kompletnie oderwana od społeczeństwa, nie mając z nim żadnego kontaktu. *Nomenklatury* nie tylko jedzą i ubierają się inaczej niż szeregowi obywatele ZSSR. Mają też dostęp do innej informacji o świecie, czytają (kiedy im się zdarzy czytać) inne książki, oglądają inne filmy. Towarzysz Stalin miał rację, wyobrażając sobie w 1921 roku partię jako zakon teutoński. „Nomenklatura” przypomina teutoński zakon, żyjący na okupowanych terytoriach wśród ujarzmionej ludności.

Różnica polega być może na tym, że Teutoni po swojemu wierzyli w Boga, a *nomenklatury* wierzą w siebie — tylko we władzę. I biada temu, kto sięgnie choćby po cząsteczkę ich władzy...

Michał HELLER

Krótko o książkach

DWA DEBIUTY POETYCKIE

Wśród kilku środowisk młodoliterackich uaktywniło się ostatnio środowisko rzeszowskie. Wyrazem tego jest wydawana przez Oddział Rzeszowski Krajowej Agencji Wydawniczej seria tomików poetyckich obejmująca również debiuty poetów urodzonych na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Wśród nich na wyróżnienie zasługują zbiory Wiesława Niemcewicza „Do obywatela”, Marka Pękali „Szare zdrowie jutra” i Romana Lisa „Opis walki za wstęp”. Wart zauważenia jest również debiut Aleksandra Migo „Monolog po sezonie”, wydany w serii poetyckiej Wydawnictwa Literackiego. Ci czterej poeci tworzą jak się zdaje trzon rzeszowskiego środowiska młodopoezyjnego. Środowisko to, podobnie jak inne regionalne ogniska liryczne w Polsce, jest zjawiskiem interesującym ze względu na fakt, że stanowi miernik przemian poetyckich po okresie dominacji „pokolenia 68”. Charakterystyczne są to przemiany — przynajmniej na oficjalnym rynku czytelnictwa, gdyż nieco inaczej ta sprawa wygląda wśród poetów decydujących się na debiut poza zasię-

giem cenzury. Charakterystyczne jest przede wszystkim odejście od ostrej i bezpośredniej obserwacji zjawisk społecznych. To zjawisko obejmuje niemal wszystkie ważne ośrodki debiutanckie — przede wszystkim środowisko gdańskie, które wystąpiło z programem czy raczej hasłem „nowej prywatności”, lecz również i środowisko lubelskie. Warto przy tym wziąć pod uwagę fakt, że wszystkie trzy ośrodki, o których tu mowa, stanowiły do niedawna białe plamy na poetyckiej mapie kraju. Z jednej więc strony mamy do czynienia z aktywizacją ośrodków prowincjonalnych, z drugiej zaś strony z wyciszeniem społecznych pasji poetyckich. Z tego właśnie powodu warto się tym przemianom bliżej przyjrzeć. A rzeszowskie środowisko jest przykładem bardzo typowym. Wyraźnie widać w tej poezji skutki doświadczeń grupy związanej z nazwiskami Barańczaka, Krynickiego, Zagajewskiego czy Bierzina, a więc grupy zepchniętej z oficjalnej areny poetyckiej, zmuszonej do działalności poza państwowym monopolem wydawniczym. Tego losu piewcy „nowej prywatności” wyraźnie pragną uniknąć. Jednocześnie jednak doświadczenie poetyckie „pokolenia 68” stanowi dla ich pisarstwa jeden z głównych punktów odniesienia. Wynika to między innymi z faktu, że wciąż obecne i żywe są te tradycje literatury narodowej, które nakazują pisarzowi podejmować problemy społeczne. Poszukując wyjścia z sytuacji, jaka powstała po wycofaniu się ze sceny głównych przedstawicieli generacji Barańczaka, młoda poezja ani nie może odciąć się od programu poprzedników, ani też podjąć z nim otwartej dyskusji. Problemem podstawowym staje się tutaj — jak pisze Pękala — „jak ominąć swój czas”. Przy czym nie jest to tylko chęć ucieczki z aktualnego „tu i teraz”, lecz również wyraz zmęczenia doraźną publicystyką. Ale wyjścia nie widać. Poczucie zagubienia w świecie nie pozwala debiutantom na określenie własnej tożsamości, gubiącej się, jak u Pékali, w abstrakcyjnych, choć czasem efektownych formułach w rodzaju takiej oto recepty na życie: „trzeba być obecnym aż do heroicznej nieobecności siebie”. Czyżby to mimowiedny komentarz do drogi twórczej Barańczaka czy Krynickiego w oficjalnym życiu literackim? Raczej nie — to po prostu wyraz bezradności. Tak też jest w poezji Niemcewicz, gdy pisze: „Coraz ciszej staram się milczeć, / przechodzę nie zauważony opłotkami / kpin, skrywanych irytacji słów, furii gestów. / ... / Mój wybór nie należy / do mnie, przestał czuć nade mną”. Inaczej nieco u Romana Lisa: „ten wiersz miał być jak zaciśnięta pięść / ale zmienił się w unik przed ciosem / i jest jak łyk wody albo tabletki na sen”. Poczucie bezradności i zagubienia, a nawet świadomość bezsilności nie stają się jednak, jak można by się było spodziewać, tematem tych wierszy. Bezsilność wyraża się raczej w klimacie młodej poezji, w jej beładności i przypadkowości. Przy czym zarówno młodym rzeszowianom jak ich kolegom z innych świeżo rozbudzonych literacko regionów kraju nie można odmówić poprawności, często nawet biegłości formalnej. Brak tylko sprawy nie dającej się w literaturze ani podrobić,

ani zastąpić — brak autentyzmu przeżyć i spontaniczności. Młoda poezja polska tworzona jest przez czeladników, przez uczniów, którzy — choć wielu z nich ma zadatki na mistrzów — nie potrafią czy nie chcą się wyzwolić. Wyobraźnia utrzymywana w korbach poprawności i posłuszeństwa często marnieje. Warto tu przypomnieć losy autentycznych talentów średniego dziś pokolenia — Bordowicza, Żernickiego czy Jerzyny, dziś poetów wygasłych, nie mających nic do zaproponowania, często wyzyskujących swoje umiejętności głównie w sferze poezji użytkowej, takiej jak pisanie tekstów piosenek. Że nie jest to zagrożenie wymyślone świadczy niekiedy aż zbyt rzucić się w oczy manieryzm młodej poezji. W omawianej grupie dotyczy to szczególnie twórczości Lisa, lecz również — choć w sposób mniej widoczny — Aleksandra Migo. Talenty na uwieży, podejmujące tematy zastępcze, wygaszające pasję twórczą i naturalny krytycyzm należące do podstawowego rynsztunku debiutanta — oto dość groźna choroba przenikająca całą młodą lirykę. Dorabiana do tego wszystkiego filozofia „nowej prywatności” jest jedynie etykietką maskującą nijakość bądź — co gorsza — świadomość wykorzenienia literatury polskiej z jej tradycji. I właśnie wyrazem takiej świadomości stał się wywiad młodej gdańskiej poetki Anny Janko, wydrukowany jesienią ubiegłego roku w *Polityce*. Janko wyraźnie mówi tam o tym, że nie ma zamiaru w swej twórczości zajmować się sprawami społecznymi, a uzasadnia to tym, iż nie są to problemy literatury. Zabrzmiąło to jak deklaracja lojalności zapewniająca władze, że nieodpowiedzialne wysoki młodzieży literackiej wtykającej nos w sprawy polityki należą już do przeszłości. Podobnie zdają się myśleć rzesze kolegów Janko. Ale nie jest to wcale tylko wyrazem buntu przeciwko programowi poprzedników. To raczej wyraz zmęczenia polskiej literatury, która po wojnie dwa razy — po roku 1956 i w twórczości „pokolenia 68” — bezskutecznie próbowała przełamać ograniczenia poszukiwań. Bezskutecznie — przynajmniej w oficjalnym życiu literackim. Lecz od kilku lat życie literatury polskiej funkcjonuje na dwóch nie całkiem od siebie izolowanych poziomach. Jednym z nich jest wyzbyte spontaniczności, podporządkowane mechanizmom cenzury i autocenzury życie oficjalne; drugi tworzy dynamiczna, pełna autentycznej pasji warstwa literatury powstająca poza zasięgiem cenzury. W tej pierwszej z debiutantów wykluwają się zawodowi literaci, w drugiej — pisarze. Literaturę narodową tworzą ci drudzy, nie zawsze posiadający zawodowe legitymacje, lecz zawsze legitymujący się odwagą bycia sobą. Być w Polsce pisarzem nie jest łatwo, w każdym razie trudniej niż literatem. Ale nigdy dotąd debiutanci nie mieli tej świadomości tak silnie rozbudowanej. I ta świadomość w dużym stopniu steruje wyborem ich sposobu pisania — oni lepiej wiedzą, co się opłaca, niż co jest wartością. Wkraczają w życie literackie o ustalonych z góry regułach gry, wierzą w istnienie i niewzruszalność tych reguł. Nie chcą wiedzieć, że autentyczna literatura musi dążyć do ich zmiany. Trzeba wy-

bierać między poczuciem bezpieczeństwa a ryzykiem poszukiwania. Tomiki debiutantów są coraz częściej świadectwem wyboru tej pierwszej drogi. Na szczęście nie są to wybory raz na zawsze przesądzone.

Krzysztof ZAWRAT

TADEUSZ MICIŃSKI

Jedną z najbardziej tajemniczych i najmniej znanych czytelnikowi postaci jest Tadeusz Miciński — poeta, powieściopisarz i eseista urodzony w roku 1873, zmarły zaś, a właściwie zamordowany w Rosji w roku 1918. Ten uczeń Przybyszewskiego, przyjaciel wybitnego i również rzadko przypominanego filozofa Wincentego Lutosławskiego był jednym z najbardziej interesujących pisarzy Młodej Polski, zaś jego twórczość w dużym stopniu fascynowała Witkacego. Niestety — jego dorobek wciąż jeszcze nie jest uporządkowany, a do wydania dzieł zebranych zapewne nie dojdzie zbyt prędko. Tym bardziej musi cieszyć wydanie pod redakcją Teresy Wróblewskiej jednego z najgłośniejszych utworów Micińskiego, dramatu „Bazyliśa Teofanu”. Również nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie ukazał się zbiór szkiców „Studia o Tadeuszu Micińskim”, zredagowany przez Marię Podrazę-Kwiatkowską. Coraz głębsze zainteresowanie okresem Młodej Polski nie idzie jednak w parze z systematycznymi pracami edytorskimi. Czas sobie wreszcie uprzytomnić, że nie tylko specjaliści czekają na pełne zaprezentowanie twórczości takich pisarzy jak Bolesław Leśmian, Wacław Berent, Stanisław Przybyszewski, Tadeusz Miciński czy Karol Irzykowski, którego obecnie wydawane utwory pod redakcją Andrzeja Lama są tak pokancerowane przez cenzurę, że stawia to pod znakiem zapytania sens tego przedsięwzięcia. Typowym dla życia literackiego kraju paradoksem jest istnienie dziesiątków opracowań, przyczynków, komentarzy interpretacji przy całkowitej niemal nieobecności omawianych utworów. Dotyczy to w tym samym stopniu polskiej literatury emigracyjnej powstającej współcześnie, głównie Gombrowicza i Miłosza, jak i tradycji literackiej. Czytelnik polski musi tę tradycję poznawać z drugiej ręki, nie ma praktycznie żadnych możliwości konfrontowania interpretacji z dziełem oryginalnym. Ten stan rzeczy wyrządza kulturze narodowej niepowetowane wręcz szkody. Tym bardziej, że podejmowane inicjatywy edytorskie grzęzną w cenzorskim bagnie, czego dowodem choćby przerwane po pierwszym tomie wydawanie pism Stanisława Brzozowskiego — nieliczne egzemplarze jego „Legendy Młodej Polski”, stanowiącej nieodzowną lekturę każdego studenta polonistyki, są obecnie niemal na wagę złota. W wypadku Micińskiego sytuacja jest niewiele lepsza — sporo co prawda przyczynków i opracowań, lecz są one bardzo rozproszone, a jednocześnie kompletnie brak jego utworów. Mie-

my nadzieję, że powoli sytuacja w tej dziedzinie zacznie ulegać zmianie, gdyż inaczej ważny punkt odniesienia żywej wciąż jeszcze tradycji literackiej może zostać unicestwiony. A jest Miciński, podobnie jak Leśmian, pisarzem, którego znaczenie wzrasta w miarę upływu lat. Jest to efektem wspólnej im obu cechy, jaką była umiejętność tworzenia własnego, odrębnego, oryginalnego świata. Mówiąc o tym, co go najbardziej zdumiewało w twórczości Micińskiego, Stefan Żeromski zwrócił uwagę na „upodobanie do przetrącania, negowania, deformowania fenomenów życia, ażeby z rzeczywistości zdruzgotanej jak gdyby młotem tytana tworzyć rzeczywistość nową — własną, nieznaną, ułudną jedynie, twór nowy, po swojemu z kółców, brył i kół ustawiony, niczym obraz kubistyczny, stworzony na opak wszystkiemu, co mamy i co wiemy”. Ta zdolność negowania istniejących schematów i gotowych formuł jest niewątpliwie cechą niezwyklej wagi w literaturze. Dziś zapewne wielu czytelników Micińskiego może razić patos towarzyszący jego na poły mistycznej twórczości. Ale na pewno zasługuje na uwagę odwaga, z jaką podejmuje on po swojemu zagadnienia historii i religii. Jest to odwaga przywodząca na myśl „Wielką Improwizację” z Mickiewiczowskich „Dziadów”, „Króla Ducha” Słowackiego czy intelektualnie gęstą twórczość Norwida. Jego koncepcje historiozoficzne podporządkowane były próbom znalezienia klucza do swoistości polskiej kultury. Z tego punktu widzenia jest to jedna z najbardziej oryginalnych i przez to najbardziej cennych prób określenia kulturowej tożsamości Polski. Koncepcje te są żywe przede wszystkim w zbiorze szkiców „Do źródeł duszy polskiej”, w którym chyba najdobitniej w naszej literaturze obecna jest świadomość faktu, że Polska znajduje się na pograniczu i pod wpływem dwóch kultur — Zachodu i Wschodu. Umiejętność scalenia ich najwartościowszych pierwiastków w jedną spójną całość stanowi według Micińskiego historyczną szansę polskiej kultury narodowej. Stąd też tak silne zainteresowanie sprawami Wschodu w jego twórczości, silniejsze niż kultywacja pierwiastka europejskiego. Z innego znów punktu widzenia ważne są powieści Micińskiego poświęcone problemom duchowego życia Polski współczesnej — „Xiądz Faust” i „Nietota”. Niezwykle istotne są tu rozważania dotyczące życia religijnego, zwłaszcza zaś ostra polemika z katolicyzmem, przede wszystkim negatywna ocena polityki papieża Piusa X, nazwanego przez Micińskiego „bezwiednym sługą szatana” — chodzi tu, oczywiście, przede wszystkim o stosunek Rzymu do sprawy polskiej. Ten wątek, nawiązujący do myśli nurtujących polską literaturę romantyczną — by przypomnieć tylko „Kordiana” i „Beniowskiego” Słowackiego — ten wątek jest jakby antycypacją, przeczuciem głębokich przemian, jakim uległ katolicyzm w drugiej połowie naszego stulecia. Nie chodzi bowiem Micińskiemu o negowanie religijności — nie może o to chodzić pisarzowi, który tak silnie podkreśla „wiarę w nieśmiertelność pierwiastka bożego w nas”. Chodzi mu o to, co nazywa wyjściem ducha „z ciasnych murów Watykanu”, a co

oznacza konieczność zerwania z instytucjonalnym krzepnięciem katolicyzmu w XIX stuleciu. Już tu widać oryginalność i odwagę tego pisarstwa, nie cofającego się przed użyciem ostrych, często emocjonalnie przejawianych sformułowań. Ta odwaga polegająca na odrzuceniu obawy przed błędem na rzecz prawa do własnej, indywidualnej oceny rzeczywistości wyznacza wysoką rangę intelektualną i moralną twórczości Micińskiego. Renesans zainteresowania tym pisarstwem jest więc zjawiskiem zasługującym w najwyższym stopniu na uwagę. W twórczości autora „Nietoty” stapiają się w jedno trzy istotne wątki polskiej tradycji literackiej — jej wyczulenie na sprawy polityki, dążność do nowego odczytywania historii oraz religijność. A przy tym jest to pisarstwo kunsztowne, często formalnie doskonałe. Julian Krzyżanowski omawiając pierwszy tom poetycki Micińskiego „W mroku gwiazd” przedstawia jego bardzo wysoką ocenę, którą wypada tu przytoczyć: „Zbanalizowane porównanie liryków z brylantami odzyskuje tutaj cały swój sens pierwotny, drobne bowiem wyznania liryczne Micińskiego mają w sobie prostotę i blask najczystszych, mistrzowsko szlifowanych drogich kamieni, których wartość zależy od ich składu chemicznego i ich obróbki”. Na równie wysoką ocenę zasługuje niewątpliwie opublikowany obecnie dramat „Bazyliśsa Teofanu” w bardzo pieczołowitej redakcji Teresy Wróblewskiej. Można powiedzieć, że początek w przybliżeniu współczesnemu czytelnikowi oryginalnej twórczości Micińskiego został zrobiony. Ale zapewne nikt w Polsce nie potrafiłby powiedzieć czy i kiedy praca ta doczeka się kontynuacji. Tym bardziej to bolesne, że należy Miciński do niemal nieobecnych w świadomości kulturalnej olbrzymów naszego pisarstwa. Jak dalece jest to postać nieznana świadczą „Studia o Tadeuszu Micińskim”, gdzie obok szkiców istotnych, takich jak prace Teresy Wróblewskiej czy Stanisława Eile, odnajdujemy typowo przyczynkarskie artykuły Erazma Kuźmy czy Wojciecha Gutowskiego, brak natomiast porządnie opracowanej biografii pisarza oraz choćby wstępnej bibliografii jego dorobku.

Krzysztof ZAWRAT

Książka ks. Woźnickiego

Książka ks. Woźnickiego* jest poręcznym i autorytatywnym (aprobata ks. kard. Rubina!) streszczeniem głównych twierdzeń

*Andrew N. Woznicki, *A Christian Humanism: Karol Wojtyła's Existential Personalism*, Mariel Publications, New Britain (Connecticut), 1980, X+84 pages, cena \$ 2,95.

filozoficznego i teologicznego personalizmu Wojtyły. Odda dobre usługi każdemu, kto chce poznać myśl papieża. Poszczególne rozdziały omawiają: (1) chrześcijańską naturę humanizmu, (2) strukturę metafizyczną człowieka jako osoby, (3) fenomenologiczne przeżycie bycia-osobą-ludzką, (4) założenia chrześcijańskiej nauki o miłości, (5) reinterpretację tomistycznej teorii wartości.

Książka Woźnickiego nie będzie jednak zbyt poczytna w kołach zawodowych filozofów: jej orientacja jest na to zaanodowane światopoglądowe. Autorowi chodzi m.in. o przeciwstawienie się wysuwaniu tu i ówdzie twierdzeniu, że Wojtyła jest fenomenologiem. Prof. Woźnicki sprzeciwia się stanowczo wliczaniu papieża do zwolenników ruchu fenomenologicznego — co do czego można się istotnie sprzeczać. Autor jest bowiem zdania, że mogłoby to doprowadzić do zamieszania w obozie katolickim, jako że fenomenologia była jednym z kierunków, które należało zwalczać. Okazuje się jednak przy tym, że Woźnicki jest skłonny do uważania fenomenologii przede wszystkim za wrogi metafizyce fenomenalizm. Otóż to rozumienie fenomenologii nie tylko nie zgadza się z (nielicznymi co prawda) wzmiankami na ten temat u samego Husserla, ale jest także całkowicie niesłuszne jeśli chodzi o metafizyczne stanowisko (polskiego) fenomenologa Romana Ingardena.

Wypada jednak powiedzieć, że takie ideologiczne przeciwstawienie metafizyki bytu i fenomenologii nie pociąga za sobą błędnej prezentacji stanowiska Wojtyły, bo ten od początku odróżniał jedno od drugiego. Woźnicki przynajmniej zresztą jasno, że Wojtyła przypisuje fenomenologii jako metodzie ważną rolę w opisie doświadczenia, na które kładzie wielki nacisk.

Aby książka mogła znaleźć echo u zawodowych filozofów, twierdzenia powinny być nie tylko wymienione, ale też wzięte, każde z osobna, pod lupę. Właśnie odnośnie fenomenologicznego opisu świadomości znajdujemy u Wojtyły oryginalne rozróżnienie między konstytuującą *reflexiveness* osoby, a wtórą *reflectiveness*, samopoznaniem intelektualnym. Wyjaśnia się przy tym, jak refleksywność osoby przejawia się w specyficznym fenomenie nie-reflektywnej samowiedzy (Woźnicki tłumaczy to wyrażenie moim zdaniem raczej nieszczęśliwie przez *self-cognition*).

Ale wydawcom, z których wymienieni są Rev. Francis J. Lescoe i Maire E. Lescoe nie chodzi w pierwszym rzędzie o to, aby wprowadzić prace Wojtyły do współczesnych dyskusji fachowych i zobaczyć, co z jego myśli może się płodnie przyjąć na tej płaszczyźnie. Jak widać z zapowiedzi ogłoszonej na początku tomiku, ma on być wprowadzeniem do projektowanego 15-tomowego wydania głównych dzieł neotomizmu lubelskiego, jakby myśłano, że ten neotomizm mógłby zająć w seminariach katolickich Stanów Zjednoczonych i Kanady miejsce, jakie zajmowały w przeszłości podręczniki neoscholastyczne. Wydawcy powołują się przy tym na jego powodzenie wśród młodych kleryków w Polsce. Wolno jednak wątpić, by to powodzenie w przeszłości, w szcze-

gólnych warunkach, wystarczało dla zapewnienia sukcesu w przyszłości, w całkiem innych okolicznościach.

Nie pociąga to za sobą oczywiście zastrzeżeń do tłumaczenia dzieł katolickich filozofów polskich. Przeciwnie, należy ich sobie życzyć. Włączenie tych myśli i tekstów do nauczania w seminariach może się okazać płodne. Byłoby jednak błędem żywić nadzieję, że da się zrobić z lubelskiego neotomizmu ideologię, która by mogła zająć w seminariach stanowisko monopolistyczne. Tłumaczenie dzieł filozofów polskich powinno raczej służyć skuteczniejszemu włączeniu ich do międzynarodowych dyskusji, dla pożytku zarówno naszego, jak i katolickiej filozofii w Polsce. Skazana jest ona bowiem na stałe *aggiornamento*, jeśli ma pozostać filozofią żywą i dalej pełnić swoją rolę.

Guido KÜNG

(Tłumaczył K. C.)

Fryburg w Szwajcarii

Dr Guido KÜNG, profesor filozofii na uniwersytecie we Fryburgu w Szwajcarii jest znawcą fenomenologii, m.in. polskiej.

Nadesłane nowości wydawnicze

OBERTYŃSKA (Beata). *Perły — wiersze*. Str. 32. (Wyd. Collegium Marianum, Brighton, Anglia, 1980).

SUBERLAK (Jan). *Smutek wyśpiewać*. Wiersze. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn, 1980).

MOSZKOWICZ (Michał). *Punkt zero*. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Via, Poets' and Painters' Press, Stockholm - London, 1980).

GRYNBERG (Henryk). *Wiersze z Ameryki*. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn, 1980).

HEYDENKORN (Benedykt). *Przywódtwo w Polonii Kanadyjskiej — mini-biogramy prominentów*. Str. 126. (Wyd. Futura Graphics, Toronto, 1980).

BRÜCKNER (Aleksander). *Starożytna Litwa. Ludy i bogi. Szkice historyczne i mitologiczne*. Opracował i wstępem poprzedził Jan Jaskanis. Str. 238 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1979, cena zł 84).

STACHURA (Edward). *Fabula rasa (rzecz o egoizmie)*. Str. 175. Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1979, cena zł 30).

NIENACKI (Zbigniew). *Uwodzićiel*. Str. 424. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn - Białystok, 1980, cena zł 50).

PANAS (Henryk). *Według Judasza (apokryf)*. Str. 257. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974, wyd. II, cena zł 26).

WAKAR (Andrzej). *Olsztyn 1353-1945*. Str. 432. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1971, cena zł 58).

SEKLUCJAN (Jan). *Wybór pism*. Wyboru pism dokonał, opracował i wstępem poprzedził Stanisław Rospond. Str. 226 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1979, cena zł 86).

MURZYŃSKI (Stanisław). *Historia żalosna a straszliwa o Franciszku Spierze oraz ortografija polska*. Opracowali Janusz Małek i Franciszek Peplowski. Str. 178 i 10 nlb. (Wyd. Pojezierze, w serii: Literatura Warmii i Mazur w dawnych wiekach, Olsztyn, 1974, cena zł 50).

KROMER (Marcin). *Polska czyli o położeniu, ludności, obyczajach, urzędach i sprawach publicznych Królestwa Polskiego księgi dwie*. Przekład Stefana Kazikowskiego. Wstęp i opracowanie Romana Marchwińskiego. Str. 221 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1977, cena zł 60).

Rebelles et rêveurs. Quatorze poètes polonais contemporains. Tłum. Lucienne Rey. Str. 154 i 6 nlb. (Wyd. La pensée sauvage, seria La peau des mots, Grenoble, 1980).

CZAPSKA (Maria). *A travers la tourmente*. Z polskiego przeł. A. M. Zelenski. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Editions l'Age d'Homme, Lozanna, 1980).

MIŁOSZ (Czesław). *Enfant d'Europe*. Przekład autoryzowany Monique Tschui i Jil Silbersteina. Str. 92 i 4 nlb. (Wyd. Editions l'Age d'Homme, Lozanna, 1980).

RADECKI (Henryk). *Ethnic Organizational Dynamics — The Polish Group in Canada*. Str. XIX + 275. (Wyd. Wilfrid Laurier University Press, Waterloo, Ontario, 1979).

POTICHNYJ (Peter J.) (Ed.). *Poland and Ukraine — Past and Present*. Str. XIV + 365. (Wyd.

The Canadian Institute of Ukrainian Studies, Edmonton - Toronto, 1980).

Witness out of Silence. Polish Poets Fighting for Freedom. Przełożył Antony Graham. Str. 92 i 4 nlb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn, 1980).

GROL-PROKOPCZYK (Regina). *Witold Gombrowicz: Salubrious Profanation*. Str. 11 i 4 nlb. (Published under the auspices of the Polish Arts Club of Buffalo, Inc., 1980).

RAKHMANNY (Roman). *In Defense of the Ukrainian Cause*. Str. 297. (Wyd. The Christopher Publishing House, North Quincy, Mass., 1979).

FORST-BATTAGLIA (Jakub) i STANKIEWICZ (Mirosław). *Polen*. Str. 456. (Wyd. Walter-Verlag, Olten und Freiburg im Breisgau, 1980).

VOGT (Dietrich). *Der grosspolnische Aufstand 1918/19. Bericht, Erinnerungen, Dokumente*. Wstęp Gotthold Rhode. Str. 138 i 16 nlb. (Wyd. J. G. Herder-Institut, Marburg/Lahn, 1980).

WIRPSZA (Witold). *Prognosen oder die Naturgeschichte der Drachen*. Str. 22 i 2 nlb. (Wyd. Literarisches Colloquium Berlin, Berliner Künstlerprogramm des DAAD, 1980).

SOSNOWSKIJ (Mychajło). *Miż optymizmom i pesymizmom*. Str. 735. (Wyd. Trident International Inc., New York - Toronto, 1979).

CZUKOWSKAJA (Lidia). *Zapiski ob Annie Achmatowej*, tom 2, 1952-1962. Str. 625 i 1 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1980).

PRAT (Vicente). *Futurologia Ciencia Revelacion*. Str. 156 i 4 nlb. (Wyd. Editorial Plus Ultra, Buenos Aires, 1978).

Annali della Fondazione Luigi Einaudi, vol. XII — 1978, str. 580 i 8 nlb. (Wyd. Fondazione Luigi Einaudi, Turyn, 1979).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

30-7-80

Po raz pierwszy przyznano nagrody „Zapisu” w dziedzinie literatury i upowszechnienia literatury. Nagrody ufundowali prywatni ofiarodawcy, zamieszkali w kraju, którzy pragną pozostać anonimowi. Środki na ten cel nie pochodzą jednak z funduszu wydawniczego finansowanego przez czytelników. Za twórczość literacką, wybitną artystycznie i ważką społecznie, bliską naszym współczesnym doświadczeniom, nagrody otrzymali: w dziedzinie prozy — Janusz Anderman, za książkę pt. „Gra na zwłokę” (Wydawnictwo Literackie, 1979); w dziedzinie poezji — Adam Zagajewski za książkę pt. „List” (I wydanie — Witryna Poetycka OKS „Od Nowa”, Poznań, 1978, II wydanie rozszerzone — Krakowska Oficyna Studentów, 1979). Za wybitne zasługi w upowszechnianiu literatury współczesnej i wyzwalaniu jej od szkodliwych skrupowań — organizator Niezależnej Oficyny Wydawniczej Mirosław Chojecki i współpracownik tejże Oficyny Bogdan Grzesiak.

22-8-80

Zmarł w wieku 75 lat Zenon Nowak, b. członek Biura Politycznego KC PZPR, b. wicepremier i b. Ambasador PRL w Moskwie.

2-9-80

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat Antoni Bida, b. dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań, b. wiceprezes Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Był on ponadto posłem PRL w Austrii i w Izraelu.

3-9-80

W Dzienniku Ustaw nr 19 z 3 września 1980 roku ogłoszono rozporządzenie Ministra Sprawiedliwości w sprawie struktury organizacyjnej Naczelnego Sądu Administracyjnego. Sąd ten ma służyć umocnieniu praworządności w stosunkach między administracją państwową a obywatelami, a także podniesieniu poziomu funkcjonowania administracji.

4-9-80

Polska Agencja Prasowa zamieściła wypowiedź wicepremiera PRL, M. Jagielskiego, który m.in. poinformował: „Dostawami ze Związku Radzieckiego pokrywamy 100 % naszych potrzeb importowych gazów ziemnych i tarcicy, około 80 % ropy naftowej, soli potasowych, surowców żelazonośnych... Także inne kraje socjalistyczne wykazują zrozumienie dla naszej sytuacji. NRD, Czechosłowacja, Węgry, Bułgaria, Rumunia zadeklarowały przyspieszenie, a w wielu przypadkach rozszerzenie dostaw szeregu surowców i towarów rolno-spożywczych... których własna produkcja ze względu na trudną sytuację w rolnictwie nie jest obecnie dostateczna”.

20-9-80

Tygodnik *Polityka* w Warszawie zamieszcza wykaz ważniejszych zagranicznych dostawców PRL. Dane dotyczą 1979 roku i są zestawione w procentach całości importu. Najważniejsze miejsce przypada Związkowi Radzieckiemu, który reprezentuje 31,3 % całości polskiego importu, a w grupie paliw, surowców i materiałów jeszcze więcej: *Ropa naftowa* — ZSSR (80,0 %); *Irak* (11,3 %). *Gaz ziemny* — ZSSR (110,0 %). *Produkty naftowe i syntetyczne paliwa płynne* — ZSSR (66,1 %). *Rudy żelaza* — ZSSR (71,2 %); *Szwecja* (13,1 %); *Brazylia* (12,8 %). *Rudy chromu* — ZSSR (67,5 %); *Albania* (16,6). *Rudy manganu* — ZSSR (70,5 %); *Francja* (18,8 %). *Boksyty* — Węgry (79,4 %); *Maroko* (44,1 %); *USA*

(28,4 %). *Apatyty* — ZSSR (100,0 %). *Nawozy potasowe* — ZSSR (63,0 %); *NRD* (35,2 %). *Polichlorek winylu* — Węgry (40,7 %); *RFN* (28,9 %). *Bawełna* — ZSSR (69,0 %); *USA* (9,5 %). *Pszemica* — *USA* (27,6 %); *Francja* (19,6 %); *Kanada* (18,4 %); *ZSSR* (17,1 %). *Kukurydza* — *USA* (97,3 %).

21-9-80

Została podpisana umowa PRL ze Związkiem Radzieckim o dodatkowych dostawach w 1980 roku. Obejmuje ona 500 tys. ton pszenicy, 6 tys. ton bawełny, 6 tys. ton celulozy, 5 tys. ton oleju słonecznikowego, 100 tys. ton apatytów oraz ryżu. Łączna wartość dostaw wyniesie 85 mln rubli.

24-9-80

Leszek Moczulski został aresztowany na zasadzie postanowienia Prokuratora pod zarzutem, że w udzielonym zachodnoniemieckiemu tygodnikowi *Der Spiegel* wywiadzie, opublikowanym 15. 9. br., „poniżał godność naczelnych organów PRL”. Podejrzany jest również o szkalowanie PRL i atakowanie jej sojuszków politycznych. Aresztowanie spotkało się z protestami wszystkich organizacji opozycyjnych. Redakcja *Kultury* — aczkolwiek ma poważne zastrzeżenia co do działalności KPN, a w pierwszym rzędzie do akcji przedstawicieli KPN na Zachodzie — również potępia to jaskrawe naruszenie praworządności.

29-9-80

W związku z wojną między Iranem a Irakim zorganizowano ewakuację obywateli polskich z Iraku. Dotychczas z rejonu Basry w Iraku specjalnymi samolotami LOT-u przewieziono 1.300 osób. W wyniku działań lotniczych w północnym Iraku zginęło trzech obywateli polskich, a dwóch zostało rannych. Ewakuacja jest kontynuowana.

1-10-80

Stanisław Barańczak został przywrócony do pracy w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Poznańskiego. Był on zwolniony z Uniwersytetu w 1978 roku. Jednocześnie Mirosław Chojecki został ponownie przyjęty do pracy w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku pod Warszawą.

3-10-80

Krajowa Komisja Porozumiewawcza Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” proklamowała i przeprowadziła jednogodzinny strajk ostrzegawczy, który objął przede wszystkim duże zakłady przemysłowe, a także komunikację miejską w niektórych rejonach. Wyznaczone zakłady przerwały pracę, część — szczególnie tych o ruchu ciągłym czy też usługowym — zmanifestowała poparcie dla celów przyswieszcających strajkowi. Strajk został ogłoszony na znak protestu przeciwko niedostatecznemu i zbyt powolnemu realizowaniu zawartych porozumień, przeciwko częstym utrudnieniom w organizowaniu nowych związków zawodowych i niewłaściwemu informowaniu o nich przez środki masowego przekazu. Strajk przebiegał w całkowitym spokoju i dyscyplinie, a po upływie godziny wszędzie podjęto normalną pracę.

4-10-80

W stoczni gdańskiej odbyło się kolejne spotkanie członków społecznego komitetu budowy pomnika Stoczniovców, poległych w 1970 roku. Ustalono dalsze etapy realizacji: pomnik stanie przy ulicy Doki w Gdańsku, w pobliżu stoczniowej bramy numer 2 i będzie przedstawiał trzy 42-metrowej wysokości krzyże z zawieszonymi w ich ramion kotwicami. Prace przygotowawcze są już w toku.

8-10-80

Sejm powołał ponownie M. Moczara na stanowisko prezesa Naczelnej Izby Kontroli Państwa. ■ Nakładem PIW-u ukazał się w jednym tomie zbiór trzech opowieści Jerzego Andrzejewskiego: „Ciemności kryją ziemię”, „Bramy raj” i „Idzie skacząc po górach”.

10-10-80

Polska Agencja Prasowa zapowiada wprowadzenie kartek na mięso. Podaż w ostatnim kwartale br. będzie niższa niż w roku ub. i zapewne nie przekroczy 500 tys. ton mięsa do końca roku. Wypada to po 14 kg na statystycznego obywatela. Nie zdecydowano jeszcze wysokości kwoty za jaką będzie mogła kupić mięso jedna osoba. Obecne ceny mięsa zostały zamrożone. ■ Rektor Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Zygmunt Rybicki, ustąpił ze swego stanowiska. Był on znienawidzony zarówno przez studentów jak i przez wykładowców za oddanie administracji U.W. do dyspozycji Służby Bezpieczeństwa, brutalne traktowanie studentów, usunięcie w latach 70-tych wielu znanych naukowców i relegowanie studentów za ich poglądy lub niedopuszczanie ich do studiów doktoranckich i asystentur. Nowym rektorem, wybranym w tajnym głosowaniu, został prof. Henryk Samsonowicz.

11-10-80

Tegoroczne zbiory w Polsce są najgorszymi w ostatnim 10-leciu. Zebrano jedynie 19 mln ton zbóż (o 8 mln za mało w stosunku do potrzeb), zbiory ziemniaków są o około 15 mln ton niższe niż w roku ubiegłym, również mniejsze o 4 mln ton będą zbiory buraków cukrowych. PRL będzie zmuszona importować poza zbożami i paszami również cukier. ■ Na zebraniu Sygnatariuszy Apelu 64 Stefan Kisielewski oświadczył, że jest autorem książek, które pod pseudonimem Tomasz Staliński ukazały się w Bibliotece „Kultury”. Są to następujące książki: „Widziane z góry”, „Cienie w pieczarze”, „Romans zimowy”, „Ludzie w akwarium” i „Śledztwo”.

15-10-80

Sztuka Karola Wojtyły, obecnego Papieża Jana Pawła II, pt. „Brat naszego Boga” ma być wystawiona w grudniu br. w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Sztukę reżyseruje K. Skuszanka, muzykę skomponował K. Penderecki. ■ W Moskwie przewiduje się, że tegoroczne zbiory zbóż wyniosą 190 mln ton, tj. o 45 mln mniej niż przewidziano w planie.

20-10-80

W Warszawie krąży pogłoska, że podobno J. Zabłocki z Neo-Znaku otrzymał koncesję na tygodnik.

23-10-80

W związku z przyjazdem do Rzymu kard. Stefana Wyszyńskiego rozeszły się pogłoski, że przywiózł swoją dymisję (normalna procedura na rok przed ukończeniem 80-ciu lat), która nie została przyjęta. Nie wyklucza się jednak, że papież zamianuje niedługo koadiutora z prawem następstwa.

ZACHÓD — EMIGRACJA

5-7-80

W Londynie odbyło się zebranie Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Przewodniczącym został wybrany prof. Tymon Terlecki.

31-7-80

Przybył do Wiednia literat Jerzy Gren, związany z Konfederacją Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego. P. Gren zamierza emigrować do Kanady.

1-8-80

Zmarła w Paryżu Zofia Weissberg-Cybulska, żona Aleksandra Weissberga, popularna i ceniona w środowisku polskim Paryża i Londynu.

8-8-80

Zmarła w Paryżu w wieku 66 lat Maria Szurek-Wisti. Spędziła ona około 40 lat we Francji, zaczęła swoją karierę we Francji jako lektorka na uniwersytecie w Montpellier, w czasie wojny współpracowała z polskim ruchem oporu (Sieć PKWN — „Monica”), przez trzy lata była więźniem obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, po wojnie wykładała w Ecole Nationale des Langues Orientales oraz na Université Paris IV i VIII.

10-8-80

Walne zebranie Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii wybrało nowy zarząd w osobach: prezes — Zdzisław Lepionka, sekretarz — Leon Domański. Wydarzenia w Polsce wywołały duże poruszenie w Nowej Zelandii, gdzie jednak komuniści zajęli bardzo wyraźne stanowisko, mianowicie sekretarz Federation of Labour, Ken Douglas, oświadczył, że „W Polsce panują mniejsze represje robotników i ich związków niż w Nowej Zelandii”, zaś prezes Socialist Unity Party, Andersen, wypowiedział się za zbrojną interwencją Sowietów w Polsce. Te wypowiedzi spotkały się z energicznym protestem Stowarzyszenia Polaków i ostatecznie, pod wpływem presji, F.O.L. poparła żądania strajkujących robotników w Polsce.

15-8-80

Tegoroczna nagroda pisarska Stowarzyszenia Polskich Kombatanów została przyznana Wiesławowi Lasockiemu za całokształt pracy pisarskiej i Peter Rainie za książkę „Stefan Kardynał Wyszyński — Prymas Polski”. Nagrody wynoszą po £ 200 każda.

10-9-80

Zmarła w Londynie p. Regina Oppmanowa, długoletnia kierowniczka Archiwum Instytutu Polskiego przy Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

12-9-80

W Rapperswilu odbyła się doroczna sesja Rady Polskiej Fundacji Kulturalnej „Libertas”. Fundacja „Libertas” będzie przyznawała nagrody im. Doktora Juliana Godlewskiego. Tegorocznymi laureatkami są: Wanda Dunin-Borkowska, kierowniczka Biblioteki Polskiej w Paryżu oraz Marty Hoffer (Szwajcarka), kierownik administracyjny Muzeum Polskiego w Rapperswilu.

13-9-80

Skandynawski Oddział Towarzystwa Przyjaciół Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (z siedzibą w Danii) wręczył uroczystie tytuł doktora *honoris causa* nauk matematyczno-przyrodniczych PUNO duńskiemu uczonemu Wilhelmowi Moller-Christensenowi z kopenhaskiego uniwersytetu.

23-9-80

Z okazji ukończenia 80 lat zorganizowano w Paryżu jubileuszowy bankiet dla prof. dr. Wołodymira Kubijowicza. Prof. Kubijowicz jest prezesem Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki w Europie i naczelnym redaktorem „Encyklopedii ukrainoznawstwa”. W bankiecie wzięli udział przedstawiciele emigracji polskiej.

26-9-80

W Centre du Dialogue w Paryżu miał miejsce wieczór poświęcony ks. Józefowi Sazdikowi, założycielowi i dyrektorowi ośrodka Centre du Dialogue. O ks. Sazdiku mówił ks. prof. Janusz Pasierb.

30-9-80

Włoska Centrala Związków Zawodowych CGIL (*Confederazione Generale Italiana di Lavoro*), grupująca syndykaty komunistyczne, socjalistyczne i chrześcijańskie, wysłała list do Wałęsy w którym zaprasza do Włoch oficjalną delegację MKS. W liście, który podpisali przywódcy trzech członów syndykalnych Lama, Benvenuto i Carniti, wyrażona jest także chęć nawiązania oficjalnych stosunków z polskimi samorządowymi związkami zawodowymi. Niezależnie od tego wspólnego listu Benvenuto, przywódca socjalistycznego członu CGIL i sekretarz socjalistycznych związków zawodowych UIL, wytknął europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych brak jasnego stanowiska w obliczu powstania samorządnych związków zawodowych w Polsce i wezwał ją do nawiązania bilateralnych stosunków z MKS. Pismo rzymskiego oddziału UIL *Dimensione lavoro* zorganizowało dyskusję okrągłego stołu na temat wypadków w Polsce. Wzięli w niej udział przedstawiciele wszystkich tendencji politycznych, z wyjątkiem komunistów. W dyskusji uczestniczył także, imieniem KOR-u, Aleksander Smolar.

1-10-80

W Galerie Proscenium w Paryżu została otwarta wystawa gwaszów Jana Lebensteina.

9-10-80

Zmarł w Londynie, w wieku lat 84, gen. dyw. Bolesław Bronisław Duch, były dowódca trzeciej dywizji Strzelców Karpackich, która wchodziła w skład 2-go Korpusu gen. Andersa.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Do Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce wybrano dwóch nowych członków: prof. Jerzego Krzywickiego i mec. Ludwika Seidenmana. ■ Na plenarnym posiedzeniu Europejskich Narodów Ujarmionych (ACEN) wybrano nowe władze na rok 1980/81. Przewodniczącym został wybrany ponownie Stefan Korboński. ■ Ogólnokrajowa organizacja „Young Americans for Freedom” nadała przewodniczącemu ACEN, Stefanowi Korbońskiemu, odznaczenie „Bojownika o Wolność” („Freedom Fighter Award”) za wieloletni udział w światowej walce o prawa i godność człowieka.

KRONIKA KANADYJSKA

W Toronto, 13 i 14 września br., miała miejsce uroczystość poświęcenia Pomnika Katyńskiego. Uroczystości związane z odsłonięciem pomnika wypadły imponująco. Msza św. była celebrowana przez ks. kardynała Rubina, biskupa Łydora Boreckiego — ordynariusza diecezji greko-katolickiej, bpa Andrzeja Krawczaka — sufragana diecezji Detroit. Obecnych było kilkanaście tysięcy osób przybyłych z Kanady i ze Stanów Zjednoczonych. W czasie uroczystości przedstawiciel rządu prowincji Ontario wręczył kardynałowi Rubinowi zakupiony przez prowincję i wykonany przez rzeźbiarza Edwarda Koniuszego, panel Drogi Krzyżowej, celem przekazania go Pry-

masowi Polski. ■ W wyborach uzupełniających do Izby Gmin, które odbyły się w Okręgu Hamilton, mandat zdobył dr J. Hudecki, kandydat Partii Liberalnej, lekarz-chirurg, syn polskich imigrantów. ■ W dniach 29 sierpnia - 1 września br. odbył się w Toronto XIII światowy zlot lotników polskich. Impreza ta zgromadziła ponad 300 osób. ■ 1. 9. br. zmarł w Toronto inż. Bohdan Podhajny, jeden z 12 Ukraińców skazanych za udział w zamachu na ministra Spraw Wewnętrznych Bronisława Pierackiego, dokonany przez OUN w Warszawie w 1934 roku. ■ The Multicultural History Society of Ontario wraz z Ethnic and Immigration Studies Program zorganizowały międzynarodową konferencję naukową na temat „Polacy w Północnej Ameryce”. Zgłoszono około 30 referatów. Konferencja odbyła się w dniach 23-25 października br. w St. Michael College University of Toronto. Wśród prelegentów 6-ciu przyjechało z Polski: G. Babiński z U.J. w Krakowie, K. Groniowski, M. Kula i I. Spustek z Instytutu Historii PAN, J. Turowski z KUL-u oraz Ewa Morawska z PAN-u (czasowo w Carnegie-Mellon University w Pittsburghu). W programie była dyskusja „okrągłego stołu” na temat „Polskość”, w której wzięli udział trzej poeci, a zarazem wykładowcy wyższych uczelni: Czesław Miłosz, Bogdan Czaykowski i Florian Śmieja, jak również historycy i socjologowie: Gutowski, Keil i Pienkos.

NOTY

POPARCIE ZACHODNICH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

AMERYKAŃSKIE ZWIĄZKI ZAWODOWE

W dniach od 26 września do 5 października 1980 roku obradował w Nowym Jorku 37-my Kongres Międzynarodowego Związku Robotników Przemysłu Konfekcji Damskiej (I.L.G.W.U.). Poparcie udzielone Wolnym Związkom w Polsce przez amerykańską centralę związkową AFL-CIO i jej prezydenta Lane Kirklanda znalazło swój pełny wyraz w toku obrad i przyjętych przez ILGWU rezolucjach. Na parę tygodni przed rozpoczęciem Kongresu Prezydent ILGWU, Sol Chaikin, przesłał list na ręce Ambasadora PRL w Waszyngtonie, adresowany do Lecha Wałęsy i Anny Walentynowicz. Poza gorącymi słowami uznania dla polskich robotników, Sol Chaikin zapraszał delegację Polskich Wolnych Związków Zawodowych do wzięcia udziału w Kongresie w charakterze gości. Prezydent ILGWU wyraził nadzieję, że list zostanie jak najszybciej przekazany adresatom. O dalszych losach tego listu — nie ma wiadomości. Do sumy 25 tys. dolarów, zadeklarowanej jako fundusz pomocy przez AFL-CIO, ILGWU dodał swój własny wkład 10.000 dolarów. Dalsze zbiórki pieniężne przewidziane są w zakładach pracy w całych Stanach Zjednoczonych. Poza AFL-CIO, solidarność z polskimi robotnikami zadeklarował również Związek Robotników Przemysłu Samochodowego, który do centrali AFL-CIO nie należy.

Już w czasie pierwszych dni Kongresu ILGWU szereg delegatów manifestowało swe poparcie i sympatie dla polskich robotników. Wielu z nich nosiło koszulki z polskim napisem „SOLIDARNOSĆ”. Kongres, obradujący w Nowym Jorku, przyjął trzy rezolucje, Nr 332, 350 i 351, w których nie tylko wspiera walkę robotników o przywrócenie wolnych związków w Polsce, ale sięga do historii ostatniego 45-lecia, przypominając pakt Hitlera ze Stalinem, podział Polski między dwa totalitarne państwa, wreszcie — masakrę katyńską. Rezolucja Nr 350 nawiązuje do postanowień

Międzynarodowego Biura Pracy, którego sygnatariuszem jest również PRL. Domaga się ona przestrzegania praw, które między innymi gwarantują istnienie wolnych związków zawodowych. Postanowienia Międzynarodowego Biura Pracy były jednym z punktów wyjścia walki wszechjętnej przez Międzyszakładowy Komitet Strajkowy w stoczni gdańskiej.

MIĘDZYNARODOWY ZWIĄZEK PRACOWNIKÓW POCZT, TELEGRAFÓW I TELEFONÓW

Genewa.

KOMUNIKAT PRASOWY

3 września 1980 roku sekretarz generalny Międzynarodowego Związku Pracowników Poczty, Telegrafów i Telefonów (IPTT) Stefan Nędzyński ogłosił następujące oświadczenie o sytuacji w Polsce:

IPTT, grupujący wolne związki zawodowe pracowników poczty i telekomunikacji 89 krajów i liczący w sumie 3.500.000 członków wita zwycięstwo robotników polskich, zwycięstwo, które zawdzięczają swej odwadze, jednoci, sprawnej organizacji, swej mądrości i doskonałemu kierownictwu działań. Własną walką uzyskali natychmiastową poprawę warunków bytu, co samo w sobie jest już faktem nad wyraz znaczącym. Co więcej, uzyskali prawo do niezależnych związków zawodowych, kierowanych przez samych robotników i rzeczywiście broniących ich interesów, w przeciwieństwie do „związków” oficjalnych, które są tylko śrubką w maszynie rządzącej partii komunistycznej. Nowe związki zawodowe będą miały prawo do prowadzenia zbiorowych pertraktacji, do uczestniczenia w decyzjach gospodarczych dotyczących robotników; będą również miały prawo do strajku. Będą miały swobodę działania, swobodę wydawania gazet i wypowiedzania się w imieniu swych członków.

IPTT zawsze twierdził, że robotnicy całego świata mają prawo do wolności i że nikt nie powinien godzić się na to, aby robotnicy jakiegokolwiek kraju byli definitywnie pozbawiani swych praw związkowych, a ich sztuczne aspiracje deptane. Zwycięstwo polskich robotników jest zwycięstwem klasy robotniczej całego świata.

Strajkujący Polacy sami jasno wytyczyli przyświecające im cele i walczili o nie tyleż z determinacją co z umiarkowaniem. Nie starali się zdobyć tego, co jest jeszcze nieosiągalne w kraju żyjącym w cieniu wojskowej dominacji sowieckiej: końca reżymu komunistycznego, ustanowienia demokracji i autentycznej niezawisłości narodowej. Władze Polski same podkreśliły ten punkt, posuwając się aż do publicznego przyznania, że są w sytuacji marionetek pod osłoną Związku Sowieckiego. Tymczasem robotnicy położyli dziś kres absolutnej dominacji aparatu partii komunistycznej nad życiem w Polsce.

Zadaniem robotników polskich jest teraz konsolidacja zdobyczy i opór przeciw wszelkim próbom odwrotu od uroczystości i publicznie podpisanego porozumienia, a także przeciw wszelkim próbom powrotu do szarej „normalizacji” komunistycznej. Związek Sowiecki będzie bez wątpienia wywierał nacisk na taki odwrót. Dlatego też oczy świata winny być nadal skierowane na Polskę. IPTT ze swej strony pozostanie czujny. Międzynarodówka Pracowników Poczty, Telegrafów i Telefonów deklaruje swe pełne i bezwarunkowe poparcie dla robotników polskich, którzy podjęli odważne przedsięwzięcie stworzenia własnych niezależnych związków zawodowych.

Przez szacunek dla własnych ideałów wolności związkowej i solidarności

międzynarodowej demokratycznej sydykaty całego wolnego świata mają obowiązek popierać polskich robotników i ich prawdziwie niezależne związki zawodowe. Robotnicy ci w spektakularny sposób dokonali własnego wyboru. Sydykaty wolnego świata mają obowiązek dokonania tego samego wyboru i udzielenia nowym niezależnym sydykatom polskim wszelkiego poparcia i pomocy jakie im będą potrzebne i jakie gotowe będą przyjąć. IPTT zobowiązuje się do tego.

Historia krajów podbitych przez władzę sowiecką wkroczyła w kluczowy etap. Wiele dawnych założeń legło w gruzach. Ci, którzy nie potrafią lub nie chcą uznać tego faktu pozostaną na marginesie historii. A historię tę zaczęła pisać klasa robotnicza, i pisać ją będzie nadal; polscy robotnicy dają dziś ten wspaniały przykład.

IPTT MIĘDZYNARODOWY ZWIĄZEK PRACOWNIKÓW POCZT, TELEGRAFÓW I TELEFONÓW

16-ta Konferencja Europejska, Nicea, 16-19 września 1980.

REZOLUCJA W SPRAWIE POLSKI

Szesnasta Konferencja Europejska IPTT zebrana w Nicei w dniach od 16 do 19 września 1980

WITA robotników polskich, którzy w odważnej walce, poprzez strajki w całym kraju bronili poziomu życia i zdobyli sobie prawo do niezależnych związków zawodowych, wybieranych przez samych robotników, do pełnej swobody działań związkowych, do zbiorowych pertraktacji i do strajku;

OŚWIADCZA, że zwycięstwo robotników polskich jest zarazem zwycięstwem całego wolnego ruchu związkowego;

DEKLARUJE swą solidarność i przyjaźń z nowymi niezależnymi związkami zawodowymi Polski;

POPIERA robotników polskich organizujących niezależne sydykaty i ofiaruje im swą pomoc;

UPRZEDZA, że uzyskane przez polską klasę robotniczą swobody związkowe są na razie kruche, a niebezpieczeństwo interwencji z zewnątrz nie może być jeszcze wykluczone;

APELUJE do wolnego międzynarodowego ruchu związkowego o czujność; WZYWA rządy Europy Zachodniej i Wspólnoty Europejskiej do udzielenia Polsce istotnej pomocy finansowej, aby jej umożliwić umocnienie swej gospodarki;

WYRAŻA raz jeszcze swe głębokie przekonanie, że wszyscy robotnicy wszystkich krajów winni korzystać z pełni praw związkowych, i że walka o nie winna być wszędzie popierana przez wolny międzynarodowy ruch związkowy.

„WIEŻ” A „RINASCITA”

Tygodnik *Rinascita* (Odrodzenie), organ ideologiczny włoskiej partii komunistycznej, poświęcił w nr. 38 z 26 września specjalny dodatek wydawnemu w Polsce. Obok sprawozdań i komentarzy dotyczących znaczenia utworzenia niezależnych związków zawodowych, tygodnik komunistyczny za-

mieszcza tekst rewindykacji MKS w Gdańsku, opublikowany w biuletynie *Solidarność* i protokół porozumienia zawartego 31 sierpnia. Organ komunistów włoskich zamieszcza ponadto dwa głosy polskie: art. M. Rakowskiego, redaktora naczelnego *Polityki* oraz wywiad przeprowadzony w Warszawie z Kazimierzem Wóycickim, członkiem kolegium redakcyjnego katolickiego miesięcznika *Więź*. Tytuł wywiadu: „Początek procesu reform strukturalnych”. W nocy redakcyjnej tygodnik włoski informuje czytelników, że *Więź* jest związana z niezależnym ruchem „Znak”. Redakcja tego pisma — czytamy — jest złożona z intelektualistów katolickich, którzy w październiku 1956 roku powołali do życia Klub Inteligencji Katolickiej. „Klub ten odegrał bardzo ważną rolę w ubiegłych latach — stwierdza redakcja organu PCI — a zwłaszcza ostatnio w pracach Komisji Ekspertów w czasie rokowań w Gdańsku, stając się dziś ośrodkiem konsultacji prawnej dla różnych grup społecznych i instytucji organizujących w stolicy nowe, niezależne związki zawodowe”. K. Wóycicki — stwierdza nota — wyraził zgodę na odpowiedzenie na kilka pytań postawionych mu przez wysłannika *Rinascità*. Pierwsze pytania brzmią: „Jak Pan ocenia sytuację jaka powstała w Polsce po podpisaniu porozumienia między przedstawicielami rządu i komitetów strajkowych na Wybrzeżu? Co uległo zmianie? A co, Pana zdaniem, powinno jeszcze ulec zmianie, aby to co określono jako „fałę odnowy z Bałtyku” nabrało ciągłości?”. K. Wóycicki odpowiada: „Powstanie pierwszych, niezależnych związków zawodowych stanowi fakt o znaczeniu historycznym i otwiera dla Polski naprawdę nowe możliwości. Chodzi o to, by utworzyć prawdziwie reprezentatywne organizmy przede wszystkim dla robotników fabryk, ale oczywiście nie tylko dla nich. Porozumienie zawarte w Gdańsku stwarza możliwość ustanowienia całkowicie nowych instrumentów dla interwencji i mediacji w konfliktach społecznych, jak również w różnych dziedzinach życia kulturalnego i politycznego, chociaż ruch związkowy nie ma charakteru bezpośrednio politycznego i jest bezpartyjny. Jest to ruch w którym katolicy mają na pewno znaczną większość, ale który nie ma jednak charakteru ruchu katolickiego. Nikt z nas nie myśli o powołaniu do życia katolickiej organizacji związków zawodowych. Jeśli rząd szczerze uzna i wykona zawarte porozumienia, będzie można wprowadzić głębokie zmiany strukturalne, które winny być dostosowane do nowych problemów, jakie stawia obecność instytucji, niezależnych od administracji publicznej”.

Drugie pytanie brzmi: „Mówi się, że wspólnie z tymi nowymi instytucjami i zrzeszeniami utworzonymi przez ruch strajkowy, poważną rolę muszą też odegrać stare, zreformowane instytucje. Na jakich odcinkach mogą nastąpić pierwsze reformy?”. Odpowiedź Wóycickiego: „Moim zdaniem należy przede wszystkim podjąć zasadniczą reformę prawnej struktury państwa. Podjęto już pracę nad nową ustawą o związkach zawodowych. Od tej nowej ustawy — która ma zagwarantować prawo do strajku i niezależność związków zawodowych od administracji — trzeba zacząć celem wprowadzenia do kodeksu pracy wszystkich koniecznych zmian. Problem jest jednak jeszcze szerszy, jak można zresztą stwierdzić, jeśli patrzy się na te punkty porozumień zawartych na Wybrzeżu, które poruszają np. kwestię określenia i ograniczenia zasięgu cenzury oraz konieczności ustanowienia środków zabezpieczających udział pracowników we wszystkich decyzjach dotyczących gospodarki narodowej i nie tylko gospodarki, jak również w kontroli społecznej. Na tych właśnie odcinkach trzeba będzie osądzać postawę rządu, na który spada obecnie wielka odpowiedzialność. Osobiście jestem przekonany, że jeśli organy władzy pragną odzyskać nieco utraconego zaufania, to powinny zająć prawidłowe stanowisko wobec problemu jaki stawiają nowo utworzone, niezależne związki zawodowe, to znaczy powinny uznać prawo swych rozmówców do swobodnego przejawiania uzyskanej autonomii”.

I wreszcie ostatnie pytanie: „Jest Pan katolikiem. Znakomita większość robotników w Gdańsku i nie tylko w Gdańsku, jest złożona z katolików. Jakie jest stanowisko wobec socjalizmu tych robotników i w ogólności katolików polskich?”. Odpowiedź: „Rozumiem sens tego pytania i wiem również jakie znaczenie ma u was słowo socjalizm. U nas jednak także i to słowo jest często uważane za 'własność prywatną' organów władzy... Ale jeśli socjalizm oznacza wolność i demokrację, biorąc pod uwagę rzeczywistość społeczną naszego kraju, wówczas jest rzeczą całkowicie uzasadnioną utrzymywać, że proces jaki zaczęli robotnicy Gdańska można uważać za krok w kierunku realizacji ideałów socjalizmu”.

D. M.

ZJAZD SOWIETOLOGÓW BEZ SOWIETÓW

Na początku października odbył się w Garmisch Partenkirchen w Bawarii Międzynarodowy Zjazd Sowietologów i badaczy stosunków w Europie wschodniej. Pierwsza, inauguracyjna impreza tego typu, a zarazem powstanie luźnego związku naukowców zajmujących się wspomnianą problematyką, odbyła się jesienią 1974 roku w Banff w Kanadzie. Następny kongres planowany jest w Ameryce na rok 1985. Inicjatorem tej idei był profesor politologii na uniwersytecie MacMaster — Adam Bromke.

Pomysł się udał. Nie udało się natomiast idea przetrwania mostów pomiędzy Zachodem i Wschodem. W Banff pojawili się co prawda i to nawet masowo — naukowcy towarzysze sowieccy, ale związane to było z inną naukową imprezą, która miała miejsce krótko przed tym w Kanadzie jak też z potężnymi wpływami politycznymi ówczesnego ambasadora sowieckiego w Ottawie. Spudłowali natomiast Polacy, co było podobno następstwem klęski tzw. Franciszkanów spod znaku Szlachcica, i osłabienia pozycji prof. Szczepańskiego który miał montować ekipę polską. Tylko lekko zastraszony Jerzy Wiatr świecił pasywną obecnością.

W Garmisch natomiast budowanie mostów skończyło się katastrofą. Przyjechali oczywiście Jugosłowianie i po raz pierwszy Chińczycy, ale organizatorom zależało oczywiście w pierwszym rzędzie na Moskwie, Warszawie i Budapeszcie. Liczono, że Kreml wyśle pokaźną grupę bojowników o czystość w sowietologii. Z Warszawy przyszła stosunkowo wcześniej zgoda sekretarza Akademii Nauk, prof. Markiewicza. Podobno kilku Polaków kręciło się już w podgórskich kurortach, czekając na ostateczny sygnał z nad Wisły. Sygnał przyszedł, ale w innym brzmieniu: „Wracać. Moskwa nie pozwala!”. A stało się to już — rzecz znamienita — po upadku Gierka i Łukaszewicza. Wszyscy satelici podporządkowali się rosyjskiemu „Niet”. Rumunów nie można oskarżać o postuszeństwo, bo organizatorzy „zapomnieli” ich zaprosić...

Bojkot ze strony Moskwy zaskoczył gospodarzy. Tym bardziej, że ideologicznie przygotowano się wzorowo. Primadonną sezonu — jako główny mówca — był George Kennan. Ale i to nawet nie wzięło. Może sobie w Moskwie powiedzieli, że na tym zbiegowisku za dużo dysydentów, Żydów, Ukraińców i Chińczyków? Nadaremnie więc Kennan wywoływał duchy koegzystencji, pomniejszając zarazem napaść na Afganistan. Z drugiej strony wprowadzający go mówca — znany historyk angielski Seton-Watson — rąbał prawdę prosto z mostu. Powiedział nawet, że podczas kiedy Willy Brandt uklęknął na ruinach warszawskiego Getta nikt z rosyjskich wodzów nie ugiął kolan przed grobami w Katyniu.

Przez to, że kraje komunistyczne świeciły pustką, konferencja straciła właściwie rację bytu. Dyskutowano między sobą. A że wszystkiego z takiego

„mamutowego” spotkania opisać nie można, ograniczmy się do generalnych obserwacji. Spory metodologiczne nie przebiegały, według niedawnej jeszcze mody, pomiędzy prawicą a lewicą, a raczej pomiędzy nowymi emigrantami ze Związku Sowieckiego a zachodnimi naukowcami. Największym zainteresowaniem cieszyły się debaty na temat opozycji w Europie wschodniej, zwłaszcza w Polsce, i sprawy narodowościowe w ZSSR. Nadmienmy jeszcze, że w dyskusji na temat stosunków polsko-rosyjskich zupełny brak zainteresowania wykazali Rosjanie. Nikt z nich nie brał udziału w tej sesji. Któż więc dyskutował? Polacy, Niemcy, Anglicy i Węgrzy!

I jeszcze jedna ciekawostka. Z inicjatywy profesora Bromke przy międzynarodowym Komitecie Studiów powstała specjalna sekcja, która ma się zajmować wyłącznie badaniami spraw polskich. Na czele sekcji stoją dwaj historycy obcy: Anglik Davies i Niemiec Rhode.

OBSERWATOR

WZNOWIENIE KOMISJI WSPÓLNEJ

W drugiej połowie września odbyło się pierwsze posiedzenie Komisji Wspólnej (Episkopat nie używa nazwy urzędowej „Komisja Mieszana”) Kościoła i Państwa. Z ramienia Episkopatu do Komisji wchodzi kard. Macharski, abp Stroba i bp Dąbrowski. Na czele delegacji rządowej stanął przewodniczący Biura Politycznego K. Barcikowski, który jako b. wicepremier prowadził rokowania z MKS w Szczecinie. Podobno na tym posiedzeniu omawiano szereg postulatów Episkopatu jak dostęp do telewizji (jednak nie dla transmitowania mszy niedzielnej, czego Episkopat sobie nie życzy, lecz uroczystości kościelnych i pogadek religijnych), zniesienie cenzury pism kościelnych, debit dla edycji polskiej *L'Osservatore Romano*, zezwolenia na budowę kościołów. Wysłunięto też jakoby zasadniczy postulat rewizji układu z grudnia 1956 roku, który daje rządowi prawo weta w stosunku do nominacji biskupów-ordynariuszy i proboszczów (nominacja biskupów sufraganów nie podlega temu ograniczeniu). Episkopat stoi na stanowisku że konieczność uzgadniania z władzami państwowymi kandydatur do nominacji biskupów ogranicza autonomię Kościoła i stanowi anachronizm we współczesnym modelu niekonkordatowych stosunków Kościoła i Państwa. Według informacji z dobrych źródeł Episkopat nie zamierza zadowolić się „obietankami” i zamierza twardo obstawać przy swych postulatach. Tymczasem dalsze wzmocnienie pozycji Kościoła po wydarzeniach sierpniowych pociąga za sobą różne projekty, m.in. projekty utworzenia partii katolickiej. Ponowne przyjęcie przez Prymasa Polski przewodniczącego Paxu R. Reiffa i J. Zabłockiego wraz z czterema posłami grupy „pseudo-Znak” wiąże się z tymi planami, popieranymi nie tylko przez niektóre czynniki kościelne, ale także przez pewien odłam partii. Rzekomo zwolennikami tego projektu są jezuici.

Listy do Redakcji

Warszawa, 15 sierpnia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytając list p. Stefana Marcinkowskiego z Chicago w numerze lipcowo-sierpniowym *Kultury* zastanawiałem się, dlaczego opracowania PPN na temat stosunków polsko-niemieckich wywołały o tyle więcej głosów krytycznych za granicą niż w kraju. Sądzę, że to dlatego, że czytamy je tu w tym samym kontekście informacyjnym, co były pisane. Czytelnik krajowy, otrząskany z oficjalnymi stereotypami propagandy politycznej, zdaje sobie sprawę, że do oderwania się od jakichkolwiek stereotypów myślowych potrzebny jest świadomy wysiłek. A skoro o wysiłku mowa, czytelnik ten rozumie zapewne lepiej, że powtarzane przez katolickich biskupów polskich wezwania do wysiłków na rzecz pojednania polsko-niemieckiego, pojednania w duchu wspólnej tradycji chrześcijańskiej, postulują wysiłek rzeczywisty i obustronny. Przede wszystkim zaś czytelnik ten pamięta dobrze zasadniczą myśl, powtarzaną w sposób bardziej lub mniej zawołowany przez partyjnych propagandystów: domaganie się dla Polski pełnej suwerenności jest niebezpieczne, ponieważ niepodległa Polska oznacza również wyzwolone spod kurateli sowieckiej Niemcy wschodnie. A swobodne Niemcy wschodnie na pewno zechcą połączyć się z zachodnimi, i w rezultacie staniami znowu przed groźbą niemieckiego odwetu. Dlatego też powinniśmy siedzieć cicho i nie buntować się przeciwko sowieckiej dominacji.

Rozważania, zawarte w tekstach PPN, są przede wszystkim odpowiedzią na tego rodzaju argumentację. Odnoszą się one głównie do owej hipotetycznej sytuacji w przyszłości, kiedy cofnie się sowiecki lodowiec, zamrażający dziś — choć ostatnio mniej skutecznie — całą Europę środkowo-wschodnią.

Nie chodzi więc o to, aby — jak pisze p. Marcinkowski — Polacy „kruszyli kopie o zjednoczenie Niemiec” (*nota bene* w opracowaniach PPN mowa jest, dokładnie tak samo jak w cytowanym przez p. Marcinkowskiego z aprobatą wywiadzie kanclerza Schmidta, o zjednoczeniu w ramach Wspólnoty Europejskiej). Sprawa zjednoczenia jest sprawą samych Niemców. Polski udział w tej sprawie ograniczony jest do naszego własnego domagania się niepodległości.

To prawda, że politycy zachodnioniemieccy nie mówią dziś o zjednoczeniu jako o bezpośrednim celu politycznym — ale żaden z nich nie waży się go wyrzec na dalszą metę. I chyba p. Marcinkowski wie o tym, ile się dla tego celu już dziś robi. Dość przypomnieć zintegrowaną sieć autostrad (projektowanych wspólnie, finansowanych przez RFN), albo „ciche” uczestnictwo NRD we Wspólnym Rynku europejskim, do którego należy przez otwartą granicę celną z RFN. Można mieć na tę sprawę różne poglądy. Wiem, że są silne argumenty przemawiające za utrzymaniem podziału Niemiec w interesie ich sąsiadów. Ale — pomijając nawet aspekt moralny, nieożywczy dla członka narodu, rozdzielonego przemocą przez 123 lata — osobiście wolałbym sąsiedztwo RFN, państwa demokratycznego i stabilnego, od sąsiedztwa z podminowaną wewnętrznie, totalitarną NRD, która

roszyła po świecie doradców wojskowych i broni dla sprzymierzeńców ZSSR. Sądę też, na podstawie historii własnego kraju, że zjednoczone Niemcy będą mniejszym zagrożeniem dla pokoju europejskiego niż Niemcy siłą podzielone.

I jeszcze jedno. P. Marcinkowski imputuje autorom tekstu PPN, że „starają się znaleźć sposób zrealizowania [powrotu Niemiec do granic z 1937 roku] za zgodą Polaków przez otwarcie granic dla emigracji Niemców do Polski”. Przytoczony fragment opracowania PPN mówi co prawda wyraźnie o swobodnej migracji ludności w ramach Europy, w której granice przestały dzielić narody, i przytacza jako przykład granice Niemiec z Francją, Belgią i Holandią, ale p. Marcinkowski zbywa to dziwnym zdaniem: „Szkoda tylko, że nie podano źródeł tego stwierdzenia”. Szkoda, że nie pojeździł sobie po Alzacji, Lotaryngii i Palatynacie.

Obywatelowi PRL, który musi prosić o pozwolenie na każdą podróż za granicę, trochę głupio tłumaczyć obywatelowi USA, że tylko zasada otwartych granic daje się pogodzić z rzeczywistym pokojowym współistnieniem i przyjazną współpracą — taką przynajmniej, jaką dziś widzimy w Europie zachodniej. Być może autorom tekstu PPN chodziło również o tych obywateli polskich, którzy woleliby mieszkać w Niemczech — i tych Polaków, którzy po zmianie ustroju w Polsce woleliby wrócić do Polski, także z Niemiec. Ale w konkretnym przypadku najważniejsze jest, że trudno zaiste wyobrazić sobie, co mogłoby skłonić Niemców, którzy mają negatywny przyrost naturalny (tj. których liczba spada) i którzy muszą utrzymywać miliony importowanych pracowników, do masowej emigracji do niepodległej Polski?

Doświadczenia historii skłaniają nas do ostrożności. Nie znaczy to, abyśmy mieli wierzyć w niemieckiego Czarnego Luda, przed którym może nas obronić tylko Dobry Niedźwiedź. Doprawdy pora skończyć ze strachami i kompleksami niższości.

Marian KOWALSKI



Göteborg, 6 października 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę za pośrednictwem *Kultury* zwrócić się, do organizacji polonijnych z następującą propozycją:

We współpracy z centralą Niezależnych Związków Zawodowych w Polsce organizacje polonijne dążyć powinny do stworzenia letnich obozów kolonijnych dla dzieci członków tych związków w krajach swojego zamieszkania. O pomoc finansową należy zwracać się przede wszystkim do organizacji związkowych krajów swego zamieszkania. Dla zapewnienia dzieciom opieki, a także dla sprawnego funkcjonowania obozów wskazane jest, abyśmy deklarowali na ten cel część swego urlopu oraz czasu wolnego. Akcja ma moim zdaniem duże szanse powodzenia, zważywszy że sprawy paszportowe mogą być załatwiane bezpośrednio przez centralę Niezależnych Związków Zawodowych w Polsce. W interesie tych związków jest stworzenie nowej sieci świadczeń socjalnych i przełamanie monopolu jaki dźwierzają na tym polu dawne związki zawodowe. W interesie całej Polonii powinno leżeć przełamanie zakłętą kręgu w jakim zamknięte są dzieci polskie mając swój obraz świata stale okrojony działaniem cenzury.

Z poważaniem,

Maciej LIPOWSKI

Ekedalsg. 36 B, 414 68 Göteborg, Szwecja
(tel. 031/426438)

Z ostatniej chwili

Kryzys totalny

Strajki pocztowe i inne kłopoty redakcyjne spowodowały, że poniższy artykuł — który ma charakter artykułu wstępnego i łączy się z „Obserwatorium” z październikowej Kultury — zamieszczamy dopiero na końcu numeru. Nie zmniejsza to jego wagi.

REDAKCJA

Ludzie i daty znaczą coraz to nowe fazy kryzysu w PRL. Gomułka, Bierut, Ochab, znowu Gomułka, Gierek, Kania, a po Kani X lub Y. Nie łudźmy się, że będzie inaczej. Rok 1949, 1956, 1963, 1968, 1970, 1976, 1980. Lata te przypominają tylko główne załamania gospodarcze lub polityczne w Polsce rządzonej przez komunistów. Periodyczne, niemal regularne powstawanie sytuacji kryzysowych potwierdza przekonanie, że w systemie sowieckim — a można by to ilustrować także na podstawie wydarzeń w innych krajach wschodnioeuropejskich i w samym ZSSR — obserwujemy kryzysy strukturalne, przypisywane kiedyś przez marksizm systemowi wolnorynkowemu. Tymczasem rozwój nowoczesnej ekonomii politycznej, zapoczątkowany przez Keynesa, pozwala Zachodowi walczyć dość skutecznie z powtarzającymi się pogorszeniami koniunktury, mimo że im gospodarka jest wyżej zorganizowana, tym niebezpieczeństwa jej załamania są poważniejsze. Zachód nie stworzył co prawda ustroju idealnego i nadal jest gnębiony różnymi plagami, jak bezrobocie, inflacja, kryzys moralny, czy terroryzm, ale system demokracji parlamentarnej posiada mechanizmy kontrolne, zawczasu ostrzegające, sygnalizujące niebezpieczeństwa i zmuszające rządy do przeciwstawiania się na czas zagrożeniom gospodarczym i politycznym. Wschód jest pozbawiony takich środków kontroli, jakie na Zachodzie stanowią wolna prasa, parlamenty, związki zawodowe i cała przebogata infrastruktura społeczna. Dlatego zagrożenia na Wschodzie są groźniejsze niż na Zachodzie i czasem tylko cudem nie kończą się przelewem krwi.

Nie zmierzam bynajmniej do udowodnienia tezy, że ustroju

narzuconego narodowi Europy wschodniej nie dałoby się zreformować, choć nie lubię dzisiejszego żargonu politycznego: reformowalny i niereformowalny. Aby zreformować ustrój narzucony Europie wschodniej i — w jej ramach — naszemu krajowi trzeba po pierwsze chcieć to uczynić, a po drugie móc tego dokonać. „Chcieć” oznacza w tym wypadku zdolność do wyciągnięcia wniosków ze wszystkich poprzednich kryzysów. „Móc” oznacza po prostu przekonać do tego nadzorców sowieckich, lub też zaryzykować postawienie ich przed faktami dokonanymi, narażając nawet własną karierę partyjną i państwową. Wypada stwierdzić, że ludzie rządzący Polską po smutnej pamięci Edwardzie Gierku, ani nie chcą, ani nie mogą w sposób zdecydowany wkroczyć na drogę reform. Nie chcą, bo są spętani ciasnotą własnych horyzontów myślowych i dogmatami, w które nie wierzą, ale które stanowią ich jedyny tytuł do władzy. Nie mogą zaś pójść na reformy w większym stylu, bo nie mają dość siły ideowej i moralnej, by przeciwstawić się Moskwie, na co w całej historii PRL odważył się — zresztą przez krótki okres — tylko Władysław Gomułka, by potem zaprzeczyć się sam siebie i skończyć jako człowiek w imieniu którego strzelano do robotników.

Czy jednak nie przesadzam, czy nie doceniam zakłęb i przyrzeczeń, obietnic i zapewnień, jakimi partia zarzuca społeczeństwo, przekonując, że katastrofa już się więcej nie powtórzy, że stworzone zostaną instytucjonalne i polityczne gwarancje, zabezpieczające system przed nowymi załamaniem, a rządzących przed powtórzeniem na nowo wszystkich dawnych i tyle razy już robionych błędów? Nie wierzę wszystkim tym zapewnieniom. Nie tylko dlatego, że komunistom wierzyć nie należy, bo samo życie przekonuje, że nigdy nie dotrzymują słowa, i gdy tylko stają jako tako na nogi po doznanej klęsce, znowu wydziedziczają społeczeństwo z wszelkiego wpływu na jego losy, uzurpując sobie nieomyślność i totalną władzę. Zapewnieniom partii nie wierzę także z tego prostego powodu, że i tym razem zaczęła od kłamstw, półprawd, manipulacji, personalnych kombinacji, kłótni i kłótni reformami, a nie ich przeprowadzeniem. Wydaje się to nie do wiary w obliczu totalnego kryzysu, w jakim znalazła się Polska. Wydaje się to zupełną ślepotą, ale niestety jest prawdą. Chcecie faktów, przykładów, no to je macie, proszę, służę uprzejmie. Ujawniono, co prawda częściowo, przyczyny kryzysu w 1980 roku, ale nie dowiedzieliśmy się niczego dokładniejszego o wydarzeniach 1976 roku, o przyczynach krwawej łżni urzędowej robotnikom w 1970 roku, ani o prowokacji antysemitkiej dla dokonania zamachu stanu w 1968 roku. Zły okazał się tylko Gierek, natomiast Moczara i Kępa są dobrzy. Ujawniono, zresztą także nie w pełni, stosunkowo marginalne afery finansowe Szczepańskiego i Tyrańskiego, ale zapomniano poinformować społeczeństwo o dużo grubszej aferze przemyślniczej Matejewskiego, czy Szlachcica, bo w końcu nie wiadomo kto był tego wszystkiego inspiratorem, a kto tylko wykonawcą. Pozostaje jednak fakt, że dla Moczara jest miejsce w Komitecie Centralnym

PZPR, a dla Szlachcica nie było go ani za Gierka, ani za Kani. Należy więc wyjaśnić społeczeństwu dlaczego jest właśnie tak, a nie inaczej. Trzeba rozliczyć nie ostatnie dwa miesiące, a ostatnie dwadzieścia cztery lata historii PRL-u. Bez tego nie ma mowy o zaufaniu, o gwarancjach uniknięcia kolejnego kryzysu, o odzyskaniu przez partię tytułu do władzy. Pozostaje jej naturalnie jeden tytuł, ten który otrzymała w Jałcie. Ale żeby po 36 latach rządów zupełnie stracić zaufanie społeczeństwa i chronić się tylko za tarczą dyktatu sowieckiego wydaje się wprost nie do wiary. Tak jednak jest, mimo zakłęb i podniosłych deklaracji, mimo sprytu i wyrafinowania słownego, że demokracja nie jest gestem wobec społeczeństwa, ale jego prawem itd. itp. To są wszystko słowa i to puste słowa, dopóki nie zostaną potwierdzone rozliczeniem przeszłości — nie tylko Gierka — ale i Jaroszewicza, Babiucha, Moczara, Szlachcica i ilu ich tam jeszcze było winnych.

Powie ktoś, że partia niestety nie może ujawnić swej przeszłości, bo była ona zbyt skandaliczna i zbrodnicza, ale rządzący chcą teraz zacząć postępować, a przede wszystkim gospodarować sensownie. Oby to było prawdą. Prasa krajowa donosiła, że gospodarstwa rolne tak zwanych chłopo-robotników, a więc wieśniaków pracujących jednocześnie w przemyśle, ale mieszkających na wsi, wytwarzają w Polsce więcej dochodu narodowego niż rolnicze spółdzielnie produkcyjne, PGR-y i gospodarstwa Kółek Rolniczych, a więc cała gospodarka kolektywizowana. Jednocześnie partia przyznaje, że głównym problemem gospodarczym jest wyżywienie kraju, a więc wzrost produkcji i niezależnienie się od importu płodów rolnych. Dlaczego więc władze nie oddają wszystkich środków — maszyn rolniczych, nawozów sztucznych, węgla, paszy, pomocy finansowej, budownictwa wiejskiego, ziemi chłopom gospodarującym indywidualnie? Dlaczego nowi szefowie partii i rządu nie stają przed kamerami telewizyjnymi i nie proklamują rzeczywistości nowej polityki rolnej, nie dają trwałej gwarancji gospodarstwom rodzinnym? Jest przecież oczywiste, że skoncentrowanie wspomnianych środków i zdecydowanie się na nową politykę wobec sektora indywidualnego na wsi przyniosłoby w ciągu jednego roku rewolucję w rolnictwie, a w ciągu kilku lat niezależniłoby Polskę od importu artykułów rolnych i dało środki na reformę systemu w przemyśle. Ale przywódcy partii, bez względu na to jaka ekipa jest u władzy, deklamują o sprzyjaniu gospodarce indywidualnej, dodając popieszczenie o dalszym poparciu dla nierentownych PGR-ów, spółdzielni i całego sektora kolektywizowanego.

W dniu, w którym piszę ten artykuł opublikowano właśnie w prasie platformę PZPR i ZSL w sprawach polityki rolnej. Ma ona zostać poddana szerokiej dyskusji. Stanowi też pierwszy przejaw otrzeźwienia spowodowany widmem głodu w Polsce. Dokument stwierdza, że „polskie rolnictwo jest jedno. Jego trzon stanowią gospodarstwa indywidualne”. Ale nieco dalej czytamy, że nowa polityka rolna „zapewnia równoprawny rozwój wszyst-

kich sektorów rolnictwa". Wszystkich, a więc i tych najmniej produktywnych? W tym samym oświadczeniu czytamy o sprzyjaniu „socjalistycznym przemianom na wsi, rozwojowi i umacnianiu PGR, RSP i innych form zespołowego gospodarowania”. Zobaczymy jaka będzie praktyka, ale trwająca nadal dwuznaczność polityki, mimo że przyznaje się, że rolnictwo indywidualne jest trzonem gospodarki wiejskiej, stawia władze PRL znowu w pozycji niewiarygodnej. Władze w ten sposób nie osiągną niczego, chłop pozostanie nieufny, a teraz właśnie ogranicza hodowlę i dostawy na rynek. Sytuacja wyżywieniowa nie tylko nie poprawia się, ale pogarsza i Polska cierpiałyby już głód, gdyby nie płynące z Zachodu dostawy i kredyty. Nawet Rosjanie poczuli się zmuszeni do pomocy Polsce na odcinku żywnościowym. Ale wszystko to nie daje perspektyw wyjścia z totalnego kryzysu gospodarki rolnej, a tym samym całej gospodarki polskiej. Niestety kolejne ekipy, lub osoby rządzące Polską, nie mają ani tyle rozumu, żeby zrezygnować ze zmurszałych dogmatów w sprawach gospodarki rolnej, ani tyle charakteru, by powiedzieć Rosjanom pełną prawdę w tej sprawie. Zmieniającym się przywódcą PZPR i PRL brak jest rozumu i charakteru, bo mylnie sądzą, że od ich wierności zdezaktualizowanej doktrynie i biernego posłuszeństwa Moskwie zależy ich władza. Tymczasem i Gomułka i Gierek stracili władzę nie dlatego, że sprzeciwili się Rosji, ale dlatego, że nie uwzględnili realiów gospodarczych kraju. Władza komunistów, lub ludzi w dobrej lub złej wierze udających komunistów, została ustanowiona w naszym kraju jeszcze w Jałcie, a potwierdzona w Helsinkach. I chwilowo nie grozi im jej utrata, chyba, że będą nadal ślepi na rzeczywistość społeczno-gospodarczą.

Podobna sytuacja panuje w przemyśle. Płace rosną, a wydajność maleje. Po kraju krąży widmo inflacji i załamania równowagi między ilością pieniędzy w posiadaniu społeczeństwa, a malejącą na rynku masą towarową. Rządzący nie mają żadnego realnego programu wyjścia z tej sytuacji, mówią o pośredkach i sami uspakajają się słowem, które przez długi czas stanowiło zakłęcie opozycji, a teraz jest zaklęciem partii: reformy. Przeprowadzenie reform jest konieczne, ale stanowi to proces długotrwały i bardzo złożony. Trzeba zdać sobie sprawę, że dotąd wszystkie reformy przeprowadzane w systemach kapitalizmu państwowego kończyły się mniejszym lub większym niepowodzeniem. Odnosi się to nie tylko do Węgier, ale i do Jugosławii. Z pewnością taki wynik wysiłków reformatorskich wynikał z ograniczania ich zakresu i charakteru przez względy polityczne i konieczność sprawowania władzy przez ludzi niekompetentnych. Reformy gospodarcze muszą bowiem w systemie totalnym mieć swoje konsekwencje polityczne, a tego obawiają się jak ognia rządzące partie komunistyczne. W ogóle reformy muszą zacząć się od przełamania monopolu aparatu na zarządzanie gospodarką i od dopuszczenia do decyzji ekonomicznych ekonomistów i socjologów, techników i technokratów. Trudno przy-

puścić, by partii łatwo przyszło wyrazić na to zgodę. Ale nawet jeśli totalny kryzys ekonomiczny zmusi ją choćby częściowo do zgody na podzielenie się z fachowcami odpowiedzialnością za kierowanie gospodarką, to i tak nie będzie to już oznaczało sukcesu w przeprowadzeniu reform. Wymagałyby one wielkiego, kompleksowego wysiłku uczonych i praktyków gospodarczych, rozważenia rozwiązań alternatywnych, rezygnacji z wielu pseudomarksistowskich dogmatów ekonomicznych, zezwolenia na wdrożenie pewnych rozwiązań eksperymentalnych, częściowych. Dopiero po dokonaniu takich prób można by zdecydować się na reformy systemowe, na nowy sposób zarządzania i planowania — i co bodaj najważniejsze — na nowe priorytety w polityce gospodarczej. Ale to wszystko wymagałoby czasu i nie wiem, czy dałoby dokonać się w ciągu roku lub dwóch, jak to teraz przedstawiają funkcjonariusze ekonomiczni PRL. Słowem — system można zreformować ale, aby to uczynić, trzeba zmienić ludzi, odejść od dogmatów i mieć wiele czasu i środków materialnych, potrzebnych do każdej poważniejszej reformy. Wynika z tego, że nowe kolejno rządzące ekipy w PRL, mówiąc o reformach systemu, nie wiedzą o czym mówią, a ich nadzieje na wyjście z totalnego kryzysu są niestety dość płonne.

Od czego więc należałoby zacząć, co jest realne już teraz. Jest to pytanie podstawowe, ale odpowiedź na nie nie będzie miała i nie może mieć charakteru ekonomicznego, lecz polityczny. Gospodarkę polską trzeba przede wszystkim na tyle uporządkować, by jej wydajność osiągnęła choć poprzedni niski pułap z okresu przed letnimi strajkami w 1980 roku. Uporządkowanie gospodarki i wydajne zwiększenie wydajności pracy nie jest możliwe bez szybkich i rozumnych decyzji politycznych. Właśnie brak szybkich i rozumnych decyzji politycznych doprowadził do obecnego załamania. Najpierw Gierek przez dwa miesiące przyglądał się, jak klasa robotnicza ćwiczy metody strajkowe, jak następuje eskalacja strajków, a żądania ekonomiczne nabierają charakteru politycznego. Gierek zapatrzony w obiecane pożyczki zagraniczne patrzył biernie na to wszystko, a nawet pojechał sobie na urlop, by się jeszcze raz na Krymie wycelać z Breżniewem. Następnie wrócił i wyleciał ze stanowiska I sekretarza, bo nawet ci, co fabrykowali mit Gierka, przekonali się, że Gierek jest po prostu niebezpieczny dla Polski i dla bloku wschodniego.

Potem przyszedł Kania i zamiast zająć się politycznymi warunkami uporządkowania gospodarki, a więc zaspokojeniem politycznych żądań robotników w zakresie wolnych związków zawodowych, grał na zwłokę, wahał się, manipulował, powoływał fikcyjnie „niezależne” związki zawodowe, wreszcie patronował sporem partyjnym, które przesłaniały rządzącym zasadnicze polityczne i ekonomiczne problemy kraju. Im szybszy byłby pełen kompromis partii z niezależnymi związkami zawodowymi, tym byłby on dla partii mniej kosztowny. Tymczasem z każdym dniem stawał się kosztowniejszy. Kraj pogrążał się w chaosie. Gospodarka roz-

przegąła się, nowe konflikty społeczne rosły, partia popadała w izolację. Proces pograżania się PRL w totalny kryzys w pierwszych miesiącach rządów Kani nie był wcale wolniejszy niż w ostatnich miesiącach rządów Gierka.

Wszystko to doprowadziło do alternatywy: albo wielka kapitulacja partii przed społeczeństwem, przede wszystkim przed klasą robotniczą, albo interwencja sowiecka, która zresztą jest ZSSR z przyczyn międzynarodowych wyjątkowo nie na rękę. W chwili, gdy piszę ten artykuł, alternatywa ta nie jest jeszcze przesądzona w żadną stronę, ale wszelkie rozwiązania pośrednie, które wydają się najbardziej praktyczne i potrzebne, stają się coraz mniej realne. Być może, że gdy ten numer *Kultury* dotrze do rąk czytelnika, zapadną już jakieś rozstrzygnięcia, ale nie zmniejszą one znaczenia zarejestrowanych przez nas faktów, które doprowadziły do alternatywy skrajnej i bezpośredniego zagrożenia Polski interwencją ZSSR. Kanię ostrzegali i przywołali do porządku kolejno: Honecker, Bilak i najbardziej ostro Ceausescu. Przywódca rumuński dał najbardziej klasową, marksistowską interpretację wydarzeń w Polsce. Za nasz główny grzech uznał istnienie rolnictwa indywidualnego, oraz innych nietypowości modelu polskiego socjalizmu. Ceausescu jednym strzałem ubił dwa zające: zadowolił Rosjan i przestrzegł własne społeczeństwo przed żądaniami rewizjonistycznymi. Bez względu na te wszystkie strachy i groźby można przypuszczać, że dla Rosji interwencja w Polsce byłaby ostatecznością, która zburzyłaby za jednym zamachem całe szesnaście lat „polityki koe-gzystencji” budowanej przez Breżniewa. Interwencja w Afganistanie podkopała większość osiągnięć polityki sowieckiej tego okresu i zmusiła Zachód do myślenia o zbrojeniach. Interwencja w Polsce cofnęłaby politykę europejską i światową do lat czterdziestych, do okresu zimnej wojny. Polska leży bowiem w Europie i duchowo do niej przynależy w takim stopniu, że nikt wobec jej okupacji nie mógłby pozostać całkiem bierny. Ani Ameryka ze swą liczną Polonią i politykami polskiego pochodzenia — Brzezińskim i Maskim, ani Francja i inne katolickie kraje świata — bo Polak zasiada na Stolicy Piotrowej, ani ludzie kultury i lewicy politycznej na całym świecie — bo Polak — Czesław Miłosz został właśnie, i nie ze względów politycznych, laureatem literackiej nagrody Nobla, ani nawet Niemcy zachodnie, bo oznaczałoby to koniec ich nadziei na zjednoczenie całych Niemiec przez porozumienie z Rosją. Bez przesady i egocentryzmu musimy powtórzyć, że interwencja w Polsce oznaczałaby praktycznie powrót do zimnej wojny, choć nie wątpię, że znalazłoby się dość przerażonych „zachodniaków”, mówiących o nieodpowiedzialności Polaków, tak jak teraz deklamuje o naszym realizmie, po umowach w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu.

Mimo katastrofalnych skutków jakie interwencja w Polsce przyniosłaby polityce światowej nie jest ona, niestety, wykluczona, bo Polska leży na głównym szlaku strategicznym impe-

rium sowieckiego w Europie, a elity rządzące w ZSSR nie dojrzały jeszcze do zrozumienia faktu, iż ustępstwa właśnie w Europie wzmocniłyby potęgę Rosji wobec Chin i całego świata, a nawet jej faktyczne wpływy na europejskim teatrze politycznym.

Dlatego ze świadomością wszystkich naszych atutów należy zwrócić uwagę, że poczucie odpowiedzialności Polaków ma jeszcze poważne niedomagania i nie uczyniliśmy wszystkiego, co jest w naszej mocy, by interwencji sowieckiej zapobiec, by się od niej uchronić. Główny dotąd autorytet moralny w Polsce Kościół katolicki jest udziałem społecznym mało obecnym w toczącej się obecnie wielkiej grze w naszym kraju. Prymas zareagował najpierw zbyt pospiesznie, by potem nader entuzjastycznie wesprzeć niezależne związki zawodowe, ale Kościół nie dał im w szerszej skali kadr i doradców, ograniczając się do pośredniczenia między rządem i robotnikami w chwilach szczególnych napięć. Wszyscy wiedzą, że Kościół nie chce stworzenia chadecji w Polsce, więc jego poważniejsze zaangażowanie w związki zawodowe nie mogłoby być poczytane za ich upolitycznianie, szczególnie jeśli polegałoby na wspieraniu wolnych związków przedstawicielami laikatu, o ile on w Polsce realnie istnieje, oraz na stworzeniu pomostu i ułatwianiu porozumienia między związkami a władzami państwowymi. Kościół w jakiejś mierze rolę tę odgrywa, ale dał się złapać w komunistyczną pułapkę tajności życia, które powinno być publiczne, a także jest niemiłosiernie manipulowany i dezinformowany przez partię i czynniki administracyjne. Największy autorytet moralny w Polsce odgrywa w decydującym dla losów kraju momencie zbyt małą rolę w życiu społecznym, co może rzutować negatywnie nie tylko na losy samego Kościoła, ale i na losy narodu.

Odwrotny zarzut można by postawić części opozycji demokratycznej, a szczególnie KOR-owi. Prasa PRL atakuje teraz jednym tchem Moczulskiego, Kuronia i Michnika. Oczywiście w sprawie Moczulskiego chodzi o mistyfikację, jego rola była żadna, albo prawie żadna. Rola KOR-u i Kuronia była poważna, szczególnie w zakresie informacyjnym, ale także i częściowo organizacyjnym. KSS „KOR” przejdzie do historii Polski jako instytucja wielce zasłużona, a przecież ludzie należący do tego ugrupowania mają jeszcze do odegrania znaczną rolę. Obawiam się tylko, czy powinni tak ostentacyjnie, jeśli wręcz nie demonstracyjnie, ustawiać się jako polityczni kierownicy i inspiratorzy nowych związków zawodowych. KOR nie uważa się za ugrupowanie *par excellence* polityczne, ale powiedzmy sobie szczerze odgrywa rolę polityczną i to znaczną. W tej sytuacji KOR w jakimś stopniu obciąża nowe związki zawodowe swoją własną hipoteką polityczną, a w każdym razie daje partii pretekst do walki ze związkami, jako będącymi pod wpływem KOR-u. KOR może być bardzo rozgoryczony takim postawieniem sprawy i będzie miał swoje racje. Być może rzeczywiście, że gdyby nie było KOR-u, to nie powstałby cały ruch demokratyczny, który rozszerzając się wywołał wreszcie falę rewolucyjną w szeregach

klasy robotniczej. Ale rewolucja nie może być permanentna, a w Polsce powinna ona okopać się na zdobytych pozycjach, umocnić je i nie posuwać się poza granice, które wywołałyby interwencję sowiecką. KOR zbyt demonstrowało swoje kontakty i powiązania zagraniczne i obciążało tym wszystkich, którzy z nim współdziałają. Związki zawodowe ostaną się tylko wtedy, jeśli będą wolne od obciążeń i pomówień o różne powiązania. Nie wierzę, aby w inteligencji polskiej nie było grup prawników, ekonomistów i socjologów, którzy mogliby skutecznie doradzać nowym związkom zawodowym. Nie wierzę, że KOR jest w tym wszystkim niezastąpiony. Natomiast jest zupełnie oczywiste, że robotnicy, inteligencja i całe społeczeństwo tyle zawdzięczają KOR-owi, że powinni bronić jego ludzi przed aresztowaniami i represjami. Robotnicy w Gdańsku słusznie stanęli w obronie siedzących w więzieniu KOR-owców, mimo że groziło to zerwaniem rozmów z władzami. Władze powinny wiedzieć, że KOR-owców nie wolno niszczyć i prześladować, bo ujmą się za nimi robotnicy, Kościół, młodzież i inteligencja. KOR wywalczył sobie udział w ruchu związkowym i nikt rozumny nie może mu go odmawiać. Ale KOR nie powinien stwarzać sugestii, że odgrywa w nim rolę kierowniczą, czy inspirującą, bo w sumie byłoby to ze względu na kontekst polityczny szkodliwe dla najważniejszych obecnie samorządnych związków zawodowych. Zresztą w ruchu tym pojawili się już — także wśród doradców rokowań w Gdańsku — ludzie niezależni i, jak się zdaje, dobrze spełnili swoją rolę. Walnie przyczynili się do osiągnięcia porozumień, które były poważnymi ustępstwami rządu.

Środowisko KOR-u ma w społeczeństwie polskim mocną i trwałą pozycję. Wystarczy przypomnieć, że to ono w ramach Wydawnictwa „NOW-a” wydało dzieła laureata literackiej nagrody Nobla, obok innych książek ważnych dla naszej kultury narodowej. Największym błędem byłoby rozumienie tych uwag jako próby rugowania KOR-u z polskiego życia publicznego. Byłoby to wprost niemoralne i nie jest ani potrzebne, ani realne. Chodzi tylko o zrozumienie faktu, że wolne, samorządne związki zawodowe są w tej chwili sprawą dla Polski najważniejszą. Wszyscy powinni służyć im pomocą w miarę swoich możliwości, także KOR. Ale nikt nie powinien nieopatrznie, mimo swej najlepszej woli, obciążać ich niezależności swoją własną sytuacją polityczną.

Utrzymanie konsekwentnego rozwoju samorządności społecznej w Polsce i uniknięcie interwencji sowieckiej — to dwa cele nadrzędne, którym należy podporządkować wszystko. Po raz pierwszy od 36 lat pojawiła się bowiem w naszym kraju szansa odzyskania części niezależności społeczeństwa w decydowaniu o własnym losie. Jakże wielką odpowiedzialnością moralną i polityczną obciążeni są wszyscy czynni w tej kardynalnej sprawie Polaków!

B. M.

Gdańsk, 20 października 1980.

Z OSTATNIEJ CHWILI

20-10-80

Nadzwyczajne zebranie dyrekcji Paxu usunęło z zarządu organizacji Jerzego Hagmayera, Zygmunta Przetakiewicza, Jerzego Rutkowskiego i Janusza Stefanowicza. Zmiany te zostały spowodowane nie tylko rozgrywkami personalnymi, które powstały po śmierci Bolesława Piaseckiego ale również pod naciskiem młodych członków Stowarzyszenia, którzy domagają się by Pax zaangażował się jednak w obronę niezależnych związków zawodowych. Byłoby przedwczesne oczekiwać, by Pax przeszedł do opozycji nawet umiarkowanej. Redaktorem naczelnym *Słowa Powszechnego* na miejsce J. Stefanowicza został jego dotychczasowy zastępca — J. Ślaski.

23-9-80

W Krakowie odbyło się zebranie w którym wzięło udział ok. 500 osób głównie ze środowiska naukowego i dziennikarskiego. Postanowiono utworzyć Polski Klub Ekologiczny, którego zadaniem będzie walka z katastrofalną dewastacją środowiska w Polsce. Wyłoniono Radę Tymczasową PKE, która ma opracować statut i przeprowadzić rejestrację.

24-10-80

W auli Uniwersytetu Warszawskiego odbyła się uroczysta inauguracja wykładów „Uniwersytetu latającego” (TKN).

NOTA BIOGRAFICZNA

Bohdan PODOSKI. Służba wojskowa: 1917/18 — 3 Korpus Polski na Ukrainie, następnie I Korpus gen. Dowbór-Muśnickiego w Bobrujsku, 1918/19 P.O.W. w Bobrujsku i Mińsku Litewskim (do lutego 1919 roku komendant Okręgu Mińskiego), Kampania 1920 roku. Magisterium prawa na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie w 1924 roku, 1928-1938 poseł na Sejm R.P., 1930-1935 sekretarz parlamentarnego klubu BBWR, współautor konstytucji kwietniowej, 1935-1938 wicemarszałek Sejmu R.P. Od stycznia 1942 do 1944 roku w Armii Polskiej w ZSSR i Drugim Korpusie. Po wojnie bierze czynny udział w życiu politycznym emigracji londyńskiej, w pierwszym rządzie w Lidze Niepodległości Polski, której jest prezesem od 1966 roku.

Dokumenty

OŚWIADCZENIE ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Związek Literatów Polskich wyraża uznanie, wdzięczność i podziw robotnikom polskim, a w szczególności robotnikom Wybrzeża reprezentowanym przez Międzyzakładowe Komitety Strajkowe w Gdańsku i w Szczecinie, za to, co uczynili dla wspólnego dobra.

Z radością i nadzieją przyjmujemy ramowy program społecznej odnowy, wypracowany na drodze negocjacji z pełnomocnikami rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, dziękując wszystkim ich uczestnikom za umiar, odpowiedzialność, rozagę i dobrą wolę.

Pragniemy podkreślić, że rozmowy te odznaczały się powagą, zrozumieniem położenia kraju, wzajemnym poszanowaniem oraz wielką godnością, a więc cechami, które należą do najlepszych tradycji naszego narodu. W rozmaitych okresach powojennej historii wielu, jak widać niestety, powątpiewało o trwałości tych cech. I choć przekonani jesteśmy, że narastający konflikt mógł być zażegnany przed laty, w warunkach i okolicznościach bardziej sprzyjających odnowie całego życia narodowego, zarówno treść jak i formę porozumienia, a w szczególności te jego punkty, które dotyczą nowej ustawy o Związkach Zawodowych, przewidującej powstanie Związków samorządnych, uważamy za wspólne zwycięstwo nas wszystkich.

Dumą i satysfakcją napawa nas fakt, że na poczesnym miejscu w zawartym porozumieniu znalazły się sprawy kultury narodowej, dla której swobodnego i harmonijnego rozwoju konieczne jest ograniczenie cenzury do ustawowo określonych, zaskarżalnych i poddanych społecznej kontroli uprawnień.

Związek nasz od lat starał się o zasadniczą zmianę modelu polityki kulturalnej, zubożającej nasz wspólny dorobek. Głosiliśmy to, pomimo coraz bardziej ograniczonych możliwości, rozumiejąc, iż zagrożenie kultury prowadzi nieuchronnie do duchowego skarlaenia całego społeczeństwa.

Wierni misji literatury w polskim życiu publicznym, przeciwstawialiśmy się i będziemy, w razie konieczności, czynić to nadal, przekreślanu, w imię doraźnych celów, całych kart naszej historii, bądź też jej tendencyjnej i powierzchownej interpretacji;

instrumentalnemu traktowaniu kultury;
spychaniu, zarówno utworów jak twórców, na margines egzystencji społecznej;

skazywaniu na niebyt pisarzy i dzieł „niewygodnych”.

Prawda historii i kultury narodu stanowiła i będzie stanowić fundament naszego działania.

Walczyliśmy i walczyć będziemy o podniesienie rangi i właściwe zroz-

mienie roli kultury w polskim życiu społecznym — ona bowiem konstituuje naszą narodową tożsamość;

— o jej swobodny, odpowiadający potrzebom społeczeństwa rozwój;
— o nieskrępowany przepływ informacji, a także poglądów i ocen;
— o dobór ludzi kompetentnych, rządnych i prawych na stanowiska organizatorów i koordynatorów życia kulturalnego kraju;

— o odstąpienie od dotychczasowej praktyki groszowych oszczędności w dziedzinie kultury, przy równoczesnej rozrzutności i samowoli w szafowaniu środkami na ten cel przeznaczonymi;

— o przywrócenie obecności w życiu publicznym, zgodnie z postanowieniem konstytucyjnym, tych dzieł i tych pisarzy, którzy zostali z niego wyłączeni; polska kultura stanowi nierozdzielalną całość bez względu na światopogląd, przekonania i miejsce zamieszkania jej twórców.

Wszystkie te postulaty winny być jak najrychlej spełnione, gdyż zaniedbania w tej żywotnej dziedzinie obciążają hipotekę duchową obecnych i przyszłych pokoleń.

Związek Literatów Polskich domaga się ponadto:

— powołania do życia Rady Kultury pochodzącej z wyboru wszystkich środowisk twórczych i posiadającej prerogatywy w zakresie współdecydowania o wszelkich sprawach istotnych dla życia duchowego społeczeństwa;

— udziału pochodzących z wyboru przedstawicieli środowiska literackiego w decyzjach dotyczących ruchu wydawniczego, czasopiśmiennictwa kulturalno-literackiego, teatru, kinematografii, radia i telewizji;

— ugruntowania samorządności naszego Związku poprzez współudział w decyzjach dotyczących Funduszu Literaturskiego;

— jak najszybszego przezwyciężenia katastrofalnego stanu produkcji książek, powodującego chroniczny ich brak na rynku.

Szczegółowe postulaty wszystkich tych spraw dotyczące, Związek Literatów Polskich, w porozumieniu z innymi Stowarzyszeniami Twórczymi, przedstawi pod rozagę ogółu w odpowiednim czasie i po gruntownym ich dyskusowaniu.

Wyrażając poparcie dla oświadczenia naszych kolegów z Gdańskiego Oddziału ZLP, z dnia 21 sierpnia br., oraz dla dalszych oświadczeń innych środowisk pisarskich, zbliżnych z niniejszym oświadczeniem, jak również dla inicjatyw rodzących się w bratnich Stowarzyszeniach Twórczych, deklarujemy chęć wspólnego działania, dla dobra kultury polskiej.

Zgłaszamy gotowość współuczestniczenia w dziele narodowej odnowy; stwierdzamy i podkreślamy, że Związek nasz łączy ludzi różnych poglądów i przekonań, dla których jednakże sprawy polskiej kultury i polskiego słowa stanowią przedmiot troski najwyższej i nadrzędnej; ludzi dbałych o ciągłość i upowszechnienie najlepszych tradycji naszego narodu; ludzi, których staraniem i troską jest, aby polska książka, polskie słowo i polska myśl docierały bez przeszkód do wszystkich polskich domów.

ZARZĄD GŁÓWNY
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Warszawa, dnia 9 września 1980 r.

REZOLUCJA

Gdańsk, 22 września 1980 r.

Żalążyciele Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” z siedzibą Komisji Krajowej w Gdańsku stwierdzają, że porozumienie

z dn. 31 sierpnia 1980 zawarte między Komisją Rządową pod przewodnictwem wicepremiera Mieczysława Jagielskiego i Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym pod przewodnictwem Lecha Wałęsy w p. 1 dotyczącym utworzenia Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych winno dotyczyć również wszystkich zatrudnionych w rolnictwie, w tym także rolników indywidualnych pracujących na swoich gospodarstwach. Założyciele NSZZ z siedzibą Komisji Krajowej w Gdańsku w pełni popierają utworzenie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego wszystkich pracowników zatrudnionych w rolnictwie, w takich formach organizacyjnych, jakie pracownicy rolnictwa sobie obiorą i przewidują możliwość współpracy i ewentualnej federacji swego związku z Niezależnymi Samorządymi Związkami Zawodowymi chłopów indywidualnych i innych pracowników rolnictwa.

OGÓLNOKRAJOWA KOMISJA POROZUMIEWAWCZA „SOLIDARNOŚĆ”

INFORMACJA

Obecnym prezesem Komitetu Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników jest sadownik grójecki Zdzisław Ostatek (Grójec, Waliki Młodych 2/5). Główny punkt informacyjny tworzącego się związku jest w Warszawie przy ul. Gimnazycznej 18, tel. 44-63-49. Po założeniu kół terenowych prosimy na ten adres przywozić deklaracje i przysyłać wybranych delegatów.

ROLNICY — zbierajcie się w grupy, radźcie, twórcie koła terenowe. Łączcie się z innymi!

Lista członków-delegatów Komitetu Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników, którzy w dniu 21 września 1980 roku uczestniczyli w zebraniu organizacyjnym i przyjęli statut związku obejmuje 42 osoby z różnych województw Polski.

SPIS RZECZY (dok.)

—	Wydarzenia miesiąca	134
—	Noty:	
—	Poparcie Zachodnich Związków Zawodowych	139
—	„Więź” a „Rinascita”	142
—	Zjazd sowietologów bez Sowietów ..	143
—	Wznowienie Komisji Wspólnej	144



M. Kowalski, M. Lipowski:	Listy do Redakcji	146
---------------------------	-------------------------	-----

Z OSTATNIEJ CHWILI

B. M.:	Kryzys totalny	147
—	Z ostatniej chwili	155
—	Nota biograficzna Bohdana Podolskiego ..	155

DOKUMENTY

—	Oświadczenie Zw. Literatów polskich ..	156
Ogólnokrajowa Komisja Porozumiewawcza „Solidarność”:	Rezolucja	157
—	Informacja	158

Polacy i ich przyjaciele w Stamford, Conn. (USA) — nadesłał Jan Wójcik — na strajkujących robotników w Polsce — \$ 102,00	F. 418,20
Zebrałe na związki zawodowe „Solidarność” na październikowym meetingu amerykańskiego oddziału Związków Zawodowych International Union of Operating Engineers w Ventura, Ca. (USA) — zebrał Andrzej Pleszczyński wzywając Polaków w wolnym świecie do podobnych zbiórek ..	F. 537,18
Tadeusz Brzostek, Paryż — kwotę wpłaconą na zebraniu kupców i rzemieślników polskiego pochodzenia w Paryżu przez pp. Pałkę, Krzysztofińską, Krasowskiego, Niekochańskiego, Łukaszewskiego, Brzostka, J. P., B. P., T. A. i A. Z.	F. 315,00

WPŁATY NA KSS „KOR”

Beziemiennie z St. Paul, Minn. (USA) — \$ 37,00	F. 151,70
Beziemiennie z Kano (Nigeria) — \$ 250,00	F. 1.025,00
Beziemiennie z Rose Bay (Australia)	F. 240,00
Bogdana Carpenter, Seattle, Wash. (USA) — \$ 50,00	F. 205,00
Dr F. Kałuża, Pretoria (Afr. Poł.)	F. 56,20
K. L., Lidinö (Szwecja) — Krs 250,00	F. 250,00
Polacy w Seattle, Wash. (USA) — \$ 615,80	F. 2.524,80
Józef Pniewski, Fridrikstad (Norwegia)	F. 430,65
Stały Czytelnik ze Szwajcarii, Winterthur — dobrowolne opodatkowanie się po F. 300,00 miesięcznie na rzecz Funduszu Samopomocy Społecznej, Biura Interwencyjnego „KOR” — za wrzesień i październik	F. 600,00
Towarzystwo Literacko-Dramatyczne w San Francisco, Ca. (USA) — \$ 50,00	F. 210,00
Aleksander Zawadzki, Westfield, Mass. (USA) — \$ 10,00 ..	F. 41,00

WPŁATY NA T.K.N.

Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — 9-ta rata rocznego stypendium ufundowanego dla osoby wybranej przez T.K.N. — DM 100,00	F. 230,00
Zarząd Oddziału Koła A.K. w Chicago — całkowity dochód z odczytu prof. dr. Andrzeja Kawczaka pt. „Zadania ideologiczne Polskiego Państwa Podziemnego w okresie wojennym i ruchów oporu w obecnej Polsce — podobieństwa i różnice”, zorganizowanego 30. 8. 1980 r. w ramach obchodu 40-lecia Państwa Podziemnego i 36-lecia Powstania Warszawskiego, dochód uzupełniony dotacją Oddziału A.K. z przeznaczeniem na dalsze publikacje/wykłady Wł. Bartoszewskiego (Polskie Państwo Podziemne) — \$ 150,00 ..	F. 615,00



Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce, przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej. Przewodniczący Komitetu — Bonawentura Mięka, skarbnik — Jan Jurewicz przesłali: \$ 3.000,00 na:	
Pomoc dla robotników — \$ 1.000,00	F. 4.100,00
KSS „KOR” — \$ 500,00	F. 2.050,00
Ruch Młodej Polski — \$ 300,00	F. 1.230,00

Bratniak w Gdańsku — \$ 300,00	F.1.230,00
ROPiO (A. Czuma) — \$ 300,00	F.1.230,00
T.K.N. — \$ 300,00	F.1.230,00
NOW-a — \$ 300,00	F.1.230,00

Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — zamiast prezentów gwiazdkowych dla rodziny i przyjaciół, mając nadzieję, że inni pójda w jej ślady — nadesłała \$ 500,00 gotówką, z czego na:
 Niezależną Oficynę Wydawniczą — \$ 250,00 F.1.025,00
 Towarzystwo Kursów Naukowych — \$ 250,00 F.1.025,00

Prof. Bronisław Baczko, Genewa — honararia za emisje radiowe i telewizyjne poświęcone sprawom polskim w kwocie Frs 1.100,00 na:
 KSS „KOR” — Frs 500,00 F.1.263,67
 T.K.N. — Frs 600,00 F.1.779,92
 (przy wpłacie Prof. Br. Baczko na KSS „KOR”, odnotowanej we wrześniowej *Kulturze*, przez pomyłkę „zmieniliśmy” imię ofiarodawcy podając Stanisław zamiast Bronisław — za co bardzo przepraszamy).

Przyjaciele i Czytelnicy *Pomostu* w USA i Kanadzie — \$ 1.575,00 z czego na:
 Wolne Związki Zawodowe — \$ 725,00 F.2.972,00
 Bratniak — \$ 300,00 F.1.230,00
 Robotnik — \$ 150,00 F. 615,00
 Komitety Chłopskie — \$ 100,00 F. 410,00
 KSS „KOR” — \$ 50,00 F. 205,00
 ROPiO — \$ 50,00 F. 205,00
 K.P.N. — \$ 50,00 F. 205,00
 P.P.N. — \$ 50,00 F. 205,00
 NOW-a — \$ 50,00 F. 205,00

Tadeusz Brzostek, Paryż — zamiast kwiatów na gród ks. dr. Józefa Sądziaka na Konfederację Polski Niepodległej F. 100,00
 Tadeusz Brzostek, Paryż — z okazji Nagrody Nobla Czesława Miłosza — na NOW-ą F. 100,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt Légal: 4^e Trimestre 1980.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
 par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		F. 115,00	F. 210,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$A 4,50	\$A 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-termgasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 219-69-23	F.B. 190,00	F.B. 1100,00	F.B. 2000,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Willemslaan 6, Vlissingen, Tel. (01134) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 10,50	Fl h. 60,00	Fl.h. 110,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 10,00 F. 20,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 115,00	\$ Can. 60,00 DM 100,00 F. 210,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6	K.S. 20,00	K.S. 115,00	K.S. 210,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254 34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103 POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave. Chicago Il 60618, tel. 312) 489-2554; E.I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Ca., 94306, telefon: (415) 327 - 5590 & 851 - 0748.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 36 Kenway Rd. London, S.W 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int 27 Tel. 75-67-241	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.210; półroczna — F.115.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,20.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 318 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Tom drugi
1973 - 1979

Str. 360.

Cena F. 75,00.



TOM 319 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

Zawiera m.in. opracowania: T. Klempskiego — *Polaków z historią kłopoty*; A. Alberta — *Wschodnie granice Polski*; St. Swianiewicza — *Refleksje geopolityczne*; J. Łojka: *Konstytucja i federacja*; K. Sójki-Wilmańskiego — *Gdyby alianci dotrzymali obietnic*; Z. S. Siemaszki — *Sergiusz Pritycki*; bogate działy DOKUMENTÓW, WSPOMNIENI, POLEMIK i RECENZJI oraz OKRUCHY HISTORII.

Str. 240.

Cena F. 45,00.



TOM 321 — JANINA KOWALSKA

POGRANICZE

Powieść o początkach polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii.

Str. 280.

Cena F. 80,00.



TOM 322 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

SKRYTKI

Nowa powieść autorki
„Baśki i Barbary”
i innych książek, które zapewniły jej wysokie miejsce
w literaturze emigracyjnej.

Str. 200.

Cena F. 55,00.